



Lucy  
Christopher

# Uprowadzona

Ta książka porwała

dziewczyny na całym świecie

**Christopher Lucy**

**Uprowadzona**

Od wydawcy

Ta książka mnie przeraziła. Jest groźna, a zarazem kontrowersyjna, stanowi wyzwanie dla czytelnika. I to właśnie jest w niej porywające. Ten thriller to historia o dziwnym związku porywacza i jednocześnie okrutnie doświadczonego przez życie chłopca oraz dziewczyny - jego ofiary, rozgrywający się w ekstremalnych warunkach. Nieważne, ile macie lat, po prostu przeczytajcie tę książkę. To najbardziej zdumiewający debiut roku.

Barry Cunningham - odkrywca Harry'ego Pottera

Zobaczyłeś mnie, zanim ja zauważyłam ciebie. Tamtego sierpniowego dnia na lotnisku twoje oczy miały taki dziwny wyraz, jakbyś czegoś ode mnie chciał, i to od bardzo dawna. Nigdy przedtem nikt tak na mnie nie patrzył, tak... intensywnie. To mnie wytrąciło z równowagi, chyba nawet zaskoczyło. Te niebieskie oczy, tak bardzo niebieskie, lodowato błękitne, patrzyły na mnie, jakbym to ja mogła je rozgrzać. Wiesz, te twoje oczy są piękne, a ich spojrzenie ma dużą siłę.

Zamrugales szybko, kiedy zatrzymałam wzrok na tobie, i odwróciłeś się, jakbyś był zdenerwowany... jakbyś czuł się winny, bo ktoś cię przyłapał na gapieniu się na przypadkową dziewczynę na lotnisku. Ale to nie był żaden przypadek, prawda? I nieźle to odegrałeś. Nabrałam się. Zabawne, ale zawsze myślałam, że niebieskim oczom mogę zaufać. Wydawało mi się, że są takie bezpieczne. Wszyscy porządni faceci mają błękitne oczy.

Ciemne są dla czarnych charakterów. Joker, Pan Śmierć, zombiaki. Wszyscy mają ciemne.

Kłóciłam się z rodzicami. Mamie nie podobał się mój skąpy top, a tata był po prostu wściekły z niewyspania. Dlatego jak cię zobaczyłam... pewnie była to miła odmiana. Tak to właśnie zaplanowałeś? Zaczekać, aż rodzice się rozkręcą, zanim podejdziesz? Nawet wtedy wiedziałam, że mnie obserwujesz. Było w tobie coś dziwnie znajomego. Już cię kiedyś widziałam... gdzieś... ale kim ty właściwie byłeś? Moje spojrzenie wciąż wracało do twojej twarzy.

Byłeś ze mną od Londynu. Widziałam, jak się odprawiałeś ze swoją niewielką torbą podręczną. Widziałam cię w samolocie. A teraz byłeś tutaj, na lotnisku w Bangkoku, siedziałeś w kawiarni, gdzie właśnie miałam zamówić kawę.

Złożyłam to swoje zamówienie i czekałam, aż ktoś je zrealizuje. Grzebałam w torebce. Nie oglądałam się, ale wiedziałam, że ciągle patrzysz. Pewnie to brzmi dziwnie, ale po prostu to czułam. Malutkie włoski na karku jeżyły mi się za każdym razem, kiedy mrugnąłeś.

Sprzedawca trzymał kubek z kawą, póki nie odliczyłam pieniędzy. Na tabliczce z imieniem miał napisane „Kenny”. Dziwne, że akurat to zapamiętałam.

- Nie przyjmujemy brytyjskich monet - powiedział Kenny, kiedy już je policzyłam. - Nie ma pani banknotu?

- Wydałam w Londynie.

Pokręcił głową i cofnął rękę z kawą.

- Obok sklepu duty free jest bankomat.

Poczułam, jak ktoś podchodzi do mnie z tyłu.

Odwróciłam się.

- Może ja zapłacę? - powiedziałeś. Twój głos był cichy i miękki, jakby przeznaczony tylko dla mnie; do tego miałeś dziwny akcent. Twoja koszula z krótkimi rękawami pachniała eukaliptusem, a na samym brzegu policzka miałeś małą bliznę. Twoje spojrzenie było zbyt intensywne, by dało się długo patrzeć ci w oczy.

Miałeś już przygotowany banknot. Obce pieniądze. Uśmiechnąłeś się do mnie. Chyba ci nie podziękowałam. Przepraszam za to. Wzięłeś kawę od Kenny'ego. Papierowy kubek wygiął się trochę, kiedy go złapałeś.

- Cukier? Jeden?

Pokiwałam głową, zbyt poruszona twoją obecnością i tym, że do mnie mówisz, by zrobić cokolwiek innego.

- Nie przejmuj się, ja to wezmę. Usiądź. - Gestem wskazałeś miejsce, gdzie siedziałeś przedtem, stolik między dwiema sztucznymi palmami, koło okna.

Zawahałam się. Ale ty przewidziałeś, że tak zrobię. Delikatnie dotknąłeś mojego ramienia, czułam ciepło twojej ręki przez bluzkę.

- Hej, nie bój się, ja nie gryzę - szepnąłeś. - Zresztą nie ma innych miejsc, chyba że chciałybyś siedzieć z rodziną Addamsów.

Podążyłam oczami za twoim spojrzeniem, do pustych krzeseł obok dużej rodziny. Dwójka młodszych dzieciaków pełzała po stole, rodzice klócili się nad nimi. Teraz się zastanawiam, co by się stało, gdybym usiadła koło nich. Moglibyśmy pogadać o wakacjach i truskawkowych shake'ach. Potem wróciłabym do swoich rodziców. Popatrzyłam na ciebie, na zmarszczki od uśmiechu wokół ust. Głęboki błękit twoich oczu skrywał tajemnice. Chciałam je poznać.

- Dopiero co uciekłam od własnej rodziny - powiedziałam. - Nie mam ochoty na kolejną.

- Nieźle. - Mrugnąłeś. - W takim razie jeden cukier.

Poprowadziłeś mnie do swojego stolika. W pobliżu siedzieli inni, co dodało mi pewności siebie. Dojście tam wymagało dziesięciu kroków. Szłam trochę oszołomiona, usiadłam na krześle stojącym przodem do okna. Patrzyłam, jak podchodzisz z kawą do lady i zdejmujesz pokrywkę. Widziałam, jak wsypujesz cukier, jak włosy opadają ci na twarz, gdy pochylasz głowę. Uśmiechnąłeś się do mnie, gdy zauważyłeś, że patrzę. Zastanawiałam się, czy to się stało właśnie wtedy? Czy uśmiechałeś się, kiedy to zrobiłeś?

Chyba musiałam na chwilę odwrócić wzrok, pogapić się na samoloty startujące za oknem. Jumbo jet drżał na tylnych kołach, a za nim w powietrzu wisiał czarny dym. Kolejny już czekał w kolejce. Twoje ręce musiały być bardzo szybkie, zrobiły to błyskawicznie.

Ciekawe, czy użyłeś jakiejś techniki odwracania uwagi czy po prostu nikt nie patrzył? Pewnie wysypałeś jakiś proszek, ale niewiele. Może wyglądał jak cukier. W każdym razie nie zmienił smaku kawy.

Odwrociłam się i zobaczyłam, że wracasz, zręcznie omijając innych pasażerów z kawą, wchodzących ci w drogę. Nie patrzyłeś na żadnego z nich. Tylko na mnie. Może dlatego nikt cię nie zauważył. Poruszałeś się jak myśliwy, idąc cicho w moją stronę wzdłuż rzędu plastikowych roślin w doniczkach.

Postawiłeś na stole dwa kubki i jeden przesunąłeś w moim kierunku, nie zwracając uwagi na drugi. Wziąłeś do ręki plastikową łyżeczkę i obojętnie obracałeś ją w palcach, okręcając wokół kciuka i przytrzymując. Spojrzałam ci w twarz. Byłeś piękny, w taki szorstki sposób, ale też starszy, niż myślałam. Właściwie to za stary, żebym tu z tobą siedziała. Gość w wieku dwudziestu paru lat, może bliżej trzydziestki. Z daleka, kiedy cię zobaczyłam w kolejce do odprawy, twoje ciało wydawało się szczupłe i drobne, jak u osiemnastolatków z mojej szkoły, ale z bliska ramiona miałeś twarde i opalone, a skórę na twarzy - osmaganą wiatrem. Byłeś brązowy jak piasek.

- Jestem Tyler - przedstawiłeś się.

Twoje spojrzenie uciekło i wróciło, a potem wyciągnąłeś do mnie rękę. Kiedy ująłeś moją dłoń i zatrzymałeś ją w swojej, wyraźnie poczułam dotyk twoich palców - był ciepły i szorstki, ale to nie był prawdziwy uścisk. Uniosłeś brew, a do mnie dotarło, o co ci chodzi.

- Gemma - powiedziałam, zanim się zastanowiłam.

Skinałeś głową, jakbyś to wiedział już przedtem. No oczywiście, pewnie wiedziałeś.

- Gdzie są twoi rodzice?

- Poszli już do wyjścia, czekają na mnie. - Poczulałam lekkie zdenerwowanie, więc dodałam: - Powiedziałam, że zaraz wrócę, tylko skoczę po kawę.

Jeden kącik twoich ust znowu lekko się uniósł, jakbyś się zaśmiał.

- O której jest lot?

- Za jakąś godzinę.

- A dokąd lecicie?

- Do Wietnamu. - Wyglądałeś, jakby zrobiło to na tobie wrażenie. Uśmiechnęłam się do ciebie, chyba po raz pierwszy. - Moja mama ciągle tam lata - dodałam. - Jest kuratorką. To coś jak artysta, który kolekcjonuje zamiast malować.

Nie wiem, dlaczego czułam potrzebę wyjaśnienia tego. Pewnie z przyzwyczajenia, dzieciaki w szkole zawsze się dopytują i niczego nie rozumieją.

- A tata?

- Pracuje w City, to makler.

- Krawat i garnitur?

- Coś w tym rodzaju. To raczej nudne, zajmować się cudzymi pieniędzmi... Chociaż on tak nie uważa.

Czułam, że zaczynam paplać, więc wypłam łyk kawy, żeby się zamknąć. Kiedy tak piłam, patrzyłam, jak mała strużka potu spływa ci wzdłuż linii włosów. Ale przecież nie mogło ci być gorąco, siedzieliśmy tuż pod klimatyzatorem. Nerwowo skakałeś wzrokiem tam i z powrotem, nie zawsze byłeś w stanie spojrzeć mi w oczy. Ten niepokój sprawiał, że wydawałeś się nieśmiały, i przez to lubiłam cię jeszcze bardziej. Ale było w tobie coś, co utkwilo w moich wspomnieniach.

- A co ty chcesz robić? - mruknąłeś. - Mieć pracę jak tata? Podróżować jak mama?

Wzruszyłam ramionami.

- Tego by chcieli oni. Nie wiem. Nic mi nie pasuje.

- Nic nie ma... dostatecznego znaczenia?

- Tak, może. To znaczy oni tylko kolekcjonują. Tata kolekcjonuje cudze pieniądze, a mama cudze rysunki. Ale co robią oni sami?

Odwróciłam wzrok. Nie znośiłam rozmawiać o pracy rodziców. Mówiliśmy o tym podczas lotu z Londynu. Mama nic, tylko nawijała o obrazach, które zamierzała kupić w Wietnamie. Akurat wtedy to była ostatnia rzecz, o której chciałam pogadać. Znowu się na pół zaśmiałeś, jakby zdyszany. Łyżeczka do herbaty leżała w idealnej równowadze na twoim kciuku, jak zaklęta. Ciągle się zastanawiałam, czy powinnam tu z tobą siedzieć. Ale to było dziwne, wiesz, miałam wrażenie, że mogę ci powiedzieć wszystko. I pewnie bym powiedziała, gdyby tak dziwnie nie ścisnęło mnie w gardle. Często żałuję, że to się nie skończyło właśnie wtedy - twoim uśmiechem i moimi napiętymi nerwami.

Rozejrzałam się, żeby sprawdzić, czy rodzice po mnie nie przyszli, chociaż wiedziałam, że tego by raczej nie zrobili. Woleli spokojnie na mnie czekać przy wyjściu, czytając pisma, które przywieźli, i starając się wyglądać inteligentnie. Poza tym gdyby mama przyszła po mnie, tym samym przyznałaby się do porażki w naszej kłótni o ubranie. Ale i tak się rozejrzałam. Wokół gromadził się tłum bezimiennych twarzy, powoli przyciąganych do stoiska z napojami. Ludzie, ludzie, wszędzie ludzie. Szmer i szum maszyny do kawy. Piski i płacz małych dzieci. Zapach eukaliptusa unoszący się z twojej kraciastej koszuli. Upiłam łyk.

- Co zbiera twoja mama? - spytałeś, a twój cichy głos znowu skupił moją uwagę.

- Głównie akwarele. Obrazy z budynkami. Kształtami. Znasz Rothko? Marka Rothko? Zmarszczyłeś brwi.

- No właśnie takie rzeczy. Moim zdaniem to raczej pretensjonalne. Nic, tylko kwadraty i kwadraty. - Znowu paplałam. Przerwałam, żeby spojrzeć na twoją dłoń. Ciągłe leżała na mojej. Powinna tam być? Usiłowałaś mnie poderwać? W szkole nikt nigdy nie zrobił niczego podobnego. Kiedy spojrzałam, szybko podniosłeś rękę, jakbyś też dopiero co zauważył, że wciąż tam jest.

- Przepraszam. - Wzruszyłeś ramionami, ale w twoim oku był jakiś błysk, który kazał mi się uśmiechnąć. - Chyba jestem... trochę zdenerwowany.

Znowu położyłeś rękę, tym razem obok mojej, o centymetry dalej. Gdybym tylko ruszyła małym palcem, dotknęłabym jej. Nie miałeś obrączki. Ani zegarka. W ogóle żadnych gadżetów.

- A ty co robisz? - spytałam. - Bo raczej nie chodzisz już do szkoły?

Sama się skrzywiłam, kiedy to powiedziałam. Oboje wiedzieliśmy, że zabrzmiało to głupio.

Byłeś wyraźnie starszy od wszystkich chłopaków, z jakimi w ten sposób rozmawiałam. Dookoła oczu i ust miałeś maleńkie zmarszczki, rozchodzące się jak promienie słońca, i dobrze się czułeś w swoim ciele. Byłeś bardziej pewny siebie niż ci niezręczni chłopcy w szkole.

Westchnąłeś i odchyliłeś się na krześle.

- Można powiedzieć, że zajmuję się czymś w rodzaju sztuki - odparłeś. - Ale nie maluję kwadratów. Trochę podróżuję, zajmuję się zielenią... buduję. Takie rzeczy.

Pokiwałam głową, jakbym rozumiała. Chciałam zapytać, co robiłeś tutaj, ze mną... czy widziałam cię już kiedyś. Chciałam wiedzieć, czemu się mną interesujesz.

Nie byłam idiotką, łatwo było ocenić, o ile jestem od ciebie młodsza. Ale nie spytałam. Pewnie byłam zdenerwowana, nie chciałam, żeby z tobą było cokolwiek nie w porządku. I pewnie czułam się dorosła, siedząc tak z najprzystojniejszym mężczyzną w kawiarni i popijając kawę, którą mi kupił. Pomyślałam, że może naprawdę nie wyglądam aż tak młodo, chociaż nie miałam na sobie żadnego makijażu oprócz błyszcząca do ust. Być może to ty wyglądałeś staro jak na swój wiek. Kiedy popatrzyłeś przez okno, wysunęłam pasmo włosów zza ucha, pozwalając, by opadły mi na twarz. Przygryzłam wargi, żeby były czerwieniejsze.

- Nigdy nie byłem w Wietnamie - powiedziałeś w końcu.

- Ja też nie. Wolałabym jechać do Ameryki.

- Naprawdę? Wszystkie te miasta, ludzie...



Palce ci drgnęły, kiedy na mnie spojrzales, wzrok skoczył do włosów, które właśnie uwolniłam. Po chwili pochyliles się przez stół i wsunales mi je z powrotem za ucho. Zawahales się.

- Przepraszam, ja... - mruknales, nie mogac skonczyc, policzki troche ci się zaczerwienily. Twoje palce zatrzymaly się przy mojej skroni. Czulam szorstkosc ich koniuszkow. Moje ucho rozpalilo się, kiedy je musnales. Potem twoje palce przeniosly się do mojego podbródka.

Uniosles go kciukiem, zeby spojrzec mi w oczy, jakbys niemal studiowal moja twarz w sztucznym swietle lamp nad glowa. To znaczy naprawde na mnie popatrzyles... oczyma niczym dwie gwiazdy. W ten sposob zlapales mnie w pulapke; trzymales przygwozdzona do tego miejsca na lotnisku w Bangkoku, jakbym byla jakimś małym stworzonkiem przywabionym przez swiatlo. A ja czulam w brzuchu motyle. Drzące skrzydla wielkich ciem. Bez trudu mnie schwytales, przyciagnales do siebie, jakbym juz tkwila w siatce.

- Nie wolałabyś pojechać do Australii? - spytales.

Zasmialam się lekko. To zabrzmialo tak powaznie.

Natychmiast zabrales reke.

- Jasne. - Wzruszyłam ramionami, niemal bez tchu. - Wszyscy chcą tam pojechać.

Zamilkles, spuszczajac wzrok. Potrzasnelam glowa, nadal czujac twój dotyk. Chcialam, zebyś mowil dalej.

- Jesteś z Australii?

Zastanawial mnie twój akcent. Nie mowiles jak aktorzy z Kiepskich. Czasami brzmiales jak Brytyjczyk. A czasem jakbys nie pochodzil w ogole znikad. Czekalam, ale nie odpowiadales. Pochytilam się wiec i szturchnelam cię w przedramię.

- Tyler? - wyprobowalam twoje imię. Podobał mi się jego dźwięk. - No wiec jak tam jest? W Australii.

Uśmiechnales się wtedy, cała twoja twarz się przy tym zmienila. Jakby się rozpromienila, jakby z wewnątrz ciebie zaświecily promienie słońca.

- Zobaczysz - odpowiedziales.

Wtedy wszystko się zmienilo. Ja zwolnilam, a świat dookoła mnie przyspieszyl. Wlasciwie to niesamowite, co może sprawić odrobinka proszku.

- Jak się czujesz? - spytales.

Obserwowales mnie szeroko otwartymi oczyma. Chcialam ci powiedziec, że nic mi nie jest, ale nawet ja nie zrozumialam tego, co wyszlo z moich ust. To byla tylko mieszanina dźwiękow. Mój język był za gruby i za ciężki, zeby tworzyć słowa. Pamietam, jak lampy

zamieniły się w plamy jasnego ognia. Pamiętam, jak klimatyzacja chłodziła mi ramiona. Zapach kawy mieszał się z wonią eukaliptusa. Twoja ręka zacisnęła się wokół mojej - złapałeś mnie, zabrałeś i ukradłeś.

Musiałam potrącić twój kubek z kawą, kiedy zachwiałam się, wstając. Potem znalazłam na nodze ślad po oparzeniu, różową plamę nad lewym kolaniem. Ciągle ją mam. Teraz się trochę pomarszczyła, jak skóra słonia.

Zmusiłeś mnie do szybkich kroków. Myślałam, że zabierasz mnie na mój lot, do wyjścia, gdzie czekają rodzice. Był to kawał drogi, dużo większy, niż pamiętałam. Kiedy ciągnąłeś mnie po tych ruchomych chodnikach, miałam wrażenie, że latam. Rozmawiałeś z ludźmi w mundurach, przyciągnąłeś mnie do siebie, jakbym była twoją dziewczyną. Pokiwałam im głową i uśmiechnęłam się. Poprowadziłeś mnie w górę po jakichś schodach. Najpierw kolana nie chciały mi się zginać, zaczęłam z tego powodu chichotać. Potem zamieniły się w galaretę. Poczułam świeże powietrze, pachniało kwiatami, papierosami i piwem. Gdzieś tu byli inni ludzie, mówili cicho, a śmiejąc się, wrzeszczeli jak małpy. Przeciągnąłeś mnie przez jakieś krzaki i za róg budynku. Gałązka wplątała mi się we włosy. Byliśmy w pobliżu pojemników na śmieci. Czuchałam zapach gnijących owoców.

Znowu przycisnąłeś mnie do siebie, podtrzymując moją twarz i coś mówiąc. Wszystko było jakieś rozmazane i unosiło się razem z zapachem śmieci. Twoje piękne usta poruszały się jak gąsienica. Wyciągnęłam rękę i próbowałam ją chwycić. Złapałeś moje dłonie. Twoje ciepło przeniknęło od czubków moich palców aż do ramienia. Znowu coś powiedziałeś. Pokiwałam głową. Jakaś część mnie rozumiała. Zaczęłam się rozbierać. Oparłam się o ciebie, zdejmując dzinsy. Podałeś mi nowe ubranie. Długą spódnicę. Buty na obcasach. Odwróciłeś się.

Musiałam je włożyć, ale nie wiem jak. Potem ty zdjąłeś koszulę. Zanim włożyłeś inną, wyciągnęłam rękę i dotknęłam twoich pleców. Ciepłe i twarde, brązowe jak kora. Nie wiem, co ja właściwie myślałam, a nawet czy w ogóle coś myślałam, ale pamiętam, że chciałam cię dotknąć. Pamiętam dotyk skóry. To dziwne, pamiętać dotyk lepiej niż myśli. Ale ciągle go czuję w palcach.

Zrobiłeś jeszcze coś, nałożyłeś mi coś drapiącego na głowę i coś ciemnego na oczy. Poruszałam się powoli. Mój mózg nie nadażał. Rozległo się głucho stuknięcie, kiedy coś wylądowało w koszu. Na moich wargach znalazła się lepka substancja. Szminka. Dałeś mi czekoladkę. Słodką. Ciemną. Miękką. Płynną w środku.

Potem wszystko stało się jeszcze bardziej poplątane. Kiedy popatrzyłam w dół, nie widziałam własnych stóp. Gdy ruszyłam, miałam wrażenie, że stąпам na kikutch nóg.

Zaczęłam wpadać w panikę, ale objąłeś mnie ramieniem. Ciepłe i silne... bezpieczne. Zamknęłam oczy i usiłowałam myśleć. Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie zostawiłam torbę. Niczego nie pamiętałam.

Otaczali nas ludzie. Wepchnąłeś mnie w środek tłumu rozmazanych twarzy i kolorów. Musiałeś wszystko mieć przemyślane - bilet, nowy paszport, naszą trasę, jak się przedostać przez zabezpieczenia. Czy to była najlepiej zaplanowana kradzież w historii, czy tylko miałeś szczęście? To nie mogło być łatwe - przeciągnąć mnie przez lotnisko w Bangkoku i dostać się na inny lot tak, żeby nikt się nie zorientował, nawet ja.

Ciągle karmiłeś mnie czekoladkami. Ten intensywny, mroczny smak... wciąż był w moich ustach, lepił się do zębów. Zanim się pojawiłeś, uwielbiałam czekoladę. Teraz od samego zapachu robi mi się niedobrze. Po trzeciej czekoladce urwał mi się film. Siedziałam gdzieś, oparta o ciebie. Było mi zimno, potrzebowałam ciepła twojego ciała. Mruknąłeś coś o mnie do kogoś innego.

- Trochę za dużo wypila - powiedziałaś. - Właśnie świętujemy.

Potem byliśmy stłoczeni w toalecie. Słyszałam szum powietrza, kiedy zawartość sedesu została wyssana.

I znowu szliśmy. Chyba na innym lotnisku. Znowu ludzie... zapach kwiatów, słodki, tropikalny i świeży, jakby przed chwilą padało. Było ciemno. Noc. Ale nie zimno. Kiedy ciągnąłeś mnie przez parking, zaczęłam się budzić. Próbowałam z tobą walczyć. Próbowałam krzyczeć, ale wepchnąłeś mnie za ciężarówkę i zakryłeś mi usta szmatą. Świat znów się zrobił zamglony. Osunęłam się na ciebie. Potem pamiętam już tylko kołysanie i podrzucanie - jazdę samochodem. Silnik mruczał bez końca.

Pamiętam też przebudzenie. I upał. Szarpał mnie za gardło, próbował nie dać mi odetchnąć. Chciałam znowu stracić przytomność. I jeszcze ból... mdłości.

Przynajmniej nie przywiązałeś mnie do łóżka. Za to byłam ci wdzięczna. Na filmach ofiary są zawsze przywiązywane do łóżek. Ale właściwie i tak nie mogłam się ruszać. Ile razy przesunęłam się chociaż troszeczkę, żołądek podchodził mi do gardła i kręciło mi się w głowie. Byłam przykryta cienkim prześcieradłem. Miałam wrażenie, że jestem w środku ogniska. Otworzyłam oczy. Wszystko się kołysało i kręciło, było beżowe i rozmazane. Leżałam w jakimś pokoju. Ściany były zrobione z długich desek zbitych w rogach. Światło raziło mnie w oczy. Nie widziałam cię. Rozglądałam się, ostrożnie kręcąc głową. W ustach czułam smak wymiocin. Miałam sucho w gardle. Ledwo oddychałam.

Znowu zamknęłam oczy. Spróbowałam głęboko odetchnąć. W myślach sprawdziłam całe swoje ciało. Ramiona były na miejscu, nogi, stopy. Poruszyłam palcami. Wszystkie

działały. Dotknęłam brzucha. Miałam na sobie Tshirt, stanik wrzynał mi się w skórę. Nogi były gołe, dzinsy zniknęły. Pomacałam prześcieradło, a potem położyłam rękę na udzie. Moja skóra niemal natychmiast stała się gorąca i lepka od potu. Na nadgarstku nie miałam zegarka.

Przejechałam ręką po majtkach. Nie wiem, czego się spodziewałam. Może krwi. Rozdartego ciała. Bólu. Ale nic takiego nie było. Zdjąłeś mi majtki? Wszedłeś we mnie? A jeśli tak, to po co zakładałeś mi je z powrotem?

- Nie zgwałciłem cię.

Zacisnęłam ręce na prześcieradle. Odwróciłam głowę. Usiłowałam cię odnaleźć. Wciąż nie widziałam normalnie. Byłeś za mną, słyszałam to. Staralam się przesunąć na brzeg łóżka, dalej od ciebie, ale nie miałam dość siły w ramionach. Drżały i w końcu opadłam na pościel. Puls walił mi jak szalony. Niemał słyszałam, jak moje ciało budzi się i ożywa. Wypróbowałam swój głos - zdobyłam się na jęk. Moje usta dotykały poszewki poduszki. Usłyszałam, że gdzieś w pobliżu robisz krok.

- Ubranie masz koło łóżka.

Skrzywiłam się, słysząc twój głos. Gdzie ty byłeś? Jak blisko? Odrobinę otworzyłam oczy. Nie bolało za bardzo. Obok łóżka, na drewnianym krześle leżała gładko złożona nowa para dzinsów. Mojej kurtki z nimi nie było. Ani butów. Zamiast nich pod krzesłem stała para brązowych skórzanych i wysokich. Sznurowanych i praktycznych. Nie moich.

Słyszałam twoje kroki zbliżające się do mnie. Spróbowałam się zwinąć, uciec. Wszystko było takie ciężkie. Powolne. Ale mój mózg pracował, a serce biło jak wściekłe. Byłam w złym miejscu. Tyle wiedziałam. Nie miałam pojęcia, jak się tu dostałam ani co mi zrobiłeś.

Usłyszałam, jak deski podłogi skrzypią jeszcze kilka razy, i poczułam, jak przerażenie podchodzi mi z piersi do gardła. Przede mną zatrzymała się para jasnobrązowych spodni bojówek. Mój wzrok błędził gdzieś między twoimi kolanami a krocem, materiał pokrywały czerwone plamy po piasku. Nic nie powiedziałeś. Słyszałam, jak mój oddech gwałtownie przyspiesza. Zacisnęłam ręce na materacu. Zmusiłam oczy, by spojrzały do góry.

Nie zatrzymałam się, póki moje spojrzenie nie dotarło do twojej twarzy. Wtedy na sekundę straciłam oddech. Nie wiem dlaczego, ale właściwie spodziewałam się, że będziesz kimś innym. Nie chciałam, żeby człowiek stojący obok łóżka miał tę samą twarz, która na lotnisku wydała mi się tak pociągająca. Ale to byłeś naprawdę ty - niebieskie oczy, jasne włosy i niewielka blizna. Tylko że tym razem nie wydawałeś się piękny. Tylko zły.

Twoja twarz niczego nie wyrażała. Te niebieskie oczy były lodowate. Wargi zaciśnięte. Podciągnęłam prześcieradło tak wysoko, jak się dało, zostawiając odsłonięte tylko

oczy, i obserwowałam cię. Cała reszta mnie była zdrętwiała z przerażenia. Stałeś tam, oczekując, aż coś powiem, czekając na pytania. Kiedy nie nadeszły, i tak na nie odpowiedziałeś.

- Przywiozłem cię tutaj - powiedziałaś. - Źle się czujesz, ale to normalne, to efekt narkotyków. Jeszcze przez chwilę będzie ci dziwnie... płytki oddech, zawroty głowy, mdłości, halucynacje...

Kiedy mówiłaś, twoja twarz wirowała. Zamknęłam oczy. Pod powiekami widziałam maleńkie gwiazdki, całą galaktykę malutkich wirujących gwiazdeczek. Słyszałam, jak się do mnie zbliżasz. Coraz bardziej. Wypróbowałam swój głos.

- Dlaczego? - szepnęłam.

- Musiałem.

Łóżko zaskrzypiało, a moje ciało trochę się uniosło, kiedy usiadłeś na materacu. Odsunęłam się. Spróbowałam opuścić nogi na podłogę, ale nie dałam rady. Wydawało się, że cały świat obraca się wokół mnie. W każdej chwili mogłam spaść. Odwróciłam głowę. Spodziewałam się, że lada moment zwymiotuję. Ale nie. Przyciągnęłam kolana do siebie. Klatkę piersiową miałam zbyt ściśniętą, by płakać.

- Gdzie jestem?

Odczekałaś chwilę, zanim odpowiedziałaś. Słyszałam, jak bierzesz oddech, a potem wzdychasz. Twoje ubranie zaszeleściło, kiedy zmieniłaś pozycję. Dotarło do mnie, że nie słyszę żadnych innych dźwięków, nigdzie, tylko te wydawane przez ciebie.

- Jesteś tutaj - powiedziałaś. - Jesteś bezpieczna.

Nie wiem, ile jeszcze spałam. Ten okres jest naprawdę niejasny, jak jakiś pokręcony senny koszmar. Chyba w którymś momencie dałaś mi jeść, zmusiłaś do picia. Ale nie myślałam. Wiem o tym, bo kiedy się znowu obudziłam, śmierdziałam. Byłam spocona i wilgotna, koszulka się do mnie kleiła. I bardzo mi się chciało siku.

Leżałam, nasłuchując. Wytężałam słuch, lecz wszędzie było cicho. Aż dziwnie. Nie słyszałam twoich kroków ani skrzypienia podłogi. W ogóle nie było słyhać żadnych ludzi. Żadnego ruchu ulicznego. Żadnego odległego szumu autostrady. Przejeżdżających pociągów. W ogóle nic. Był tylko ten pokój. I upał.

Wypróbowałam swoje ciało, ostrożnie podnosząc jedną nogę, potem drugą, ruszając palcami stóp. Tym razem kończyny nie wydawały mi się takie ciężkie i byłam bardziej rozbudzona. Usiadłam najciszej jak umiałam i badawczo rozejrzałam się po pokoju. Nie było cię. Byłam tylko ja. Ja i podwójne łóżko, na którym przed chwilą leżałam, mały nocny stolik, komoda i krzesło z dżinsami. Wszystko z drewna, wszystko bardzo proste. Ściany bez

żadnych obrazków. Po lewej miałam okno z zaciągniętą cienką zasłonką. Na dworze było jasno. Dzień. Upał. Przed sobą miałam zamknięte drzwi.

Odczekałam kilka chwil, usiłując cię usłyszeć. Potem z trudem przesunęłam się na brzeg łóżka. W głowie mi się kręciło tak, jakbym miała za chwilę stracić równowagę, ale udało mi się. Chwyciłam się brzegu materaca i zmusiłam się do odetchnięcia głęboko parę razy. Potem wstrzymałam oddech. Ostrożnie postawiłam jedną stopę na podłodze. I drugą. Przeniosłam na nie cały ciężar; dzięki temu, że oparłam się o nocny stolik, zachowałam równowagę. Na chwilę pociemniało mi w oczach, ale wstałam, zamknęłam je i nasłuchiwałam. Ciągle nie było tu nic do usłyszenia.

Sięgnęłam po dzinsy, z powrotem siadając na łóżku, żeby je założyć. Wydawały się obcisłe i ciężkie, kleiły mi się do nóg. Guzik wciskał mi się w brzuch, przez co jeszcze bardziej zachciało mi się siku. Butami się nie przejmowałam - bosy będzie ciszej. Zrobiłam krok w stronę drzwi. Podłoga była z drewna, jak wszystko, i chłodna pod stopami, ze szparami między deskami, prowadzącymi do ciemności poniżej. Nogi miałam sztywne jak kołki. Ale w końcu dotarłam do drzwi. Nacisnęłam klamkę.

Z drugiej strony było ciemniej. Kiedy moje oczy się przyzwyczaiły, zobaczyłam dość długi korytarz - znowu drewniany - z pięciorgiem drzwi, dwojgiem po lewej, dwojgiem po prawej i jednym na samym końcu. Wszystkie były zamknięte. Podłoga trochę zaskrzypiała, kiedy zrobiłam pierwszy krok. Zamarłam, usłyszawszy ten dźwięk. Ale zza drzwi niczego nie było słychać, nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek tam jest, więc zrobiłam kolejny. Które z nich prowadzą do wolności?

Zatrzymałam się przy tych po prawej i chwyciłam zimną metalową klamkę. Nacisnęłam, na sekundę wstrzymując oddech, nim pociągnęłam je do siebie. Pauza. Nie było cię tam. Znajdowałam się w ciemnym, szarym pomieszczeniu ze zlewem i z prysznicem. Łazienka. Z tyłu były jeszcze jedne drzwi. Może toaleta. Przez chwilę mnie kusiło, zastanawiałam się, czy mogę zaryzykować szybkie siku. Boże, naprawdę tego potrzebowałam. Ale ile takich okazji będę miała? Może tylko jedną? Znowu wycofałam się na korytarz. Mogę się zsikać w spodnie. Albo załatwię się na dworze. Musiałam tylko stąd wyjść. Jeśli mi się to uda, wszystko już będzie w porządku. Znajdę kogoś, kto mi pomoże. Znajdę jakieś miejsce, gdzie będę mogła pójść.

Nadal nigdzie cię nie słyszałam. Przycisnęłam ręce do ściany, żeby złapać równowagę, i zmierzałam w stronę drzwi na końcu korytarza. Jeden krok, drugi. Za każdym razem cichutkie skrzypnięcie. Moje dłonie przesuwały się po drewnie, w palce wbijały się drzazgi. Oddychałam szybko i głośno, jak dyszący pies, moje oczy badały wszystko, usiłując

odgadnąć, gdzie właściwie jestem. Pot spływał mi z głowy po karku, po plecach, pod dzinsy. Ostatnim, co pamiętałam dokładnie, było lotnisko w Bangkoku. Ale byłam w samolocie, prawda? I w samochodzie? A może to mi się śniło. I gdzie byli rodzice?

Skupiłam się na stawianiu małych, cichych kroków. Byłam bliska wpadnięcia w panikę. Chciało mi się wrzeszczeć. Musiałam jednak się opanować, tyle jeszcze wiedziałam. Jeśli zacznę się zastanawiać nad tym, gdzie jestem i co się stało, będę zbyt przerażona, żeby się chociaż ruszyć.

Drzwi na końcu otworzyły się z łatwością. Po drugiej stronie było duże, słabo oświetlone pomieszczenie. Odwróciłam się znów w stronę korytarza, gotowa do ucieczki. Żołądek mi się przewracał, a parcie na pęcherz stawało się nieznośne. Lecz w pokoju nic się nie ruszało. Żadnych dźwięków. Ciebie tam nie było. Rozejrzałam się szybko. Dostrzegłam kanapę i trzy drewniane krzesła, szorstkie i proste, jak tamto w sypialni. W głębi coś wyglądającego na kominek. Ściany z drewna. Tutaj też zasłony były zaciągnięte, przez co wewnątrz panował brązowy półmrok. Nie widziałam żadnych ozdób. Żadnych obrazków. Pokój był równie nagi jak reszta budynku. A powietrze w nim zdawało się gęste i ciężkie niczym koc.

Po lewej stronie znajdowała się kuchnia ze stołem pośrodku i z szafkami wszędzie dookoła. Zasłony i tu zaciągnięto, chociaż na końcu widać było drzwi, a przez tafłę mrożonego szkła wpadało światło. Wyjście. Wolność. Poszłam wzdłuż ściany w tamtą stronę. Ból w pęcherzu jeszcze się nasilił, dzinsy robiły się za ciasne. Ale dotarłam do drzwi. Dotknęłam klamki. Nacisnęłam ją powoli, spodziewając się, że będzie zamknięte. Ale nie było. Przełknęłam ślinę z zaskoczeniem. Potem zebrałam się w sobie i zaczęłam ciągnąć drzwi do siebie. Otworzyłam je na tyle szeroko, żeby się prześlizgnąć. Wyszłam na zewnątrz.

Od razu uderzył mnie blask słońca. Wszystko było tak jasne, że patrzenie aż bolało. I ten upał. Było jeszcze goręcej niż w środku. Od razu zaschło mi w ustach. Usiłowałam złapać oddech, cofając się na próg. Podniosłam rękę, żeby osłonić oczy, i starałam się ich nie mrużyć. Cała ta biel mnie oślepiła. To było tak, jakbym wyszła prosto na tamten świat. Tylko tutaj nie było aniołów.

Zmusiłam się do otwarcia oczu. Rozejrzałam się. Nigdzie nic się nie ruszało, nie było żadnego śladu ciebie. Poza domem, na prawo stały jeszcze dwa budynki. Wyglądały na tymczasowe, trzymały się w kupie dzięki paskom metalu i drewna. Obok nich, pod wiatą z blachy, stał poobijany samochód z napędem na cztery koła i przyczepą. A krajobraz ciągnął się dalej.

Gdy to zobaczyłam, aż się zakrztusiłam. W zasięgu mojego wzroku nie było niczego. Tylko niekończąca się płaska, czerwonawa ziemia, aż po horyzont. Piasek i więcej piasku, z kępkami małych, szorstkich krzaczków i czasami z drzewem bez liści. Ziemia martwa i sucha. Byłam nigdzie. Odwróciłam się. Żadnych budynków. Żadnych dróg. Żadnych ludzi. Żadnych drutów telefonicznych ani chodników. Niczego. Tylko pustka. Tylko upał i horyzont. Wbiłam paznokcie we wnętrze dłoni i czekałam, aż ból mi powie, że to nie jest senny koszmar.

Jak tylko wyruszyłam, dotarło do mnie, że to beznadziejne. Dokąd bym miała uciekać? Na oko wszędzie było tak samo. Rozumiałam już, dlaczego nie zamknąłeś drzwi, dlaczego nie przywiązałeś mnie do łóżka. Tutaj nie było niczego i nikogo. Tylko my.

Z trudem rozruszałam nogi, były całkiem sztywne, mięśnie ud natychmiast zaczęły boleć. Moje bosc stopy piekły. Czerwonawa ziemia wyglądała w porządku, ale tkwiły w niej kolce i ostre kamyki, igły i korzonki. Zaciśnęłam zęby, opuściłam głowę i przeskoczyłam przez rośliny. Ale piasek był tak gorący, że parzył.

Oczywiście, zobaczyłeś mnie. Kiedy byłam jakieś sto metrów od domu, usłyszałam dźwięk silnika. Nie zatrzymałam się, a pęcherz z każdym krokiem bolał mnie coraz bardziej. Nawet przyśpieszyłam. Wbiłam oczy w jakiś odległy punkt na horyzoncie i pobiegłam. Ledwo oddychałam, a nogi miałam jak z ołowiu. Stopy mi krwawiły. Słyszałam opony szorujące o piasek, zbliżały się do mnie.

Spróbowałam biec zygzakiem, myślałam, że może to cię spowolni. Byłam na pół oszalała, szlochałam, krztusiłam się i starałam łapać powietrze. Ale ty wciąż się zbliżałeś, jadąc za mną szybko, choć opony samochodu się ślizgały, a silnik wył. Widziałam, jak kręcisz kierownicą, zawracając wóz.

Zatrzymałam się i zmieniłam kierunek, ale ty byłeś jak kowboj z lassem, okrążyłeś mnie, blokując każdy mój ruch. Osaczałeś mnie, chwytając w pułapkę. Wiedziałeś, że to tylko kwestia czasu, że w końcu nie będę mogła dalej uciekać. Ale i tak biegłam przed siebie jak oszalała krowa, uciekając przed tobą coraz mniejszymi kręgami. W końcu musiałam upaść.

Zatrzymałeś samochód i zgasiłeś silnik.

- To nie ma sensu! - krzyknąłeś. - Niczego nie znajdziesz. Nikogo nie spotkasz.

Wtedy się rozplakałam, rozpaczliwy szloch wydobywał się ze mnie, jakby nigdy nie miał ustać. Otworzyłeś drzwi i chwyciłeś mnie za koszulkę na karku. Przyciągnąłeś do siebie, moje ramiona szorowały o ziemię. Odwróciłam głowę i ugryzłam cię w rękę. Mocno. Zakląłeś. Wiem, że poleciała ci krew. Czułam jej smak.



Wstałam i pobiegłam. Ale znowu mnie dogoniłeś, tak szybko. Tym razem powaliłeś mnie całym swoim ciałem. Poczułam piasek na wargach. Byłeś na mnie, torsem na moich plecach, nogami na moich udach.

- Poddaj się, Gemmo. Nie widzisz, że nie ma dokąd uciec? - wysyczałeś mi do ucha.

Znowu walczyłam, ale przycisnąłeś mocniej, unieruchamiając mi ręce. Miałam w ustach ziemię, twoje ciało napierało na mnie całym ciężarem.

I wtedy straciłam kontrolę nad pęcherzem.

Wrzeszczałam i wyrywałam ci się całą powrotną drogę. Znowu cię ugryzłam. I to kilka razy. I oplułam. Ale i tak mnie nie puściłeś.

- Tam byś umarła - warknąłeś. - Nie rozumiesz tego? Kopnęłam cię, mocno, w goleń i w jaja, gdzie tylko mi się udało. Ale nie rozluźniłeś uścisku. Tylko szybciej mnie ciągnąłeś. Byłeś silny. Jak na takiego chudego faceta byłeś silny jak cholera. Wlokłeś mnie po ziemi z powrotem do domu. Użyłam przeciw tobie całego swojego ciężaru, kopałam i wrzeszczałam jak wściekła. Przeciągnąłeś mnie przez kuchnię i wrzuciłeś do mrocznej łazienki. Waliłam w drzwi, krzyczałam, chciałam je wykopać z zawiasów. Ale na nic. Zamknąłeś je z zewnątrz.

Nie było tu żadnych okien do wybicia. Otworzyłam więc te drzwi na końcu pomieszczenia. Tak jak myślałam - tam była toaleta. Zeszłam po dwóch schodkach w jej stronę. Dookoła ubikacji nie było podłogi, tylko goła ziemia, która znowu drażniła mi stopy. Nie było też żadnych okien - mocne ściany zbudowane z desek pełnych drzazg, z małymi szparami pomiędzy. Popchnęłam je, ale mocno się trzymały. Podniosłam klapę toalety. W środku głęboka ciemna dziura, śmierdząca gównem.

Wróciłam do łazienki i zajrzałam do szafki nad umywalką. Rzuciłam o drzwi wszystkim, co tam znalazłam, z całej siły. Butelka środka odkażającego rozbiła się na kawałki, szkło rozprysnęło wszędzie, silny zapach rozszedł się w powietrzu. Ty chodziłeś tam i z powrotem po drugiej stronie.

- Gemmo, nie - ostrzegłeś. - Wszystko zużyjesz.

Wrzeszczałam o pomoc, aż rozbolało mnie gardło. Nic to nie dało. Po chwili moje słowa zamieniły się w bezsensowne dźwięki, usiłowałam cię nimi zagłuszyć. Waliłam w drzwi, aż miałam siniaki do łokci, a z nadgarstków schodziła mi skóra. Byłam zdesperowana. W każdej chwili mogłeś tu wejść z nożem, strzelbą albo jeszcze z czymś gorszym. Rozejrzałam się za jakąś bronią. Podniosłam odłamek szkła z butelki po środku dezynfekującym.

Drzwi podskoczyły, kiedy przycisnąłeś się do nich całym ciałem.

- Uspokój się - powiedziałaś raczej drżącym głosem. - To nie ma sensu.

Siedziałeś w korytarzu, naprzeciwko łazienki. Wiedziałam o tym, bo widziałam twoje buty przez szparę pod drzwiami. Usiadłam pod ścianą, wdychając zapach środka dezynfekującego i kwaśną woń moczu na moich dżinsach. Po chwili usłyszałam ciche stuknięcie, kiedy wyjąłeś klucz z dziurki.

- Zostaw mnie w spokoju! - wrzasnęłam.

- Nie mogę.

- Proszę.

- Nie.

- Więc czego chcesz? - Teraz już szlochałam, zwinięta w ciasny kłębek. Ocierałam krew ze stóp, poranionych podczas biegu. Usłyszałam, jak walisz ręką lub głową w drzwi łazienki. Usłyszałam chrypę w twoim głosie.

- Nie zabiję cię - powiedziałeś. - Naprawdę cię nie zabiję, okej?

Po tych twoich słowach jeszcze bardziej zaschło mi w gardle. Nie wierzyłam ci.

Potem długo milczałeś, zastanawiałam się, czy sobie poszedłeś. Niemal wolałam twój głos od ciszy. Zacisnęłam kawałek szkła w ręce, tak mocno, że zaczął wbijać mi się w skórę. Później uniosłam go do światła, padającego ze szpary w ścianie. W kawałku były maleńkie tęcze. Odwróciłam szkło, żeby jedna z nich zatańczyła mi na dłoni. Przycisnęłam do niego palec i pojawił się mały bąbelek krwi.

Trzymałam szkło nad swym lewym nadgarstkiem, zastanawiając się, czy mam na to siłę, a potem opuściłam je powoli. Rozciąłam skórę w prostej linii, w poprzek. Krew zaczęła wolno wypływać. Nie bolało. Całe ramiona miałam zbyt odrętwiałe od tego walenia w drzwi. Krwi było raczej niewiele. Jęknęłam, kiedy dwie krople spadły na ziemię, do końca nie mogłam uwierzyć w to, co zrobiłam. Potem mówiłeś, że zrobiłam to pod wpływem narkotyków, ale nie wiem. W tamtej chwili czułam się raczej świadoma. Może wolałam sama się zabić, niż czekać, aż ty to zrobisz. Przełożyłam szkło do lewej dłoni i wyciągnęłam prawy nadgarstek.

Ale wtedy wszedłeś. Szybko. Drzwi się otworzyły i niemal zaraz potem wyrwałeś mi szkło i wziąłeś mnie na ręce, ściskając z całej siły. Przyłożyłam ci w oko. A ty wciągnąłeś mnie pod prysznic.

Odkręciłeś trochę wodę. Była brązowawa i lala się nierówno, rury aż jęczały. Pływało w niej jakieś czarne świństwo. Cofnęłam się jak najdalej w kąt. Krew z mojego nadgarstka mieszała się z wodą, krążąc wokół odpływu. Cieszyło mnie jednak, że woda tam była - rozdzielała nas. Była trochę jak przyjaciel.

Z pudełka koło drzwi wyjąłeś mały ręcznik i wsadziłeś go pod strumień wody, aż zrobił się zupełnie mokry. Potem zakręciłeś wodę i podszedłeś do mnie. Przywarłam do popękanych kafelków i wrzeszczałam, żebyś zostawił mnie w spokoju. Ale ty się nie zatrzymałeś. Ukląkłeś w wodzie i przycisnąłeś ręcznik do rany. Odsunęłam się szybko, walnęłam o coś głową.

Potem nie było nic.

Kiedy się obudziłam, znowu leżałam w wielkim łóżku z chłodnym, wilgotnym bandażem wokół nadgarstka. Nie miałam już na sobie dzinsów. Moje stopy były przywiązane do słupków twardym, drapiącym sznurem i też były owinięte bandażami. Pociągnęłam, sprawdzając, jak mocno jestem przywiązana, i jęknęłam, gdy ból wystrzelił w górę nóg.

Potem zobaczyłam koło okna ciebie. Zasłona była uchylona, patrzyłeś na zewnątrz. Widziałam, jak marszczysz brwi. Miałeś siniaki wokół oka. Pewnie to moje dzieło. W tamtej chwili, kiedy słońce rozjaśniało ci skórę, nie wyglądałeś na porywacza. Wyglądałeś na zmęczonego. Serce waliło mi jak szalone, ale zmusiłam się, żeby na ciebie popatrzeć. Dlaczego mnie tu przywiozłeś? Czego chciałeś? Przecież gdybyś chciał mnie skrzywdzić, już byś to zrobił. Ale może postanowiłeś kazać mi czekać?

Odwróciłeś się wtedy i zobaczyłeś, że patrzę.

- Nie rób tego więcej - powiedziałeś.

Zamrugałam.

- Zrobisz sobie krzywdę.

- A to ma znaczenie? - Mój głos był tylko szeptem.

- Oczywiście.

Spojrzałeś na mnie uważnie. Nie mogłam wytrzymać twojego wzroku. To przez te twoje oczy. Zbyt niebieskie. Zbyt skupione. Nienawidziłam tego, że wyglądałeś niemal na zaniepokojonego. Położyłam się i wpatrzyłam w sufit. Był z wygiętej blachy.

- Gdzie jestem? - spytałam.

Myślałam o lotnisku. O rodzicach. O tym, gdzie znikła reszta świata. Kątem oka dostrzegłam, że kręcisz głową.

- Nie w Bangkoku - odparłeś. - Ani w Wietnamie.

- No to gdzie?

- Pewnie w końcu się dowiesz.

Oparłeś czoło na dłoniach, delikatnie przyciskając palcami siniaki wokół oczu. Paznokcie miałeś krótkie i brudne. Znowu spróbowałam szarpnąć stopami. Moje kostki były spocone i mokre, ale nie dość śliskie, bym mogła je uwolnić.

- Chcesz wody? - spytałeś. - Coś do jedzenia?

Pokręciłam głowę. Znow poczułam na policzkach łzy.

- Co się stanie? - wyszeptałam.

Podniosłeś ręce. Twoje oczy błysnęły na chwilę w moją stronę, ale nie były lodowate. Trochę stopniały. Wydawały się mokre. Przez sekundę zastanawiałam się, czy ty też płakałeś. Zobaczyłeś, że cię obserwuję, więc się odwróciłam. Potem wyszedłeś z pokoju i po kilku minutach wróciłeś ze szklanką zimnej wody. Usiadłeś przy łóżku i podałeś mi ją.

- Nic ci nie zrobię - powiedziałeś.

Zostałam w łóżku. Poszewka cała przemokła od moich łez. Prześcieradła - od mojego potu. Wszystko śmierdziało. Usiłowałam nie ruszać się nadmiernie. W którymś momencie przyszedłeś i zmieniłeś mi bandaż na stopach. Wtedy byłam już całkiem oklapła, jakbym się rozpuszczała.

Potem mi powiedziałeś, że to był tylko dzień czy dwa. Miałam wrażenie, że minęły tygodnie. Powieki opuchły mi od płaczu. Usiłowałam wymyślić sposoby ucieczki, ale mój mózg też się rozpuścił. Niezłe zapoznałam się z sufitem, szorstkimi ścianami i drewnianą ramą wokół okna. Piłam brązową, ziemistą wodę, którą stawiałeś koło mnie, ale tylko kiedy nie patrzyłeś. Raz spróbowałam orzechów i nasion, które zostawiłeś w miseczce, najpierw dotykając ich ostrożnie językiem, na wypadek gdyby były zatrute. Zawsze gdy przychodziłeś, usiłowałeś ze mną rozmawiać. Rozmowa za każdym razem wyglądała podobnie.

- Chcesz się umyć? - pytałeś.

- Nie.

- Jeść?

- Nie.

- Wody? Powinnaś pić wodę.

- Nie.

Przerwa. Chyba myślałeś, co jeszcze mógłbyś mi zaproponować.

- Chcesz wyjść na dwór?

- Tylko jeśli zabierzesz mnie do miasta.

- Tu nie ma miast.

Raz nie wyszedłeś z pokoju jak zwykle. Zamiast tego westchnąłeś i podsunąłeś się do okna. Dostrzegłam, że siniaki wokół twojego oka zmieniły kolor z granatowego na szarozółty - tylko to wskazywało, że czas płynie. Spojrzałeś na mnie, marszcząc czoło. A potem szybko rozsunałeś zasłony. Światło zalało pokój, a ja wcisnęłam się w pościel.

- Chodźmy na dwór. Możemy popatrzeć na świat.

Odwrociłam się od światła i od ciebie.

- Z tyłu jest inaczej niż z przodu - oznajmiłeś. - Pójdziemy tam.

- A pozwolisz mi odejść?

Pokręciłeś głową.

- Nie ma dokąd uciec - odpowiedziałeś. - Już ci mówiłem. To pustkowie.

W końcu mnie przekonałeś. Kiwnęłam głową. Ale nie dlatego, że ty tak chciałeś. To było dlatego, że ci nie wierzyłam, kiedy mówiłeś, że tam nic nie ma. Coś przecież musiało być - miasteczko, droga czy choćby przewody elektryczne. Nigdzie nie ma prawdziwego pustkowie.

Odwiązałeś mi nogi. Odwinąłeś bandażę i przycisnąłeś rękę do moich stóp. Nie zapiekło, jak się spodziewałam. Mój nadgarstek też zbadaleś. Nacięcie pokrywały strupy, brązowoczerwone, świeżej krwi nie było. Próbowaleś podnieść mnie z łóżka, ale cię odepchnęłam. Nawet od tak niewielkiego wysiłku zaczęłam się cała trząść. Przesunęłam się i wstałam z łóżka po drugiej stronie.

- Poradzę sobie.

- Jasne, zapomniałem - odparłeś. - Jeszcze ci nie uciałem nóg.

Zachichotałeś z własnego dowcipu. Zignorowałam to. Moje nogi zaczęły tak drzeć, że samo stanie na nich było trudne. Zmusiłam się do zrobienia kroku. Stopa bolała. Z trudem przełknęłam ślinę. Ale wiedziałam, że nie mogę zostać w tym pokoju na zawsze.

Odwrociłeś się, kiedy wciągałam dzinsy. Znowu były wyprane i suche, plamy od czolągania się po piachu zniknęły. Byłam strasznie słaba, gdy wyszłam z pokoju, w każdej chwili mogłam zemdleć. Żałowałam, że nie zjadłam więcej z tego, co mi dawałeś. Poszłam korytarzem, a ty za mną. Kiedy szedłeś, nie powodowało to ani jednego dźwięku, nawet podłoga nie skrzypiała. Kierowałam się do tej kuchni, którą poprzednio znalazłam, ale chwyciłeś mnie za ramię. Skrzywiłam się, gdy mnie dotknąłeś, nie mogłam na ciebie patrzeć.

- Tędy - powiedziałeś.

Straciłam twoją dłoń, chciałam, żeby dzieliło nas parę kroków. Przeprowadziłeś mnie przez salon, gdzie zasłony wciąż były zaciągnięte - żeby cokolwiek zobaczyć, musiałam się wpatrywać. Kiedy robiłam krok, coś wbiło mi się w stopę. Nogę przeszył mi ból. Oczy wypełniły mi łzy, ale otarłam je szybko, nim zauważyłeś. Podniosłam nogę i wyciągnęłam mały złoty gwóźdź, taki do wieszania obrazków. Zastanawiałam się, co tu robił, skoro nie było w tym miejscu żadnych obrazków do wieszania.

Przeszliśmy przez coś w rodzaju sieni na drugą stronę domu. Zmrużyłam oczy w światło, gdy otworzyłeś drzwi. Wzdłuż całego ganku biegła weranda. Dowlokłam się do wiklinowej kanapy, padłam na nią i ścisnęłam stopę, pocierając czerwony ślad po gwoździu.

Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam skały. Były ogromne, gładkie i kuliste, oddalone od domu może pięćdziesiąt metrów i ze dwa razy od niego większe. Wyglądały, jakby olbrzym upuścił na ziemię garść kulek. Z przodu dwie wielkie, z głębokimi rysami, a tuż obok, dookoła, jeszcze z pięć mniejszych. W środku i wokół rosły rachityczne kolczaste drzewka.

Usiadłam i się gapiłam. Te skały były tak inne od reszty krajobrazu, w ogóle do niczego nie pasowały. Popołudnie już się niemal skończyło, a po chwili dotarło do mnie, że głazy są czerwone od promieni słońca, które barwią ich piaskową powierzchnię na rubinowo.

- Samotne - powiedziałaś. - Tak je nazwałem. Są inne... tak jakby... osobne od wszystkiego, przynajmniej tutaj. Są same, ale przynajmniej z tego powodu razem.

Stałeś koło kanapy. Odsunęłam się od ciebie, a ty sięgnąłeś do jednego z pasków łączących elementy mebla, szarpiąc go, aż się rozluźnił.

- Dlaczego nie widziałam ich wcześniej? - spytałam. - Kiedy uciekałam.

- Nie patrzyłaś. - Dałeś spokój paskowi i zamiast tego gapiłeś się na mnie. Gdy nie odwzajemniłam spojrzenia, podszedłeś do jednego ze słupków werandy. - Wtedy byłaś zbyt zdenerwowana, by dużo widzieć.

Przyglądałam się kamieniom, szukając ścieżek, rozglądając się za czymkolwiek zrobionym przez ludzi. Wychodziła z nich plastikowa rura, biegnąca aż do domu. Wsuwała się pod drugi koniec werandy, w pobliżu łazienki. Wokół podnóża skał stały równo rozstawione drewniane słupki, jakby kiedyś znajdował się tam płot.

- Co jest po drugiej stronie?

- Niewiele. To samo. - Ruchem głowy wskazałeś piaszczystą ziemię wokół domu. - To nie jest droga ucieczki, jeśli o to ci chodzi. Jedyna droga ucieczki to ja. I to jest chyba pech, bo ja już uciekłem, tutaj.

- Co to za rura? - spytałam. Pomyślałam, że skoro do twojego domu prowadzi rura, to mogą być i inne, wiodące do innych domów, za skałami.

- Sam ją położyłem. Doprowadza wodę.

Uśmiechnąłeś się, niemal z dumą, i zacząłeś szukać czegoś w kieszeni na piersi. Potem sięgnąłeś do kieszeni spodni i wyjąłeś z niej małą paczuszkę suszonych liści i trochę bibulek. Popatrzyłam na twoje pozostałe kieszenie. Jakies wypukłości? Czy tam trzymasz

kluczyki do samochodu? Skręciłeś sobie długiego, cienkiego papierosa i polizałeś brzeg bibułki.

- Gdzie jesteśmy? - spytałam znowu.

- Wszędzie i nigdzie. - Oparłeś głowę o słupek werandy i zerknąłeś na skały. - Znalazłem to miejsce. Kiedyś. Jest moje. - Zamyślony wpatrywałeś się w skręta. - To było dawno temu. Byłem wtedy mały, może połowa twojego wzrostu.

Spojrzałam na ciebie.

- Jak się tu dostałeś?

- Piechotą. Trwało to jakiś tydzień. Kiedy tu dotarłem, padłem.

- Całkiem sam?

- Tak. Skały dały mi sny... i wodę, oczywiście. To miejsce jest wyjątkowe. Zostałem tu jakieś dwa tygodnie, rozbiłem obóz pośrodku i znajdowałem jedzenie między skałami. Gdy wróciłem do domu, wszystko się zmieniło.

Odwrociłam się. Nie chciałam się niczego dowiadywać o twoim życiu. Wysoko nad nami zataczał koła ptak, maleńki „x” na tle jasnego nieba. Zwinęłam się, obejmując kolana, ściskając je mocno, usiłując zapobiec temu, by strach wewnątrz mnie przerodził się we wrzask.

- Dlaczego tu jestem?

Poklepałeś się po kieszeniach i w końcu wyciągnąłeś pudełko zapalek. Machnąłeś ręką w stronę skał.

- Bo to miejsce jest magiczne... piękne. I ty jesteś piękna... pięknie osobna. Samotna. Wszystko do siebie pasuje. - Obracałeś papierosa między kciukiem a palcem wskazującym. Potem mi go podałeś. - Chcesz?

Pokręciłam głową. Nic nie pasowało. I nikt nigdy przedtem nie mówił, że jestem piękna.

- Czego chcesz? - spytałam łamiącym się głosem.

- To proste. - Uśmiechnąłeś się, a papieros w twoich ustach zwisał, przyklejony do warg. - Towarzystwa.

Kiedy zapaliłeś, skręt miał dziwny zapach, bardziej naturalny niż tytoń, ale nie tak silny jak trawa. Zaciągnąłeś się mocno, potem spojrzałeś na grupkę skał. Podążyłam za twoim wzrokiem i dostrzegłam między nimi małą przerwę. Wyglądała jak ścieżka.

- Jak długo chcesz mnie tu trzymać?

Wzruszyłeś ramionami.

- Na zawsze, oczywiście.

Kiedy światło zbladło do szarawego mroku, odwróciłeś się, aby wejść do środka.

- Chodź już - powiedziałaś.

Zatrzymałeś się w przedsionku, przez który przedtem przeszliśmy, obok stosu akumulatorów przemysłowej wielkości. Były do nich przymocowane druty prowadzące do sufitu, przechodzące po drodze przez kilka przełączników. Na półce nad twoją głową stało w rzędzie sześć lamp parafinowych. Co by się stało, gdybym jedną zrzuciła? Czy mogłam cię w ten sposób ogłuszyć? Ile czasu zyskałabym na ucieczkę? Pochyliłeś się, sprawdziłeś coś i przekręciłeś wyłącznik.

- Generator - oznajmiłeś, ruchem głowy wskazując akumulatory. - Daje prąd na wszystko w kuchni i te parę żarówek, które są w domu.

Ale ja ciągle patrzyłam na lampy. Dostrzegłeś to, zdjąłeś jedną i wcisnąłeś mi ją w rękę. Chwyciłam szklaną banię, metalowy uchwyt szczęknął o szkło. Zacząłeś mi tłumaczyć, jak się tego używa. Kiedy odwróciłeś się, żeby zdjąć jeszcze jedną, uniosłam tę swoją, ale moje ramiona zbyt mocno drżały, bym cię choć musnęła. Stałam tak więc z uniesioną lampą, wyglądałam jak kretyńka. Zrozumiałeś, co chciałam zrobić, i szybkim ruchem odstawiłeś drugą lampę na półkę, a potem sięgnąłeś po moją.

- Tym się mnie nie pozbędziesz - oświadczyłeś, a kącik ust uniósł ci się do góry.

Zabrałeś mi lampę, nalałeś do środka parafiny i zapaliłeś. Potem wypchnąłeś mnie z pomieszczenia. Trzymając światło przed sobą, zaprowadziłeś mnie z powrotem do tego pomieszczenia, gdzie dotąd spałam.

- To jest twój pokój - oznajmiłeś. Podeszedłeś do komody przy drzwiach. - W środku masz czystą pościel.

Otworzyłeś dolną szufladę. Potem otworzyłeś dwie szuflady powyżej, pokazując Tshirty, koszulki na ramiączkach, szorty, spodnie i swetry. Przesunęłam palcami po jednym Tshircie. Był beżowy i zwyczajny, rozmiar XS, sprawiał wrażenie nowego.

- Będzie pasował, nie?

Nie zapytałam, skąd znasz mój rozmiar. Po prostu dalej patrzyłam na ciuchy. Wszystko było beżowe i nudne.

Żadnych markowych, nic wymyślnego. Wszystko wyglądało na kupione w jakimś hipermarkecie. Wskazałeś dwie mniejsze szufladki na samej górze.

- Bielizna - wyjaśniłeś. Potem zrobiłeś krok do tyłu.

Ale do tej szuflady też nie zajrzałam.

- Mam jeszcze spódnice i parę sukienek, jeśli chcesz. Są w drugim pokoju. Zielone.



Zmrużyłam oczy. Zielony to był mój ulubiony kolor. Skąd wiedziałeś? Naprawdę wiedziałeś o tym? Odwróciłeś się do drzwi.

- Pokażę ci inne pokoje. - Kiedy zorientowałeś się, że nie idę za tobą, odwróciłeś się znowu i podszedłeś tak blisko, że czułam zapach papierosowego dymu, którym przesiąknęło twoje ubranie. - Gemmo, ja nie zrobię ci krzywdy - szepnąłeś.

Znowu się odwróciłeś i wyszedłeś. W tym półmroku słyszałam, jak ściany jęczą, kurcząc się, gdy zanikało ciepło dnia. Poszłam za światłem twojej latarni do pokoju obok. Pod jedną ścianą była rozstawiona niska połówka, na niej leżał stos koców. Obok stał nocny stolik, pod przeciwległą ścianą były szafa i drewniana skrzynia.

- Na razie śpię tutaj - powiedziałaś. Unikałeś mojego wzroku. Ja chciałam uniknąć tego, jak twoje słowa zawisły w powietrzu, niedopowiedziane.

Łazienkę już znałam. Kolejne drzwi prowadziły do długiego składziku. W zasadzie nic tam nie było, nie licząc kilku mioteł, mopa i paru metalowych skrzynek. Poszłam za twoją lampą do drzwi naprzeciwko, do ostatniego pokoju w korytarzu. Był większy niż twoja sypialnia, niemal tak duży jak ten, o którym powiedziałaś, że jest mój. Na jednym końcu zobaczyłam szafkę i fotel. Wzdłuż całej ściany stały półki na książki, ale nie były szczególnie pełne. Otworzyłeś tę szafkę i pokazałeś mi gry na najniższej półce... Uno, Czwórki, Mastermind, Twister. Wszystkie je mieliśmy w domu, pamiętałam, jak grałam w nie z przyjaciółmi albo z rodzicami w święta. Tylko że te twoje były wyblakłe i stare, jakby kupione w sklepach ze starociami.

- Jest też maszyna do szycia, gitara... sprzęt sportowy - wyliczałeś.

Zerknęłam na książki, równo poustawiane na półkach. W świetle lampy mogłam odczytać tylko kilka tytułów. Wichrowe Wzgórza, Wielki Gatsby, David Copperfield, Władca much... powieści, które omawialiśmy w szkole. Nie widziałam tam żadnych współczesnych książek, sama klasyka. Spojrzałam na kolejną półkę. Ta zawierała głównie poradniki, przewodniki po pustynnych kwiatach i zwierzętach, studia o węzach. Były też książki o wiązaniu węzłów, budowaniu szałasów, o skałach. Zobaczyłam słownik języka Aborygenów. Kiedy patrzyłam na te tytuły, coś do mnie dotarło.

- Jesteśmy w Australii, prawda?

Szybkie skinienie głowy.

- Trochę czasu ci to zajęło - mruknąłeś.

Przypomniałam sobie, co powiedziałaś do mnie na lotnisku, czy nie chciałabym pojechać do Australii... i ten twój dziwny akcent. To miało sens. Nie licząc mojego przekonania, że Australia składa się wyłącznie z plaży i buszu, a nie niekończącego się

czerwonego piachu. Ale i tak poczułam przelotną iskierkę nadziei, że może jednak wszystko będzie w porządku. To był cywilizowany kraj, z wymiarem sprawiedliwości, policją i rządem. Musieli już zacząć mnie szukać, policja musiała rozpocząć śledztwo. Pewnie poszedł już alarm na cały kraj. A potem ta iskierka zgasła. Zabrałeś mnie z Bangkoku. Kto by się domyślił, że trzeba mnie szukać w Australii?

- Kto wie, że tu jestem? - spytałam.

- Nikt. Nikt nie wie, że my dwoje w ogóle gdzieś jesteśmy. Tu jest środek australijskiego interioru. Nawet na mapie nie ma tego miejsca.

Zmusiłam się do przełknięcia śliny.

- Nie istnieją miejsca, których nie ma na mapie.

- Tego nie ma.

- Kłamiesz.

- Ja nigdy nie kłamię.

- To jak mnie tu przywiozłeś?

- Z tyłu samochodu. Długo to trwało.

- Bez mapy?

- Jak mówiłem - syknąłeś. - Długo to trwało.

- Pamiętałabym.

- Zadbalem, żebyś nie pamiętała.

To mnie uciszyło. Twoje spojrzenie oderwało się od mojego, a ja cofnęłam się o krok. Pamiętałam chemiczny smród szmaty na twarzy. Podskakiwanie i podrygiwanie samochodu. Obrzydliwie słodkie czekoladki. Szukałam dalszych wspomnień, ale się nie pojawiały. Pokręciłam głową, w sumie to nie chciałam, by wróciły. Zrobiłam kolejny krok do tyłu, w ciemność, i oparłam się o półki. Kręciło mi się w głowie. Zastanawiałam się, co jeszcze przede mną ukrywasz. Jakże inne okropne tajemnice.

- Ktoś musiał cię widzieć - szepnęłam.

- Wątpię.

- Na lotniskach są kamery... Teraz są wszędzie.

- Tylko w centrum Londynu, tysiące. Ale większość z nich nie rejestruje nagrań.

Uniosłeś lampę. Światło rzucało cienie na twoją twarz, robiło ci sine worki pod oczami.

- Ktoś będzie mnie szukał. Rodzice będą.

- Prawdopodobnie.

- Oni są ważni, wiesz?

- Wiem.

- Mają kontakty, pieniądze. Będą w telewizji, roześlą moje zdjęcie po całym świecie. Ktoś mnie rozpozna.

- Mało prawdopodobne. - Przesunąłeś światło w moją stronę, czułam jego gorąco. - Większość drogi byłeś z tyłu, pod plandeką.

Znowu poczułam ściskanie w piersi, kiedy sobie wyobraziłam własne ciało, zwinięte i poskręcane, rzucone jak jakiś bagaż. To było jak upiorny horror, tylko jeszcze nie doszliśmy do sceny z nożem. Skrzyżowałam ramiona na piersi. Dlaczego niczego z tego nie pamiętam? Dlaczego tylko małe urywki? To, co mi dałeś, naprawdę było aż tak mocne? Zrobiłam jeszcze jeden krok, dalej od ciebie, tyłem, w stronę drzwi.

- Na lotnisku ktoś musiał cię widzieć. - Właściwie to mówiłam do siebie. - Ktoś musiał widzieć mnie. Nie ma siły, żebyś się przedostał przez wszystkie te zabezpieczenia i żeby nikt...

- Jeśli nawet ktoś cię widział, nie poznałby cię.

- Dlaczego?

- Miałaś perukę, okulary przeciwsłoneczne, obcasy, inną kurtkę. Paszport, który dla ciebie przygotowałem, był na inne nazwisko. Twój stary zostawiłem w śmietniku.

Poruszyłeś się w moim kierunku. Znowu twoje spojrzenie było tak intensywne, jakbyś czegoś chciał, a ja przypominałam sobie, jak na mnie patrzyłeś w kawiarni. Całkowicie się wtedy na to nabrałam. Tym razem było inaczej. Popatrzyłam na półki: Przewodnik po ssakach Australii stał kilka centymetrów od mojej twarzy. Pomyślałam, że mogłabym nim w ciebie rzucić.

- Twój plecak też zostawiliśmy w śmietniku - dodałeś. - Nie pamiętasz, jak się przebierałaś, zakładałaś spódnicę? Nie pamiętasz, jak mnie dotykałaś? Wtedy cię to bardzo bawiło.

W ustach zbierała mi się słona ślina, jakbym zaraz miała zwymiotować. Przesunąłeś się, stając między mną a drzwiami. Sięgnęłam po przewodnik po ssakach.

- Gem, teraz jesteś nową osobą - mruknąłeś. - Ta stara została w przeszłości. Masz szansę, żeby zacząć na nowo.

- Mam na imię Gemma - szepnęłam. Trzymałam książkę między nami, jakby ci nią grożąc. Też mi broń! - I nie pozwoliłam ci na to wszystko.

- Pozwoliłaś, podobało ci się.

Zrobiłeś ostatni krok, aż stanąłeś tuż przede mną. Oparłam się o półkę z książkami, wciskając w nią kręgosłup. Wyciągnąłeś rękę i dotknąłeś mojego policzka. Moja skóra natychmiast zrobiła się gorąca. Uniosłam książkę, trzymając ją przed szyją.

- Wtedy chętnie się zgadzałaś, pamiętasz?

- Nie.

Mój policzek był rozpalony pod twoim dotykiem. Kiedy na ciebie patrzyłam, zaciskałam mocno szczęki. Tak naprawdę pamiętałam. I to jeszcze wszystko pogarszało. Pamiętałam, jak się śmiałam, kiedy położyłeś mi coś na głowie, potem poprawiłeś. Pamiętałam ubranie, twoje plecy. Pamiętałam, jak bardzo chciałam cię pocałować. Zamknęłam oczy. Dźwięk kryjący się w głębi gardła wyostał się, nagle byłam zwinięta w kłębek i przytulona do półek. Twoja ręka leżała mi na plecach.

Uderzyłam i trafiłam w twój podbródek. Odepchnęłam cię z całej siły.

- Nienawidzę cię! - wrzasnęłam. - Nienawidzę cię, do cholery!

Natychmiast cofnąłeś rękę, jak oparzony.

- Może to się zmieni - mruknąłeś.

Zabrałeś ze sobą lampę, zostawiając mnie przytuloną do półek w ciemności.

Tej nocy nie mogłam spać, jak zwykle. I to nie przez upał. Nocą nigdy nie było tu gorąco. I także nie z powodu ciemności. Rozsunęłam zasłony, nagle spragniona światła księżycy.

Kiedy gorąco mijało i drewniane ściany rozszerzały się wokół mnie, brzmiało to, jakby siedziały w nich wilki i wyły... gotowe zaatakować. Nasłuchiwałam, układając poduszkę tak, żeby widzieć klamkę drzwi. Nie obracałam się na wypadek, gdyby ta krótka czynność miała zagłuszyć hałas z zewnątrz. Skrzypnięcia w ścianach brzmiały jak kroki na korytarzu. Byłam tak zesztywniała, że rozboleła mnie od tego głowa.

Koło mojego łóżka słabo świeciła lampa. Mogłabym ją chwycić, gdybym musiała. Mogłabym nią rzucić, gdyby tylko otworzyły się drzwi. Wyobrażałam sobie, gdzie bym celowała. Na drewnie obok framugi była czarna plama, mniej więcej na wysokości twojej głowy. Byłam zupełnie pewna, że by mi się udało. Ale co potem? Drzwi byłyby pozamykane, a nawet jeśli nie, dokąd mogłabym uciec tak, żebyś mnie nie znalazł?

Leżałeś w pokoju obok, tylko parę metrów ode mnie... dzieliła nas tylko cienka ściana. Usiłowałam myśleć o szkole, o czymkolwiek, byle nie o tobie. Próbowałam myśleć o Annie i Benie. Próbowałam nawet myśleć o rodzicach. Ale nic nie działało. Wszystko prowadziło do ciebie. Ze tam leżysz. Ze śnisz. Ze marzysz o mnie. Wyobrażałam sobie ciebie na tym stosie koców, z szeroko otwartymi oczyma, jak sobie wymyślasz, w jaki sposób mnie zabijesz.

Może dotykałeś sam siebie i wyobrażałeś sobie, że ja to robię. A może miałaś oko przyciśnięte do szpary w ścianie, obserwując, jak na ciebie czekam. Może to cię podniecało. Nasłuchiwałam, czy twoje rzęsy nie ocierają się o drewno. Ale słychać było tylko skrzypienie.

W końcu zasnęłam, ale nie wiem jak. Musiało już wtedy prawie świtać, moje ciało po prostu się poddało, wyczerpane napięciem. Kiedy to się stało, miałam sen...

Byłam z powrotem w domu. Ale nie tak naprawdę, to było tak, jakbym ja mogła widzieć, co się dzieje, ale za to nikt nie widział mnie. Opierałam się o parapet okna w rogu naszego salonu.

Mama i tata też tam byli, siedzieli razem na białej kanapie. Rozmawiało z nimi dwóch policjantów, siedzieli na niewygodnych krzesłach, które mama przywiozła z Niemiec. Były kamery i dziennikarze. Wszędzie ludzie. Nawet Anna tam była, stała za kanapą z ręką na ramieniu mamy. Jeden z policjantów pochylał się, opierając łokcie na kolanach, i zarzucał mamę pytaniami.

- Kiedy pani po raz ostatni widziała swoją córkę, pani Toombs?

- Czy Gemma kiedykolwiek wspominała o ucieczce z domu?

- Czy może pani opisać, co córka miała tego dnia na sobie?

Mama była zdezorientowana, patrzyła na tatę w poszukiwaniu odpowiedzi. Ale policjant był zniecierpliwiony, ze złością zerkał na kamery.

- Pani Toombs - zaczął. - Zniknięcie pani córki to poważna sprawa. Musi sobie pani zdawać sprawę z tego, że informacje o tym znajdą się we wszystkich gazetach.

Kiedy mama to usłyszała, otarła oczy. Nawet zdobyła się na słaby uśmiech.

- Jestem gotowa - odpowiedziała. - Musimy zrobić wszystko, co się da.

Tata wyrównał krawat. Ktoś zaświecił na nich oboje ostrym światłem, a Anna wycofała się z kadru.

Próbowałam krzyknąć, dać im znać, że tam jestem, w salonie, z nimi, ale mimo moich wysiłków nie pojawiał się żaden dźwięk. Moje usta były szeroko otwarte, lecz głos utknął gdzieś w piersi. Potem poczułam, jak coś, jakaś siła ciągnie moje ciało do tyłu, do okna, wprost przez szybę, niczym ducha. I już byłam na dworze, w chłodnym nocnym powietrzu.

Przycisnęłam się do okna, usiłując z powrotem przeniknąć przez szkło. Byłam obolała i zmarznięta, desperacko chciałam wrócić do środka. Potem poczułam wokół siebie twoje silne ramię, jak mnie przyciąga do twojej piersi, twój ciepły oddech na czole.

- Teraz jesteś ze mną - szeptałeś. - Ja cię nigdy nie puszcze.

Widziałam jeszcze, jak mama wygłasza apel do kamer, płacząc, podczas gdy światła stawały się coraz jaśniejsze. Twój ziemisty zapach wypełnił mi nozdrza. A twoje ciało przygniatało moje. Twoje ramiona owinęły się wokół mnie niczym koc, twoja pierś była twarda jak skała.

Obudziłam się, dysząc i krztusząc się. Twój zapach wciąż tu był, w pokoju. Wypełniał go niczym powietrze.

Leżałam, nasłuchując. Ale musiałam iść do ubikacji.

Nie chciałam wracać do łóżka. Zamiast tego cichutko chodziłam po domu. Nigdzie cię nie było. Zaczęłam szukać kluczyków do auta, kluczy do domu, czegokolwiek, co mogłoby się przydać. Broni też szukałam. I oczywiście telefonu, jakiegokolwiek sposobu komunikacji z innymi ludźmi. Musiało coś być, przynajmniej radio.

Zaczęłam od salonu. Szukałam cicho, cały czas nasłuchując, czy nie nadchodzisz. Zaglądałam do szuflad, pod matę, nawet do kominka. Nic. Przeszłam do kuchni. Pod blatem były cztery szuflady. W pierwszych dwóch nie znalazłam w zasadzie nic, tylko parę bawełnianych toreb i trochę kołków. W trzeciej szufladzie leżały stare, tępe sztucce. Mogły się przydać. Wzięłam nóż - najostrzejszy, jaki udało mi się znaleźć (wypróbowałam go na drewnie) - i schowałam go do kieszeni.

Czwarta szuflada była zamknięta. Szarpnęłam nią. Uchwyt zaczął się ruszać, ale oprócz tego ani drgnęła. Pośrodku była dziurka od klucza. Przyłożyłam do niej oko, lecz wewnątrz było za ciemno, by dało się cokolwiek zobaczyć. Wcisnęłam do dziurki nóż i spróbowałam ją otworzyć w ten sposób. Nic. Sprawdziłam pojemniki na herbatę i cukier w poszukiwaniu klucza.

Przeszukałam resztę kuchni, ostrożnie otwierając szafki. Nie wiem, czego się spodziewałam, może jakiegoś narzędzia tortur albo wielkiego noża. Cokolwiek to było, nie znalazłam ani tego, ani klucza. Szafki zawierały w zasadzie to samo, co zawierałyby szafki w każdej innej kuchni - miski, talerze, przybory do gotowania. Nic użytecznego dla mnie, chyba że walnęłabym cię w głowę patelnią. Co było kuszące.

Potem otworzyłam spiżarnię koło drzwi. W środku było jedzenie. Puszki i paczki leżały równo ułożone na półkach, a baryłki mąki, cukru i ryżu stały na podłodze. Weszłam do środka. Całość była naprawdę nieźle zorganizowana, większość rzeczy ułożona alfabetycznie. Puszki z grzybami, torby suszonych melonów, torby z soczewicą. Stałam na palcach, żeby obejrzeć górne półki. Tam były słodsze produkty - kakao, budyń w proszku i galaretka. Na samym końcu spiżarni była cała półka pudełek soku pomarańczowego.

Chwilę potrwało, zanim wyszłam. A kiedy wyszłam, ty stałeś w kuchni. Cofnęłam się gwałtownie, byle dalej od ciebie. Na policzkach miałeś rozmazany brązowawy pył, a na rękach czerwony piach. Minę miałeś poważną, czekałeś na mnie.

- Co tam robiłaś?

- Rozglądałam się - odpowiedziałam. Instynktownie sięgnęłam do kieszeni po tępy nóż. Mocno zacisnąłeś wargi i popatrzyłeś na mnie groźnie. Czułam, jak serce bije mi coraz szybciej, ścisnąłam rękę na trzonku. - Jeśli mam tu na jakiś czas zostać, pomyślałam, że lepiej będzie poznać dom - ciągnęłam drżącym głosem.

Skinąłeś głową. Wydawałeś się z tego zadowolony. Odsunąłeś się na bok i dałeś mi przejść. Wypuściłam wstrzymywany oddech, najciszej jak mogłam.

- Znalazłaś coś ciekawego?

- Dużo soczewicy.

- Lubię soczewicę.

- Bardzo dużo tam jedzenia.

- Będzie nam potrzebne.

Obeszłam stół kuchenny, by znaleźć się dalej od ciebie, pełna ulgi i odrobinę odważniejsza.

- To nie ma tu sklepu? Nie można dokupić?

- Nie, już ci mówiłem.

Zajrzałam znów do spiżarni. Jak tu to wszystko ściągnąłeś? I co by się stało, gdybym zniszczyła część zapasów? Pojechałbyś po więcej?

Przesunęłam ręką po oparciu jednego z krzeseł wsuniętych równo pod stół.

- Na jak długo wystarczy? - spytałam.

Patrzyłam na jedzenie i próbowałam obliczyć. Było dosyć może tak na rok. Może na dłużej.

Wzruszyłeś ramionami.

- W stodole jest więcej - odparłeś. - Dużo więcej.

- A kiedy i to się skończy?

- Nie skończy się. Jeszcze długo nie.

Serce mi zamarło. Patrzyłam, jak powoli przekręcasz kurek; pociekła cienka strużka wody.

- A poza tym mamy kury - dodałeś. - A kiedy ty... - Przerwałeś i spojrzawszy na mnie, zanim wybrałeś właściwe słowo. - Kiedy się zaaklimatyzujesz, możemy zbierać jedzenie w

okolicy. Możemy też kiedyś złapać wielbłąda, albo i parę. Możemy je trzymać w skałach, postawić dookoła płot...

- Wielbłądy?

Pokiwaleś głową.

- Na mleko. Albo nawet na mięso, jeśli będziesz chciała.

- Wielbłądzie mięso? Nie ma mowy!

Dostrzegłam ostrzeżenie w twoich oczach, zobaczyłam, jak twoje ramiona zeszywniały. Skuliłam się i mocno zacisnęłam ręce na oparciu krzesła.

Umyłeś ręce. Woda była czerwonawobrazowa, jak krew. Patrzyłam, jak spiralami znika w odpływie. Szczoteczką wyczyściłeś brud zza paznokci. Jak powiedziałam, tego dnia czułam się trochę odważniejsza, po raz pierwszy, odkąd się tu znalazłam. Nie wiem czemu, ale chciałam zapytać cię o więcej. I już mi się nie wydawało, że się we mnie ciągle tak intensywnie wpatrujesz. Obeszłam stół i zatrzymałam się obok zamkniętej szuflady.

- Dlaczego jest zamknięta? - spytałam.

- Dla twojego bezpieczeństwa. Po tym numerze z nadgarstkiem... - Słowa odpłynęły, kiedy odwróciłeś się z powrotem do zlewu i szorowałeś dalej. - Nie chcę, żebyś znowu zrobiła sobie krzywdę.

- Co jest w środku?

Nie odpowiedziałeś. Więc ja zaczęłam znowu szarpać się z szufladą, a ty cofnąłeś się od zlewu i skoczyłeś na mnie, obejmując mnie ramionami w pasie. Odciągnąłeś mnie i poprowadziłeś przez kuchnię i w głąb korytarza. Wrzeszczałam i kopałam, ale ty się nie zatrzymywałeś, dopóki nie dotarłeś do mojego pokoju. Rzuciłeś mnie na łóżko. Szybko odpełzałam dalej od ciebie. Usiłowałam wymacać w kieszeni nóż. Zanim jednak go wyciągnęłam, byłeś z powrotem na progu.

- Obiad będzie gotowy za pół godziny - powiedziałeś. I zatrzaskałeś za sobą drzwi.

Tej nocy czuwałam z tępym nożem w dłoni i latarnią przy głowie. Zastłony były rozsunięte, światło księżyca padało na drzwi. Jednego byłam pewna - niczego mi nie zrobisz bez walki.

Obserwowałam cię uważnie, ucząc się twoich zwyczajów. Jeżeli miałam uciec, musiałam dowiedzieć się więcej i o tym miejscu, i o tobie. Patrzyłam, gdzie co kładziesz, i usiłowałam znaleźć system we wszystkim, co robiłeś. Bałam się. W niektóre dni byłam ogłupiała z przerażenia, lecz zmuszałam się do tego, żeby myśleć.

Użyłam zabranego z kuchni noża do robienia nacięć na brzegu łóżka. Nie mogłam sobie przypomnieć, ile dni już minęło, ale uznałam, że jakieś dziesięć. Zrobiłam w drewnie



dziesięć małych nacięć. Gdyby ktokolwiek inny na to spojrział, mógłby pomyśleć, że odznaczam, ile razy się kochaliśmy.

Twoje zwyczaje były całkiem proste. Wstawiałeś wcześniej, w najchłodniejszą część dnia, kiedy światło było słabe i fioletowoszare. Słyszałam, jak myjesz się w łazience. Potem wychodziłeś. Czasami docierały do mnie jakieś hałasy, walenie młotka w pobliżu zabudowań - dźwięk niósł się echem. Kiedy indziej nie słyszałam niczego. Wytężałam słuch, aby dosłyszeć ryk silnika, samochód albo samolot gdzieś w pobliżu. Odkryłam, że tęsknię za autostradą. Ale nigdy niczego nie usłyszałam. Zdziwiająco, jak wokół było cicho. Nie byłam do tego przyzwyczajona. Przez dzień czy dwa wydawało mi się nawet, że mam uszkodzony słuch. Jakby wszystkie dźwięki, do których przywykłam, nagle zniknęły. W porównaniu z nieustannym bombardowaniem hałasem w Londynie na pustyni czułam się jak głucha.

Po paru godzinach wracałeś. Robiłeś śniadanie i herbatę, zawsze mi je proponowałeś. Było to coś w rodzaju owsianki na wodzie z jakimś smażonym mięsem na wierzchu. Potem znowu wychodziłeś na resztę dnia. Patrzyłam, jak przemierzasz około trzydziestu metrów do najbliższego budynku. Zamykałeś za sobą drzwi. Nie wiem, co tam codziennie robiłeś tak długo. Mogłam się domyślać, że w środku trzymasz inne porwane dziewczyny. Albo i gorzej.

Znalazłam najciemniejszą, najchłodniejszą część domu - róg salonu, obok kominka. Siedziałam tam i usiłowałam przygotować różne scenariusze ucieczki. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogłabym się poddać. Wiedziałam, że jeśli to zrobię, będzie koniec. Mogłabym równie dobrze od razu umrzeć.

Kiedy wracałeś, próbowałeś ze mną rozmawiać, ale to niewiele dawało. Nie możesz mieć do mnie pretensji. Zawsze kiedy na mnie spoglądałeś, sztywniałam, mój oddech przyspieszał. Gdy się odzywałeś, chciałam wrzeszczeć. Ale stawiałam przed sobą małe zadania. Raz zmusiłam się, żeby cię obserwować. Następnym razem zadałam ci pytanie. A trzynastej nocy przemogłam się, by zjeść razem z tobą.

Panował mrok, kiedy weszłam z salonu do kuchni. Nad kuchenką świeciło słabe światło - jedno z niewielu w domu - a ćmy i inne owady obijały się o nie. Gotowałeś przy tym świetle. Byłeś pochylony, wrzucałeś różne rzeczy do garnka, mieszając szybko. Resztę pomieszczenia oświetlało kilka latarni i parę świeczek, które rzucały drżące cienie na ściany. Uśmiechnąłeś się na mój widok, ale w półcieniu wyglądało to bardziej na grymas.

Usiadłam przy stole. Położyłeś przede mną widelec. Wzięłam go, ale ręka zaczęła mi się trząść. Odłożyłam widelec. Spojrzałam na czerń po drugiej stronie okna. Wziąłeś miski i nałożyłeś jedzenie. Zrobiłeś to ostrożnie, zaczynając od najlepszych kawałków. Postawiłeś

miskę przede mną. Jedzenia było za dużo i mocno pachniało białym pieprzem. Rozkaszałam się.

Było tam mięso, może kurczak, a może nie. Dużo tłuszczu i chrząstek, nawet kawałki kości. Ze środka sterczała pionowo noga. Cokolwiek to było, wyraźnie wykorzystałeś całe zwierzę, nie tylko większe kawałki. Grzebałam widelcem w misce w poszukiwaniu warzyw. Znalazłam coś małego, podobnego do groszku, pomarszczonego i twardego. Ręka wciąż mi drżała. Widelec stukał przez to o brzeg miski. Wyłowiłam coś wyglądającego jak kawałek marchewki i zaczęłam to żuć.

Wtedy już dałam sobie spokój z głodzeniem się. Gdybyś chciał mnie otruć, już dawno byś to zrobił. Ale nie mogę powiedzieć, żeby mi smakowało. Oczywiście, zauważyłeś to. Zawsze zauważałeś wszystko, co było związane z moim zdrowiem.

- Nie jesz jak trzeba - zauważyłeś.

Popatrzyłam na mój dygocący widelec. Gardło miałam zbyt ściśnięte, żeby od razu przełknąć. A poza tym potrawa smakowała, jakbyś wsypał mi do ust zawartość kosza na śmieci. Ale tego ci nie powiedziałam. Pewnie, że nie. Milczałam i patrzyłam, jak wypychasz jedzenie do ust. Jadłeś jak uliczny pies, pożerałeś wszystko, jakby to miał być twój ostatni posiłek w życiu. Wziąłeś do ręki kość i obgryzałeś ją, odrywając zębami paski mięsa. Wyobrażałam sobie, jak te zęby wbijają się we mnie, rozrywają moje ciało. Odsunęłam kości na brzeg talerza.

Księżyc już wschodził, mały promień światła padał na podłogę u moich stóp. Na zewnątrz, pod budynkiem, świerszcze zaczynały skrzypieć w swoim monotonnym refrenie. Wyobraziłam sobie, że jestem z nimi na dworze, w ciemności... z dala od ciebie. Przełknęłam resztki tego marchewkopodobnego warzywa i zebrałam się na odwagę.

- Co robisz przez cały dzień? - spytałam.

Uniosłeś brwi z zaskoczenia. Niemal się zakrztusiłeś tym mięsem. Szkoda, że jednak nie.

- Kiedy wychodzisz z domu - ciągnęłam. - Kiedy idziesz do tej szopy, co tam robisz?

Odłożyłeś kość, tłuszcz na twoich policzkach lśnił w świetle świec. Patrzyłeś na mnie szeroko otwartymi oczyma, jakby jeszcze nikt nigdy nie zadał ci takiego pytania. Bo pewnie nie zadał.

- No, ja... - zacząłeś. - Chyba tworzę różne rzeczy. Tak bym powiedział.

- Mogę zobaczyć? - poprosiłam szybko, nim mogłabym zmienić zdanie.

Znowu spojrzałam przez okno. Gdybym tylko mogła wyjść, dostać się gdzieś... wszystko byłoby lepsze niż siedzenie całymi dniami w tym domu.

Długo na mnie patrzyłeś. Czubki twoich palców pocierały kawałki mięsa, które jeszcze zostały na kości. Palce też miałeś wymazane tłuszczem.

- Jeżeli chcesz iść ze mną, nie wolno ci znowu próbować uciec - oznajmiłeś.

- Okej - skłamałam.

Zmrużyłeś oczy.

- Ja tylko... nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

- Wiem, nie musisz się martwić - skłamałam znów.

Spojrzałeś przez okno na gwiazdy.

- Chciałbym ci ufać - powiedziałeś. Znowu popatrzyłeś mi w oczy. - Mogę?

Przełknęłam ślinę, usiłując wymyślić jakiś sposób na przekonanie cię. To mnie wkurzyło. Nie miałam zamiaru zniżyć się do twojego poziomu w jakimkolwiek celu, a zwłaszcza o coś cię prosić.

- Przecież wiem, że nigdzie nie dotrę - przyznałam w końcu. - Wiem, że ucieczka nie ma sensu. Nie będę nawet próbować, obiecuję. - Nadal mi się nie wydawało, żebyś uwierzył w to ostatnie, więc dodałam: - A poza tym jestem ciekawa, co robisz całymi dniami.

Nawet się uśmiechnęłam, mówiąc to. Bóg jeden wie, jak mi się to udało, musiałam zyskać w tym momencie jakąś nadludzką siłę. Chyba moje oczy nie uśmiechały się dostatecznie, wpatrywały się w twoje i nienawidziły cię.

Twoje oczy były otwarte szeroko, jak u dziecka. Twoje palce ślizgały się po mięsie. A potem szybko skinąłeś głową. W tym geście przypominałeś mi ptaka, wydziobującego ziarno. Myślę, że bardzo chciałeś uwierzyć w to, że zaczynam się przełamywać. Znów odwróciłeś się do okna. Zapomniałam o dumie i spróbowałam jeszcze raz.

- Rób to samo co zwykle. Ja chcę tylko zobaczyć.

Usłyszałam twój kaszel, zanim jeszcze otworzyłam oczy. Światło było słabe i szarawe. Stałeś przy łóżku z kubkiem w ręku. Cofnęłam się, dalej od ciebie. Wydawało się, że czekasz tu od jakiegoś czasu. Kubek stuknął cicho, kiedy postawiłeś go na nocnym stoliku.

- Herbata - powiedziałeś. - Zaczekam w kuchni. Tym razem wypiałam. Ale zrobiłeś ją tak, jak ty lubisz - z dwiema łyżeczkami cukru. Była za słodka. Ubrałam się, nawet włożyłam te beżowe ciuchy, które mi kupiłeś. Pachniały czysto, trochę ziołowo. Zasznurowałam buty - rozmiar 38, leżały idealnie. Potem poszłam za zapachem chleba do kuchni. Siedziałeś na drewnianej skrzynce, której używałeś jako schodka, zaraz za otwartymi drzwiami. Potarłam dłońmi ramiona, czując chłód porannego powietrza. Dobrze było zobaczyć świat przez otwarte drzwi, nawet jeżeli w tym świecie niczego nie było. Słońce ledwo wyglądało znajad

horyzontu. Jego promienie padały na piach za tobą, sprawiając, że twoje ciało wyglądało, jakby świeciło... jakby miało coś w rodzaju aury.

- Zrobiłem placki - powiedziałeś. - Jedz. Wskazałeś na grudki ciasta leżące na blacie. Wzięłam jedną. Była rozmiarów bułki, ale miała dziwny kształt. Była za gorąca, żeby się dało ją wygodnie trzymać. Spróbowałam wsadzić ją do ust i poparzyłam sobie wargi. Dałeś mi szklankę wody.

- Gotowa?

Pokiwałam głową, wychodząc na słońce. Tym razem upał nie był tak silny, ale mimo to promienie słońca od razu zaczęły łaskotać mnie w kark. Próbowałam osłonić oczy i rozejrzeć się, ale zachwiałam się na skrzynce. Widok był taki rozległy. Pomyślałam, że nigdy go dobrze nie zapamiętam. Jak ktokolwiek mógłby zapamiętać coś tak dużego? Chyba ludzkie mózgi nie są zaprojektowane na tego typu wspomnienia, raczej na numery telefonów albo kolor czyichś włosów. Nie na ogrom.

Kopnąłeś grudkę piasku obok skrzynki. Był ciemnoczerwony, jak rdza. Jakby powstał z krwi, a nie ze skał, w niczym nie przypominał gładziutkiego piasku na plaży. Zrobiłeś parę kroków, sunąc palcem przez kurz na ścianie domu, rysując na drewnie wijącą się linię. Zeskoczyłam ze skrzynki i poszłam za tobą. Przeszedłeś parę metrów do rogu domu - pierwszy raz zobaczyłam, że stał na wielkich kawałach betonu. Pod nim była ciemna i wyglądająca na chłodną przestrzeń, akurat na tyle duża, żeby tam wpełznąć. Przyklęknałeś i wsadziłeś w tę dziurę patyk.

- Ciągle tam siedzi - mruknąłeś. - Na tyle daleko, żeby nie dało się go złapać.

- Kto?

- Wąż.

Odskoczyłam od budynku.

- Jaki wąż? Może dostać się do domu?

Pokręciłeś głową.

- Raczej nie. - Podniosłeś wzrok. - Tylko pamiętaj, żeby wychodzić w butach, okej?

- Dlaczego? Jest niebezpieczny?

Przymknąłeś jedno oko przed światłem słońca i obserwowałeś mnie.

- Nie - oznajmiłeś. - Nic by ci się nie stało. - Wstałeś, kolana miałeś umazane na czerwony brąz. - Po prostu chodź w butach, dobra?

Oparłeś się o ścianę, mrużąc oczy, kiedy patrzyłeś na dom. Stąd wyglądał słabo i nieporządnie, jak duży kawał drewna wyrzuconego przez wodę. Podskoczyłeś, złapałeś za blaszany dach i podciągnąłeś się, aby spojrzeć na rządęk lśniących płyt.

- Nasz prąd - powiedziałeś. - I nasza gorąca woda.

Zmrużyłam oczy.

- Energia słoneczna - wyjaśniłeś, a kiedy nadal miałam głupią minę, dodałeś: - Oczywiście nie jesteśmy podłączeni do żadnej sieci.

- Dlaczego nie?

Popatrzyłeś na mnie jak na idiotkę.

- Tutaj słońce jest na tyle silne, że energii starczyłoby do ogrzania całej planety. Stosować cokolwiek innego byłoby głupotą. Tylko jeszcze nie miałem czasu wszystkiego prawidłowo podłączyć. - Dotknąłeś jakichś drutów niknących w ścianie, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. - Za jakiś czas zamontuję w domu więcej lamp, jeśli tylko zechcesz.

Czułam, jak na czole tworzą mi się krople potu. Chociaż było jeszcze wcześniej, słońce zaczynało przebijać się przez moją koszulkę, już swędziało mnie pod pachami. Zeskoczyłeś z dachu na piasek, o który miękko uderzyły twoje stopy.

- Chcesz zobaczyć ogródek z ziołami?

Ruszyłeś przez piach w stronę zabudowań. Poszłam za tobą, wzrokiem badając krajobraz w poszukiwaniu czegokolwiek, kogokolwiek... jakiegokolwiek ruchu. Podeszedłeś do małego ogrodzenia tuż obok samochodu. W środku ziemia była przekopana i przewrócona.

- Oto ogród. Jakoś się nie sprawdza, co?

Popatrzyłam na twoją kolekcję wysuszonych łądyg.

Wyglądały jak zioła, które kiedyś mama próbowała hodować w terakotowych donicach na tarasie. Z mamy nigdy nie była wielką ogrodniczką.

- W ogóle się nie sprawdza - stwierdziłam. Uklękałam i przecisnęłam ręce między drewnianymi kołkami płotu. Dotknęłam ziemi. Była twarda jak beton. Te zioła mamy też w końcu przejęłam. Hodowałam pietruszkę i miętę... w każdym razie do zimy.

- To nie jest dobre miejsce - odparłeś. Bez entuzjazmu skubałeś twarde, brązowe łądygi. Jeden listek został ci w ręku. Spojrzałeś na skały za domem. - Ogród w Samotnych jest lepszy.

Ja też spojrzałam na skały. Słońce tworzyło między nimi cienie.

- Co jeszcze tam jest?

- Grządka z warzywami, więcej ziół, dużo jedzenia... miodła, jupuna, pomidory pustynne... co tylko zechcesz. Kręci się parę przepiórek, jaszczurka... i są kury.

- Kury?

- Ktoś zostawił przy drodze klatkę, więc je zabrałem, jak jechaliśmy tutaj. Nie pamiętasz? Były z tyłu. - Twoje oczy zaślniły trochę. - Pewnie nie, co? Były półżywe, ty w zasadzie też. - Sięgnąłeś do kieszeni, wyjąłeś małą piersiówkę i wylałeś jakiś płyn na wyschnięte zioła. - To tylko woda - wyjaśniłeś.

Chciałam wyrwać ci tę butelkę i dać im więcej.

- To im nie wystarczy - powiedziałam. Spojrzałeś na mnie ostro, ale wylałeś na rośliny jeszcze trochę. Wyprostowałeś się.

- Te w Samotnych są zdrowsze - powtórzyłeś. - Tam jest cień, wiesz? I trochę wody.

Przypomniałam sobie ścieżkę, którą widziałam między skałami; zastanawiałam się, co jest po drugiej stronie.

- Możemy tam pójść? - spytałam.

Popatrzyłeś na mnie, oceniając moje zamiary.

- Może jutro.

Odszedłeś od ziół i zrobiłeś parę kroków przez piasek. Spojrzałeś, ale nie w stronę Samotnych, tylko na tę niekończącą się rdzawą ziemię. Rozciągała się przed nami; falujące morze piasku, a także małe zielone krzaczki unoszące się na jego powierzchni.

- Przez setki kilometrów nie ma innych ludzi - powiedziałeś. - Naprawdę. Ale dzięki temu wszystko jest lepsze, nie?

Zerknęłam na ciebie. Mogłeś albo żartować, albo mówić to, żeby mnie wystraszyć. Ale nie sądzę, żeby tak było. Miałeś to swoje nieobecne spojrzenie, kiedy twoje oczy robią się odrobinę zamglone i wydaje się, że patrzysz gdzieś aż za horyzont. W tej chwili nawet się ciebie nie bałam. Wyglądałeś jak jakiś odkrywca rozglądający się po okolicy, planujący, dokąd iść.

- Ta pustynia. Ma jakąś nazwę? - spytałam.

Zamrugąłeś. Kąciki ust ci zadrgały.

- Piaszczysta.

- Co?

Zacisnąłeś wargi, usiłując się nie śmiać. Lecz nie udało ci się. Ramiona zaczęły ci się trząść, w końcu odchyliłeś głowę. Twój śmiech był głośny i głęboki, aż podskoczyłam. Twoje ciało poruszało się z wdziękiem, w końcu padłeś na ziemię. Wziąłeś do ręki trochę piasku i pozwoliłeś, by przesywał ci się między palcami.

- Dobra nazwa, co? - powiedziałeś, gdy już się opanowałeś. - To jest Wielka Pustynia Piaszczysta i fakt, jest piaszczysta. - Rozwarłeś palce i piasek posypał się pomarańczowy wodospadem. - Nic, tylko wydmy. Zobacz.

Zrobiłam krok w twoją stronę, tylko jeden. Znowu wzięłeś garść piasku i wyciągnąłeś rękę w moją stronę, wciskając palce w ziarenka.

- Ten piasek jest najstarszy na świecie - oznajmiłeś. - Nawet ta ziemia, na której siedzę, formowała się przez miliardy lat, starła się z gór.

- Gór?

- Kiedyś tu były góry wyższe niż Andy. To starodawna ziemia, uświęcona, widziała wszystko, co można było zobaczyć. - Sypnąłeś piaskiem w moją stronę. - Gorący, prawda? Ten piasek żyje.

Wzięłam garść. Ziarenka paliły mi skórę, wypuściłam wszystkie pośpiesznie. Po raz drugi tego ranka sprawiłeś, że moja skóra była rozpalona. Przesunąłeś palcami po miejscu, gdzie upadły, potem zanurzyłeś w piachu całą dłoń. Zamknąłeś oczy przed promieniami słońca.

- Piasek jest jak łono - stwierdziłeś. - Ciepły i miękki, bezpieczny.

Drugą dłoń też zagrzebałeś. Twoje ramiona odprężyły się, całe ciało znieruchomiało. Wyglądałeś jak człowiek po zapaleniu skręta - kompletny odlot. Dziwne to było. Zrobiłam krok w tył, potem kolejny. Nie zatrzymałeś mnie. Po paru chwilach zdjąłeś buty i stopy też zanurzyłeś. Wyglądałeś, jakbyś wyrósł z piasku. Uchyliłeś prawe oko i poszukałeś mnie wzrokiem.

- Coś obmyślasz - stwierdziłeś.

Ruchem głowy wskazałam twoje stopy.

- To cię nie boli?

- Nie. - Pokręciłeś głową. - Moje stopy są twarde, wszystko musi takie być, żeby tu przetrwać.

Słońce parzyło mnie w kark. Wydawało mi się, że dostrzegam coś w dali, nieco po lewej, jakiś cień. Może kolejne skały, może tylko drżenie gorącego powietrza. Patrzenie na to bolało. Podeszłam metr czy dwa naprzód, żeby zobaczyć lepiej, ale szybko się poddałam. Czymkolwiek były te ledwie widoczne cienie, znajdowały się niemożliwie daleko. Trzeba by było godzin, a może nawet i dni, żeby dotrzeć w ich pobliże.

Uklękałam obok jednej z licznych kępek traw rozrzuconych po okolicy. Z daleka trawa wydawała się miękka jak gąbka, jak wielkie kule mchu, ale kiedy przesunęłam po niej palcami, kolce kłuły i drapały moją skórę. To były te igły, na które nastąpiłam, kiedy próbowałam uciec - przez nie miałam tak poranione stopy.

Usłyszałam, jak poruszasz się za mną. Usłyszałam, jak przełykasz ślinę. Przypomniało mi to nasze spotkanie na lotnisku. Wtedy byłeś na tyle blisko, żeby się o mnie otrzeć. Tym

razem się odsunęłam. Kiedy na ciebie spojrzałam, miałeś uniesioną rękę, jakbyś chciał mnie dotknąć.

- Nie - powiedziałam. - Proszę.

Zamiast tego dotknąłeś rośliny. Lekko przesunąłeś palcami w górę jednego z jej długich, podobnych do kolców liści. Ciebie najwyraźniej nie kłuła.

- Spinifeks - oznajmiłeś. - Kiedy jest naprawdę sucha, jej liście się zwijają. Zamyka się w sobie. - Zerknąłeś znowu na mnie, twoje oczy w świetle słońca były całkiem blade. - Niezła technika przeżycia, nie?

Nie chciałam patrzeć na twoje zbyt blade oczy, więc spojrzałam na cienie w oddali. Gorąco zaczynało się unosić nad ziemią, sprawiając, że wszystko wydawało się rozedrgane i nierealne... robiło mi się niedobrze.

Ruszyłeś w stronę zabudowań. Zawahałam się przy twoim samochodzie, zaglądając przez szybę, żeby sprawdzić, czy nie zostawiłeś w środku kluczyków.

Kiedy oparłam się o drzwi, ubrudziłam sobie ubranie na pomarańczowo. Pod warstwą kurzu samochód był biały. Wokół okien były plamki rdzy, na tylnym siedzeniu kanister z benzyną czy czymś, a z przodu jakiś pognieciony ciuch. Pod tablicą rozdzielczą były dwie dźwignie zmiany biegów. Położyłam rękę na jednej z ciepłych, grubych opon.

Gdy cię dogoniłam, wyglądałeś na znudzonego.

- Nie wiem, dlaczego ciągle próbujesz - stwierdziłeś. - Nie ma wyjścia.

Wyciągnąłeś klucz z kieszeni koszuli i stanąłeś na skrzynce przed pierwszym z baraków. Klucz szczęknął, kiedy go wsadzałeś do dziurki. Zatrzymałeś się, zanim otworzyłeś drzwi.

- Nie chcę cię tam zabierać, jeśli nie jesteś gotowa - powiedziałeś twardo.

Drzwi opadły trochę na zawiasach, gdy je otworzyłeś. Pomieszczenie w środku było ciemne i wyglądało na puste. W głębi dostrzegłam jakieś cienie, ale nic więcej. Nagle odechciało mi się tam wchodzić. Zamarłam, oddychałam coraz szybciej. Miałam wizję, jak mnie tam zabijasz, zabijasz mnie w tej ciemności... zostawiasz moje ciało, żeby zgniło. Do tego miałeś na twarzy taki dziwny uśmiech, jakbyś to właśnie zamierzał zrobić.

- Nie wiem... - zaczęłam, ale ty po prostu chwyciłeś mnie za ramiona i wepchnąłeś do środka.

- Spodoba ci się - oznajmiłeś.

Zaczęłam wrzeszczeć. Trzymałeś mnie coraz mocniej, te twoje silne ramiona ścisnęły porządnie. Szarpałam się, usiłowałam się wyrwać. Ale twój uścisk w niczym nie ustępował uściskowi pytona. Ciągnąłeś mnie do pomieszczenia. Było tu tak ciemno.



- Nie ruszaj się! - krzyknąłeś. - Stój. Poniszczysz.

Ugryzłam cię w ramię, oplułam. Jakoś udało mi się wyslizgnąć. Upadłam na podłogę, mocno uderzyłam się w kolano. Złapałeś mnie za ramię i wcisnąłeś w ziemię, używając całej siły, żeby mnie przytrzymać.

- Powiedziałem, że masz się nie ruszać!

Byłeś rozhisteryzowany, podniosłeś głos. Drapałam podłogę, próbując chwycić się czegoś, odsunąć się.

- Nie rób mi krzywdy!

Uderzyłam na osłep. Moja pięść w coś trafiła. Wydałeś z siebie jakby jęk zaskoczenia. A potem, nagle, puściłeś mnie. Wstałam. Zataczałam się, biegnąc tam, gdzie wydawało mi się, że powinny być drzwi.

- Przestań... STÓJ!

Potknęłam się i znowu upadłam. Na rękach czułam coś mokrego i lepkiego, dokładnie tam, gdzie wylądowałam. Przeczółgałam się przez to. Nie kończyło się. Cała podłoga była mokra. I jeszcze jakieś rzeczy... twarde, ostre, drapiące mnie w nogi. Były miękkie kawałki czegoś. Jakby ubrania, ubrania tych wszystkich dziewczyn, które tu mogłeś pozabijać. Tym lepkiem byłam już umazana po łokcie. Jakby krwią. Uderzyłeś mnie, a ja tego nie zauważyłam? Dotknęłam czoła.

- STÓJ! Gemmo, proszę, nie ruszaj się z miejsca!

Plakałam i wrzeszczałam, usiłując dotrzeć jak najdalej.

Ty też wrzeszczałeś. Słyszałam, jak się obijasz po pokoju, tuż za mną. Za chwilę poczuję ostrze noża w ramieniu albo siekiere w głowie. Co chwila podnosiłam rękę, żeby sprawdzić, czy już mnie trafiłeś. Dotknęłam szyi. Nie wiedziałam, gdzie są drzwi. Przesuwałam się po podłodze, macając przed sobą, desperacko szukając czegoś, czym mogłabym się bronić. Moje buty ślizgały się w wilgoci.

Wtedy ty rozsunałeś zasłony. A ja to zobaczyłam.

Nie było żadnych ciał. Żadnych trupów. W środku jednopokojowego baraku byliśmy tylko we dwoje. I kolory.

Siedziałam w samym środku tego wszystkiego. Były tu ziemia i piach, rośliny i skały... porzucane na podłodze wokół mnie. Ramiona miałam pokryte krwią. Przynajmniej tak mi się wydawało w pierwszej chwili. Wszystko było czerwone, całe ubranie miałam w plamach. Dotknęłam przedramienia. Nie bolało, nic. Podniosłam rękę do nosa. Śmierdziała ziemią.

- To farba - powiedziałeś. - Zrobiona ze skał.

Odwrociłam się szybko, zobaczyłam cię. Stałeś między mną a drzwiami z dzikim wyrazem twarzy - usta miałeś zaciśnięte, patrzyłeś na mnie z wściekłością. Oczy ci pociemniały. Zaczęłam się trząść. Czołgałam się do tyłu, sięgając za siebie w poszukiwaniu czegoś solidnego, co mogłabym trzymać między nami, ale znajdowałam tylko gałązki kwiatów, igły spinifeksu. Cofałam się, aż dotarłam do ściany. Potem czekałam, w pełni skupiona na tobie, na tym, co teraz zrobisz, w którą stronę ruszysz. Oddychałam chrapliwie, z trudem. Zastanawiałam się, jak mocno jestem w stanie kopnąć. Czy przedostanę się obok ciebie, czy dotrę do drzwi?

Obserwowałeś mnie. Nie widziałam cię jeszcze tak dzikiego, ale byłeś nieruchomy jak kamień, cała twoja wściekłość skupiała się w napiętej twarzy. Między nami był tylko mój oddech, coraz szybszy i szybszy. Dłonie zaciskałeś w pięści. Widziałam nabrzmiałe żyły, bladość kostek. Zaryzykowałam zerknięcie na twoją twarz.

Miałeś mocno zmrużone oczy, jakbyś walczył z czymś, z jakimś potężnym uczuciem. Wcisnąłeś sobie kostki dłoni do oczu. Jęknąłeś, gdzieś z głębi twojej klatki piersiowej. Ale łzy przyszły i tak. Popłynęły po twojej twarzy cicho, kapwały z brody.

Nigdy dotąd nie widziałam płaczącego mężczyzny, tylko w telewizji. Tata nigdy nie był nawet bliski płaczu. Te twoje łzy wyglądały tak dziwnie. Jakby cała twoja siła po prostu zniknęła. Byłam tak zaskoczona, że bałam się trochę mniej. Wzięłam głęboki oddech i odwróciłam wzrok. Ściany były pomalowane szerokimi pasami koloru. Do nich przyklejone były kawałki roślin i piasek.

Zrobiłeś krok w moją stronę i mój wzrok natychmiast wrócił do twojej twarzy. Przykucnąłeś. Nie przesunąłeś się do tej strefy, w której byłam, pełnej piasku i lepkości. Zostałeś na skraju, patrząc tylko na to wszystko... patrząc na mnie. Twoje oczy były przesywająco niebieskie... i nadal dzikie.

- Siedzisz w moim obrazie - powiedziałeś w końcu. Pochyliłeś się naprzód i dotknąłeś liścia. - Zrobiłem to wszystko. - Przesunąłeś ręką wzdłuż brzegu, głaszcząc piasek. - Tu były wzory i kształty stworzone z ziemi... - Twoja twarz znowu zeszywniała we wściekłym grymasie, kiedy spojrzaleś na szkody, których narobiłam. Wreszcie wzruszyłeś ramionami, westchnąłeś i oklapłeś. - Ale ty chyba wybrałaś inny wzór... w jakiś sposób jest nawet lepszy. Jesteś jego częścią.

Zobaczyłam ślad, który zostawiłam, czołgając się po podłodze, farbę, którą wszędzie rozmazałam. Niepewnie stanęłam na nogi. Z kolan spadła mi wiązka gałązek. Popatrzyłam na twoją twarz z przekrwionymi oczyma i ze śladami łez, na twoją napiętą szczękę. Wtedy wyglądałeś jak szalony, jak psychicznie chory, który odmawia przyjmowania leków. W

myślach powtarzałam sobie zdania, zastanawiając się, co odpowiedzieć, żeby się stamtąd wydostać, nie denerwując cię jeszcze bardziej. Jak mam dotrzeć do drzwi, nie wyprowadzając cię z równowagi? Jak należy się zachowywać przy wariatach? Ale ty pierwszy przerwałeś ciszę.

- Nie chciałem cię przestraszyć - powiedziałeś, a twój głos znowu był spokojny i rozsądny. - Bałem się o obraz. Pracowałem nad nim... długo.

- Myślałam, że chcesz... Myślałam... - To, co się wydarzyło, było zbyt okropne, by oddać to w słowach.

- Wiem. - Przejechałeś ręką po włosach, przez co ich część zrobiła się czerwona od piasku, który miałeś na palcach. Wydawałeś się poważny. Twoja twarz wyglądała na zmęczoną i pustą, na czole pojawiły się zmarszczki.

- Odpręż się - odezwałeś się ponownie. - Proszę. Po prostu się odpręż. Chociaż raz. Żadne z nas długo tak nie wytrzyma. Po prostu zaufaj mi, jeszcze będzie lepiej.

Mówiłeś szczerze, jakbyś naprawdę chciał dla mnie jak najlepiej. Przeszłam przez ten twój dziwny malunek i podeszłam do ciebie całkiem blisko, bliżej, niż chciałam.

- Okej - odparłam. Znowu się trzęsłam, ledwo stałam. Musiałam zadbać, by mój głos brzmiał lekko i przyjaźnie. Tyle akurat o wariatach wiedziałam. Ton musi być odpowiedni... Zebrałam się na odwagę, by spojrzeć ci w oczy. Były szeroko otwarte, już nie takie czerwone.

- Po prostu mnie wypuść - powiedziałam. - Tylko na chwilę, na trochę. Będzie okej. - Próbowałam coś zrobić, by mój głos brzmiał uspokajająco. Siłą woli starałam się zmusić cię do powiedzenia „dobrze”. Po raz kolejny spojrzałam w stronę drzwi.

Po twarzy znów płynęły ci łzy. Nie mogłeś patrzeć mi w oczy. Zamiast tego oparłeś czoło o jedną z górek piasku. Czerwony pył kleił się do wilgoci na twoich policzkach. Przełknąłeś łzy. Zgarnąłeś trochę piasku ramionami i schowałeś przede mną twarz.

- W porządku - zgodziłeś się. Tak cicho, że najpierw mi się wydało, że nic nie mówiłeś. - Nie będę cię zatrzymywał. Tylko cię uratuję, kiedy się zgubisz.

Nie czekałam, by usłyszeć to znowu. Przeszłam obok ciebie. Byłam tak spięta, oczekiwałam, że mnie złapiesz, że poczuję te twarde jak skała palce na swojej kostce. Ale nawet nie drgnąłeś.

Drzwi otworzyły się łatwo. Nacisnęłam klamkę i wyszłam w białe, gorące światło słońca. Dobiegło mnie coś jakby łkanie.

Ruszyłam biegiem obok drugiego budynku, w stronę Samotnych. Wciąż oglądałam się za siebie, lecz nie gonileś za mną. Zanim pokonałam parę metrów, już byłam cała złana

potem. Przeskakiwałam kępy spinifeksu i potykałam się o odsłonięte suche korzenie. Cieszyłam się, że mam te ciężkie buty.

Zwolniłam dopiero, gdy zbliżyłam się do skał. Znowu zauważyłam wystające z ziemi drewniane słupki, równo rozstawione dookoła nich, a także plastikową rurę, która biegła tu od domu. Mogłam iść jej śladem. Spojrzałam na niewielką szczelinę, gdzie rura wchodziła między skały - z werandy to miejsce wyglądało jak ścieżka. Czy to była dobra droga? I co mi pozostawało - podążać wzdłuż linii skał, w ogóle nie wchodzić między nie i w ten sposób dostać się na drugą stronę. Ale to by znaczyło stracić rurę z oczu. A wciąż myślałam, że musi być częścią jakiegoś większego systemu i że doprowadzi mnie do innego budynku.

Z okolicy baraków usłyszałam ciche stuknięcie, więc szybko podjęłam decyzję. Pójdę wzdłuż rury.

Ścieżka była kamienista i nierówna, ciągle się zwężała. Ale było tu chłodniej, jakby zimno promieniowało z kamieni. Trochę to potrwało, zanim moje oczy dostosowały się do słabszego światła między wysokimi skałami. W pewnej chwili ścieżka stała się tak wąska, że musiałam iść okrakiem, z rurą między nogami. Szybko zaczęłam mieć wrażenie, że skalne ściany zamykają się nade mną, że za chwilę sprasują mnie jak zasuszony kwiat. Wyciągnęłam rękę i położyłam dłoń na chłodnej, suchej skale, jakbym ją odpychała. W tym pośpiechu potykałam się o rurę; podpierałam się rękami, by zachować równowagę. Ścieżka stała się jeszcze węższa, ale u wylotu widziałam światło. Czy to druga strona?

Kolejne parę metrów i już tam byłam. Jednak to nie był koniec. Zamiast tego ścieżka rozszerzyła się w polankę. Światło stało się jaśniejsze, lecz zielonkawe, przefiltrowane przez rośliny. Zatrzymałam się. Polana była wielkości dużego pokoju, ale wzdłuż brzegów rosły gęste krzaki i drzewa, niektóre pięły się po skalnych ścianach i rozpościerały dopiero wyżej. Było tu też więcej ścieżek, prowadzących głębiej między skały. To było tak odmienne od pustej przestrzeni wszędzie wokół, zupełnie inne środowisko. To była pierwsza prawdziwa zielen, jaką widziałam od bardzo dawna.

Zrobiłam parę kroków do środka polany. Rura skręcała w prawo i biegła jedną z większych ścieżek. Tuż przed nią stało kilka klatek. Kury! Kiedy ruszyłam w ich stronę, zaczęły gdakać. Uklęknęłam i zajrzałam między druty. Ptaków było sześć, wszystkie chude i kościste. Obok nich stała druga klatka, z kogutem w środku. Przcisnęłam palec między drutami i pogłaskałam czarne pióra na jego ogonie.

- Biedak - mruknęłam.

Szarpałam metalową pokrywę klatki z kurami, aż się otworzyła. Włożyłam do środka rękę i pomacałam w poszukiwaniu jajek, myśląc, że mogłabym je zabrać ze sobą na drogę.

Lecz żadnych nie było. Rozwazałam uwolnienie ptaków, ale nie chciałam, żeby z gdakaniem poleciały do ciebie i pokazały, którędy poszłam.

Za klatkami kur znajdował się pas gęstej roślinności. Z niektórych gałęzi zwisały dziwne żółtawe jagody, a spomiędzy liści wyglądały małe kulki, kształtem przypominające jabłka.

Obejrzałam się na ścieżkę. Traciłam za dużo czasu. W każdej chwili mogłeś się tutaj zjawić. Zostawiłam kury. Im szybciej zniknę z tej polany, tym lepiej.

Znów ruszyłam wzdłuż rury. Tu dróżka pod nią była szersza i równiejsza, za to musiałam przejść przez kilka kęp gęstej trawy. Pomyślałam o węzach. Co mam zrobić, jeśli jakiegoś zobaczę? Kiedyś widziałam film, w którym gość obwiązał sobie linką ramię nad miejscem, gdzie ukąsił go wąż, ale zawiązał ją tak mocno, że potem musieli mu amputować rękę. Usiłowałam odepchnąć od siebie to wspomnienie, w tej chwili nie było szczególnie pomocne. Szłam dalej z nadzieją, że idę we właściwym kierunku. Zdawało mi się, że podążam w prostej linii na drugą stronę skał. Słońce było nade mną, grzało mocno, ale to nie był taki sam przytłaczający upał jak koło domu. Roślinność stawała się coraz gęściejsza. Między tymi skałami wcale nie było jak na pustyni. Nie zaszłam daleko, a ścieżka doprowadziła mnie do kolejnej polany. Ta była mniejsza od poprzedniej i jeszcze ciaśniej porośnięta roślinami. Poszłam jej środkiem za rurą. Jeziorko było tak zasłonięte przez drzewa i trawę, że niemal do niego wpadłam. W ostatniej chwili zatrzymała mnie gałąź.

Nad jeziorkiem wisiała skała, osłaniając je przed słońcem. Z tyłu, tuż nad wodą, była jaskinia z wejściem pokrytym mchem. W tej ciemnej dziurze mogło się kryć cokolwiek. Węże, krokodyle... ciała. Zadrżałam.

Trzymałam się konara i patrzyłam przed siebie, w roztargnieniu słuchałam ptaków, ćwierkających gdzieś w górze. Woda była głęboka i ciemna, ale nie mętna. Zobaczyłam piasek i wodorosty na dnie. Powinam była przewidzieć, że gdzieś będzie woda. Inaczej skąd by się tu wzięły te wszystkie drzewa? Przecież nie mogłyby wyżyć z deszczu.

Uklęklam na brzegu i włożyłam palec do wody, jęknęłam i natychmiast go wyjęłam. Była zimna, niemal lodowata. Miałam ochotę wskoczyć... wskoczyć i od razu wszystko wypić. Ale tylko tam siedziałam. Byłam taka głupia. Patrzyłam na całą tę wodę, z każdą sekundą sama coraz bardziej odwodniona, lecz nie tknęłam ani kropli. Widzisz, nie wiedziałam, czy mogę ją pić, nie wiedziałam, co w niej jest. Byłam w stanie myśleć tylko o programie w telewizji - jakiś podróżnik napił się wody z rzeki i malutka rybka wpłynęła mu do żołądka, i zaczęła go zjadać od wewnątrz, a potem doktor musiał mu wsadzić do środka długą rurę, żeby wydostać pasożyta. Przy tym jeziorku nie było żadnych doktorów. A ja nie

chciałam mieć w brzuchu rybek, więc dałam sobie spokój z tą wodą. Wstałam i ruszyłam dookoła jeziora, usiłując znaleźć miejsce, gdzie rura wychodzi po drugiej stronie.

Nic z tego. Najwyraźniej kończyła się w zbiorniku, nie biegła nigdzie dalej. Przejechałam rękami po włosach, rozglądając się. Wyglądało na to, że miałeś rację. Żadne inne domy nie korzystały z tego źródła wody.

Obchodziłam polankę, szukając innego wyjścia, drogi, która wyprowadziłaby mnie na drugą stronę. Były tu jeszcze dwie inne ścieżki, ale obie mniejsze i węższe niż ta, po której przyszłam, i bardziej zarośnięte. Ostrożnie poszłam tą większą. Wcześniej niepokoiłam się wężami, ale to było nic w porównaniu z tym, jak bałam się tej dróżki. Trawa sięgała mi miejscami do kolan, wszędzie dookoła coś się poruszało i szeleściło. Wydało mi się, że zobaczyłam coś na skałach w pobliżu moich rąk, coś co szybko odpełzło i znikło. Wokół mojej głowy latały głośno bzyczące muchy, wplątywały mi się we włosy. Szłam przed siebie, aż ścieżka okazała się ślepą uliczką wśród skał, więc musiałam zawrócić. Postanowiłam wypróbować tę drugą, mniejszą, ale i ona szybko stała się za wąska.

Wróciłam na główną polanę, lecz inne dróżki nie okazały się lepsze. Tylko bardziej się zagubiłam, zaplątałam w labiryncie Samotnych.

Nie wiem, jak długo próbowałam się stamtąd wydostać. Trudno było mi zachować poczucie czasu. Miałam wrażenie, że to wieczność. Ale jedno wiedziałam: nie poszedłeś za mną. Jeszcze nie. Desperacko trzymałam się nadziei, że może pomyślisz, iż pobiegłam gdzieś indziej. Wypróbowałam kolejną mniejszą ścieżkę, przeciskając się z trudem między skałami. Jednak kiedy znowu wróciłam na główną polanę, zrozumiałam, że wciąż kręcę się w kółko.

Wreszcie otrząsnęłam się z otępienia. I wpadłam na pewien pomysł.

Obok jednej ze skał rosło wysokie drzewo z białą korą i grubymi, mocnymi gałęziami. Cieszyłam się z jego siły, kiedy się na nie podciągnęłam. Kiedy byłam młodsza, uwielbiałam wlaźć na drzewa, chociaż nie robiłam tego aż tak często. Mama zawsze za bardzo się bała, że spadnę. Dziwnie było znowu znaleźć się na drzewie; na początku nie mogłam się zorientować, gdzie opierać stopy. Ale szybko załapałam, co mam robić. Objęłam pień i podciągałam się, używając gałęzi jako stopni. Zatrzymałam się tylko raz, kiedy zobaczyłam brązowego pajaka, który przede mną uciekł. Potem już tylko rozpaczliwa determinacja kazała mi iść dalej.

Jednak gdy dotarłam na szczyt, byłam zdenerwowana. Wszędzie gałęzie i liście, niczego nie widać. Wzięłam głęboki oddech, zamknęłam usta i oczy i spróbowałam odgarnąć gałęzie. Coś na mnie spadło. Nie chciałam wiedzieć, co to było; straciłam to, zanim zdążyłam się przyjrzeć, ale i tak miałam wrażenie, że ciągle coś po mnie łązi. We włosach czułam

odnoża. Trzymałam się najwyższych gałęzi i oparłam stopę o skałę, podciągając się troszkę wyżej.

Potem wyjrzałam.

Oślepiłam oczy. Nie było nic widać, tylko piasek po horyzont. Okręciłam się, trzymając się gałęzi i ocierając sobie nogę o skałę. Z drugiej strony nie było żadnych budynków, żadnych miasteczek... nawet drogi nie było. Wszystko tutaj wyglądało tak samo jak koło domu. Rozległa, płaska pustka. Chciałam wrzeszczeć, powstrzymałam się chyba tylko dlatego, że bałam się, że mnie usłyszysz. Gdybym miała broń, chyba bym się zastrzeliła.

Opadłam z powrotem w głąb korony drzewa i oparłam głowę o jeden z konarów, wciskając dłonie w oczy. Potem objęłam gałąź ramionami i przycisnęłam twarz do kory. Szorstki kawałek podrapał mi policzek, ale dalej się do niego przytulałam, usiłując powstrzymać szloch.

Brzmi to niedorzecznie, ale akurat w tej chwili byłam w stanie wspominać tylko swoich rodziców na lotnisku. Co myśleli, kiedy nie pojawiłam się przed odlotem? Co zrobili od tamtego czasu? Opierałam policzek o korę i usiłowałam sobie przypomnieć ostatnie, co sobie powiedzieliśmy. Nie mogłam. Dlatego rozplakałam się jeszcze bardziej.

Niemal całkiem się uspokoiłam, kiedy usłyszałam samochód. Szybko wlałam z powrotem na czubek drzewa i stamtąd na skałę. Złapałam za konar, prawie tracąc równowagę. Najpierw spojrzałam na horyzont, a potem na ziemię dookoła Samotnych. Tam! Twój samochód jechał powoli tuż przede mną.

Minęło parę chwil, zanim do mnie dotarło, co robisz. Najpierw myślałam, że płot był tu zawsze. Potem zrozumiałam, że go stawiasz, właśnie w tej chwili. Serce mi się ścisnęło. To dlatego mnie nie goniłeś - przez cały ten czas jeździłeś dookoła Samotnych, zamykając mnie w środku, w pułapce, jak zwierzę. Byłam tak zajęta szukaniem drogi, że nawet nie usłyszałam warkotu silnika.

Patrzyłam, jak stawiasz ogrodzenie. Miałeś długi zwój czegoś, co wyglądało na siatkę. Podjeżdżałeś do wbitych w ziemię kołków, które widziałam wcześniej, i mocowałeś ogrodzenie. Pracowałeś szybko, potrzebowałeś tylko kilkunastu sekund na kołek i już jechałeś do kolejnego, rozwijając po drodze ciasną siatkę. Wyglądało na to, że w zasadzie wszystko jest gotowe. Byłam zamknięta.

Oparłam się o skałę. Tutaj, nad drzewami, słońce mocno świeciło mi w twarz. Nagle poczułam straszne wyczerpanie. Pokonałeś mnie. Zamknęłam oczy, usiłując wszystko od siebie odegnąć.

Kiedy je znowu otworzyłam, przestałeś jeździć. Zamiast tego czekałeś po drugiej stronie płotu - silnik był wyłączony, drzwi kierowcy otwarte; wystawiłeś buty przez okno. Widziałam dym z papierosa.

Przytrzymując się konarów, patrzyłam na dom i otaczające go pustkowie. Lekki wietrzyk unosił jakieś strzępy roślin. Gdzieś w oddali znowu zobaczyłam te cienie przypominające wzgórza. Były tak daleko ode mnie, ale mimo to dawały mi iskierkę nadziei. Nie licząc ich, ta grupka skał, na której stałam, była jedynym wzniesieniem jak okiem sięgnąć. Po raz pierwszy zastanowiłam się, jak ty właściwie znalazłeś to miejsce. Naprawdę nigdzie nie było innych ludzi? Naprawdę byliśmy tylko my? Może inni odkrywcy poddali się w pół drogi albo umarli. Było coś szalonego w umiejętności przeżycia w takiej okolicy. To nie wyglądało jak Ziemia, ale jak jakaś inna planeta.

Znowu poczułam, jak w gardle rośnie mi gęła, zbierało mi się na płacz. Jednak nie mogłam sobie na to pozwolić - musiałam być od niego silniejsza, inaczej siedziałabym na czubku drzewa, aż w końcu bym umarła z głodu albo pragnienia. Tata kiedyś mówił, że śmierć z pragnienia jest najbardziej bolesna ze wszystkich, język człowiekowi pęka, a potem organy wyłączają się jeden po drugim... normalnie puchną i wybuchają. Nie chciałam tego.

Dlatego postanowiłam wrócić na główną polanę. Zaczekam, aż się ściemni, a potem podkradnę się do płotu i wypróbuję go, zobaczę, czy da się przedostać nad nim albo pod nim. Jak trudne mogło to być...? Potem pobiegnę z powrotem do domu, zgramę jakieś zapasy i ubranie, jeśli będzie czas, może trochę wody, i ruszę przez pustynię w stronę tych odległych cieni. W końcu znajdę jakąś drogę czy ścieżkę. Muszę.

Zrobiło się zimno, zanim zapadł zmrok. Cała się trzęsłam, jeszcze nim wzeszedł księżyc. Zwinęłam się w kłębek i siedziałam skulona pod skałami, coraz bardziej dzwoniąc zębami.

Nigdy przedtem nie spędzałam całej nocy na dworze. Wiedziałam, że jest zimniej niż za dnia, czułam, jak spada temperatura, ale nie spodziewałam się aż takiego chłodu. W tej chwili było zimniej niż w moim domu podczas mrozu. To nie wydawało się normalne, żeby na pustyni było za dnia tak idiotycznie gorąco, a w nocy tak koszmarnie zimno. Ale tu pewnie nie ma żadnych chmur, niczego, co zatrzymałoby ciepło. Ten upał po prostu znika, jak horyzont. Pewnie dlatego tej nocy było też tak jasno: nic nie przysłaniało księżycy i gwiazd.

Byłam z tego zadowolona. Nadal stosunkowo dobrze widziałam wśród skał. To znaczyło, że mogłam wypatrywać na ziemi węzowatych cieni. Zaczęłam chodzić tam i z powrotem, żeby choć trochę się rozgrzać. W końcu nie mogłam już wytrzymać. Przedostałam się wąską ścieżką z powrotem na skraj Samotnych.



Stąd popatrzyłam na ogrodzenie, które postawiłeś. Było dość wysokie, ale nie wyglądało na szczególnie mocne. Potarłam dłońmi ramiona. Było mi za zimno, bym myślała o czymkolwiek, oprócz tego, że chcę się rozgrzać. Czasami słyszałam warkot silnika twojego samochodu, kiedy przejeżdżałeś obok, wykonując patrol. Dobrze było jedynie to, że słyszałam cię na długo przed tym, zanim się pojawiłeś. Poza tym głośno szczękałam zębami, bałam się, że niedługo to usłyszysz. Zastanawiałam się, o czym myślisz - wiedziałeś dokładnie, gdzie byłam?

Objęłam się ramionami najmocniej jak mogłam i zapatrzyłam na gwiazdy. Gdybym nie była tak przemarznięta i gdybym nie chciała tak bardzo uciec, mogłabym na nie patrzeć w nieskończoność. Były niesamowicie piękne i jasne. Moje spojrzenie mogłoby się tam w górze zagubić, gdybym patrzyła wystarczająco długo. W domu miałam szczęście, jeżeli nocą w ogóle dostrzegałam gwiazdy, wszystko przez ten cały smog i światła. Ale na pustyni nie można było ich nie zauważyć. Połykały mnie. Były jak sto milionów maleńkich świeczek, wysyłały nadzieję. Kiedy na nie patrzyłam, wyobrażałam sobie, że będzie okej.

Poczekalam, aż ponownie przejedziesz obok mnie, a potem odeszłam od skał. Kiedy oderwałam się od kamieni, zaskoczyło mnie nagłe zimno na plecach. Skały przez długie godziny wchłaniały promienie słońca, nagrzewały się. Zrobiłam parę kroków po piasku. Od razu poczułam się odsłonięta, jakbym była naga, a ty byś obserwował każdy mój ruch. Z pochyloną głową pobiegłam do płotu. Te parę metrów wydawało się dużo dłuższe niż w rzeczywistości. Cały czas nasłuchiwałam twojego samochodu i słyszałam go, ale tylko jako cichy warkot po drugiej stronie skał.

Zatrzymałam się, kiedy dotarłam do ogrodzenia. Siatka kończyła się spory kawałek nad moją głową. Nie byłam w stanie wcisnąć palców w maleńkie oczka. Próbowałam się wspiąć, ale też się nie dało, w końcu zjechałam po siatce. Tylko otarłam sobie palce. Spróbowałam jeszcze raz, drugą nogą. Nic z tego. Kopnęłam płot. Rzuciłam się na ogrodzenie całym ciałem, ale tylko się odbiłam.

Wtedy zaczęłam się trząść, nie wiem - ze strachu czy z zimna... pewnie jedno i drugie. Zmusiłam się do skupienia uwagi na problemie. Skoro nie mogę przedostać się górą, to trzeba spróbować dołem. Padłam na piasek i zaczęłam kopać. Ale to nie był normalny piasek, jak na plaży. To był twardy pustynny piasek z kamieniami i cierniami. Równie nieustępliwy i trudny jak wszystko tutaj. Zaciśnęłam zęby i usiłowałam ignorować poharatane ręce, tylko kopałam i kopałam. To było jak w filmie wojennym - podkop z obozu jenieckiego. Ale rzeczy nigdy nie są takie jak w Hollywood. Przez dziurę, którą zrobiłam, przedostałby się może królik. Ja nie

miałam szans. Położyłam się na brzuchu i próbowałam unieść ogrodzenie od dołu, jednak ani drgnęło. Wcisnęłam pod spód palce, ale nic więcej. Drut był za mocno naciągnięty.

Położyłam się płasko na piasku, nosem do ziemi. Moje serce biło szybciej i szybciej, mój oddech też przyspieszał. Wstałam i znowu spróbowałam przedostać się przez druty. Niemal wrzeszczałam z frustracji. Siatka, skały... Wszystko zamykało się wokół mnie.

Wtedy usłyszałam twój samochód.

Ruszyłam biegiem z powrotem w stronę Samotnych. Lecz ty pojawiłeś się zza rogu, zanim schowałam się w ich przyjaznym cieniu.

Zatrzymałeś samochód i wyłączyłeś silnik. Wysiadłeś i oparłeś się o maskę. Wpatrywałeś się w ciemność, szukając mnie. Widziałeś, jak biegłam, byłam tego pewna. Pewnie też widziałeś mnie teraz, drżącą z zimna, przytuloną do skał, usiłującą przejąć trochę ich ciepła.

- Gem?! - zawołałeś.

Po chwili podszedłeś do drzwi po stronie pasażera i otworzyłeś je. Wyjąłeś sweter, wróciłeś i wyciągnąłeś go przed siebie.

- Wróć do mnie.

Nie odezwałam się. Nie chciałam do ciebie wracać. Nie wiedziałam, co zrobisz. Przycisnęłam ramiona do skały i siłą woli próbowałam przestać dygotać. Czubki moich palców zaczynały sinieć.

- Stąd nie ma wyjścia! - zawołałeś. - Będę tu czekać całą noc, jeśli będę musiał, cały tydzień. Nie uciekniesz!

Pogrzebałeś po kieszeniach, wyjąłeś papierosa i zapaliłeś go. Zapach palonych liści poleciał w moją stronę, zawisł w chłodnym nocnym powietrzu. Przywarłam mocniej do skały. Próbowałam zacisnąć palce w pięść, ale były tak zeszywniałe z zimna, że to bolało.

Znowu złapałeś mnie w pułapkę. To tylko kwestia czasu, nim mnie stąd wygonisz. Obsunęłam się wzdłuż skały i usiadłam na piasku, wciskając dłonie w jego wciąż nagrzane ziarenka, desperacko usiłując znaleźć ciepło.

Zobaczyłeś, jak się ruszam. Podszedłeś do ogrodzenia, oparłeś o nie dłonie, obserwowałeś mnie uważnie. Potem wróciłeś do samochodu i przyniosłeś nożyce do drutu. Kiedy pracowałeś, światło księżycy oświetlało połowę twojej twarzy. Wyciąłeś w siatce małą szparę. Potem odciągałeś drut, aż zrobiłeś na tyle dużą dziurę, by przez nią przejść, wyginając drut jak fale.

Nie walczyłam. Niczego nie robiłam. Moje ciało było oklapłe. W domu zawinąłeś mnie w koce. Włożyłeś mi do rąk coś gorącego i kazałeś to wypić. Ale moje ciało i mój mózg

były zmarznięte na kamień. Opadłam głęboko w dół, w ciemne i puste miejsce. Mówiłeś coś do mnie cichym głosem. Nie chciałam wracać na powierzchnię. Prawda była zbyt trudna do wysłuchania.

Po drugiej stronie skał nie było niczego, tylko to samo co wszędzie.

Dokądkolwiek pójde, złapiesz mnie.

Nie mogłam uciec.

Zamknęłam oczy. Za zasłoną powiek było ciemniej i spokojniej. Nie ruszałam się i nie wydawałam żadnych dźwięków. Wycofałam się, w głąb własnego umysłu, za kanapę i pod podłogę, aż dotarłam do tego ciemnego, chłodnego miejsca pod domem, gdzie zwinęłam się ciasno w kłębek w piasku i ciemności. Tam czekałam, aż znajdzie mnie wąż.

Nie mogłam zrobić niczego innego...

... tylko czekać na sny.

Zasnęłam.

Mama była obok, głaskała mnie po głowie i uspokajała. Mówiła cicho, jej słowa były jak kołysanka. Położyła mi coś na ramionach i objęła mnie. Czułam jej ręce, jej oddech był słodki jak herbata z cukrem.

W następnym śnie byłam starsza. Chorowałam i nie poszłam do szkoły. Mama rozstawiła laptop na kuchennym stole, telefon pod ręką. Ja leżałam na kanapie, zawinięta w coś ciepłego. Nie chciałam oglądać kreskówek, a mama nie pozwalała mi oglądać talkshowów.

- Możemy się w coś pobawić? - spytałam.

Nie odpowiedziała.

- W chowanego?

Po chwili wstałam z kanapy i na palcach poszłam do suszarni. Ciężkie drzwi ledwo przesuwwały się po dywanie. Weszłam w ciemność. Powietrze było ciepłe i wilgotne, pachniało jak moja szkolna marynarka, kiedy była mokra.

Znalazłam miejsce w kącie i czekałam, wyobrażając sobie, że jestem na dnie morza... Byłam w brzuchu ogromnego potwora. Przez dziurę w ścianie słyszałam stukot klawiatury mamy. Za chwileczkę przestanie pisać i pójdzie mnie szukać. Wiedziałam, że tak. Za chwilę zaczniesz się zastanawiać, gdzie jestem.

Zapadłam głębiej w ciemność suszarni... czekając...

Potem leżałam w szpitalu. Podłączone do mnie maszyny piszczały cicho. Nie mogłam otworzyć oczu, ale nie spałam. Różni ludzie przychodzili w odwiedziny: Anna i Ben, koleżdy ze szkoły. Tata usiadł koło mnie i musnął grzbiet mojej dłoni. Pachniał dymem, tak jak wtedy,

kiedy byłam mała. W pobliżu stała pielęgniarka, mówiła, że jest ważne, by do mnie wciąż mówić. Inna pielęgniarka ocierała mi czoło.

Wyciągnęłam rękę do Anny, drapiąc powietrze tuż przy jej twarzy. Ale ona mnie nie widziała. Próbowałam krzyczeć, błagać ich, żeby zostali, wszyscy. Ale moje usta nie chciały się otworzyć, głos uwiązł mi w gardle.

Kiedy otworzyłam oczy, zniknęli. Zostałeś tylko ty.

Nie rozmawiałam z tobą. Leżałam tylko na łóżku w tym prawie pustym pokoju i gapiłam się tępo na ściany. Mój głos skurczył się i zniknął, nie umiałam go znowu odnaleźć. Zapomniałam o nacięciach na łóżku. Usiłowałam zapomnieć o wszystkim.

Czasami siadałeś koło mnie. Czasami próbowałeś coś mówić, ale nie patrzyłam na ciebie. Przyciskałam kolana do piersi i oplatałam ręce wokół nich. I przypominałam sobie różne rzeczy.

Zaczynałam od budzenia się, od dotyku grubej puchowej kołdry na ramionach i miękkiej flanelowej piżamy na skórze. Jeśli się skupiałam, niemal słyszałam szum i hałasy w kuchni, kiedy mama parzyła poranną kawę. Czułam gorzki zapach zmielonych ziaren gotujących się na kuchence, przeciskający się przez szpary w drzwiach aż do mojego łóżka. Słyszałam stuknięcie, kiedy włączało się ogrzewanie.

Potem wstawał tata i pukał w moje drzwi. Zawsze robił mi wykład przy śniadaniu: o tym, że trzeba mieć dobre stopnie i jakim uniwersytetom powinnam zacząć się przyglądać latem. Zamknęłam oczy i usiłowałam zobaczyć jego twarz. Jęknęłam z zawodem, bo nie byłam w stanie. Jaki dokładnie kształt miały jego okulary? Jaki był kolor jego ulubionego krawata?

Potem próbowałam tego samego z mamą, ale nawet ją coraz trudniej mi było zobaczyć. Pamiętałam czerwoną sukienkę, którą lubiła wkładać na otwarcia galerii, ale nie mogłam sobie przypomnieć jej twarzy. Wiedziałam, że ma zielone oczy, tak jak ja, i delikatne rysy... ale jakoś nie potrafiłam poskładać tych kawałków w całość.

Ta amnezja mnie przerażała, nienawidziłam siebie za nią. Wydawało mi się, że nie jestem warta, aby być czyjąkolwiek córką.

Ale pamiętałam Annę. I pamiętałam Bena. O nim myślałam godzinami, wyobrażałam sobie, że jest ze mną, że zanurzam palce w jego włosach wypłowiałych od słońca. Kiedy zamykałam oczy, był tuż obok, strzegąc mnie.

Całe lato miał surfować w Kornwalii. Anna pojechała z nim. To były pierwsze wakacje, jakie spędzałyśmy z Anną oddzielnie. Zastanawiałam się, co robią w tym schronisku

przy plaży, codziennie siedząc na piasku... tak bardzo innym niż mój, o tyle bardziej miękkim. Zastanawiałam się, czy wiedzą, że mnie nie ma.

Gdy znowu otworzyłam oczy, byłeś przy mnie i obgryzałeś skórki. Po chwili zobaczyłeś, że na ciebie patrzę.

- Jak się czujesz?

Nie mogłam odpowiedzieć. To było tak, jakby moje ciało zamieniło się w kamień. Gdybym tylko poruszyła wargami, popękałabym.

- Mogę ci zrobić jedzenie - spróbowałeś. - Coś do picia?

Nawet nie mrugnęłam. Pomyślałam, że jeśli wystarczająco długo wytrzymam nieruchomo, pójdiesz sobie.

- Może... może moglibyśmy zmienić pościel?

Pochyliłeś się trochę w moją stronę. Wyciągnąłeś rękę i położyłeś palce na moim czole, ale ledwo je czułam. W tej chwili byłeś ode mnie daleko, o milion kilometrów, w jakimś równoległym świecie, w jakimś śnie. Ja byłam znowu w domu, we własnym łóżku... Lada moment obudzę się i będę się szykować do szkoły. To Ben siedział obok mnie, nie ty. To nie mogłeś być ty. Oparłeś się z powrotem o krzesło, obserwując mnie.

- Brakuje mi twoich słów - przyznałeś.

Przełknęłam, moje wyschnięte na wiór gardło zabolalo. Patrzyłeś na mnie, proszącym wzrokiem zawisając na moich wargach.

- Wiem, jak to jest - powiedziałaś. - Też kiedyś zamilkłem. - Znalazłeś kawałek szorstkiej skóry na brzegu swojego palca i poruszałeś po nim kciukiem tam i z powrotem. - Myśleli, że nigdy nie mówiłem, jakbym był... jak to się nazywa? Niemową. Niektórzy też myśleli, że jestem głuchy. - Odgryzłeś ten kawałek skóry. - To wtedy znalazłem to miejsce.

Moja brew się poruszyła, zobaczyłeś to.

- Zaciekawilo cię? - Oparłeś głowę o ścianę. Kropla potu spływała ci po policzku, po tej małej bliźnie. - Tak, właśnie tak. - Kiwnąłeś głową, gdy zobaczyłeś, gdzie patrzę. - Też tak miałem, kiedy milczałem. - Szybko otarłeś pot, twoja ręka zatrzymała się na zgrubiałej skórze. Potem twoje palce poruszyły się naraz, lekko trzepnęły się w policzek. Podskoczyłam na ten dźwięk. - Siatka szybko uderza w skórę - stwierdziłeś. - Łatwo zostawia ślad.

Wstałeś i podszedłeś do okna. Obróciłam głowę tyle, żeby cię widzieć. Zauważyłeś to i mruknąłeś:

- Nie całkiem martwa. Nie całkiem daleko.

Jakiś czas później położyłeś na nocnym stoliku cienki wypłowiały notes. Kiedy wyszedłeś z pokoju, wzięłam go i przekartkowałam. Strony były puste. Na stoliku leżał też

ołówkę, ostro zatemperowany. Wbiłam go mocno w miękką skórę między kciukiem a palcem wskazującym. Zabolało. Wbiłam go znowu.

Próbowałam ich narysować, wszystkich... mamę, tatę, Annę i Bena. Chciałam zapamiętać. Niestety, nigdy nie umiałam za dobrze rysować. Twarze, które wyszły spod ołówka, były bezkształtne i obce, tylko zbiór linii i cieni. Wszystkie zamazałam czarnymi zygzakami.

Spróbowałam więc słów. W nich zawsze byłam lepsza. Mama i tata nigdy nie mogli zrozumieć, dlaczego zawsze byłam taka dobra z angielskiego, a nie z matematyki albo rysunku, jak oni. Ale nawet słowa nie płynęły ze zwykłą łatwością, wtedy nie. A już na pewno nie miały za wiele sensu. Ktokolwiek by je czytał, pomyślałby, że byłam naćpana, czy coś, tak były nieskładne.

Spróbowałam napisać list, ale nie dotarłam poza: „Kochani mamó i tato”. Za dużo do powiedzenia. Zresztą nie byłam pewna, czy go nie przeczytasz.

Zapisałam więc jedyne słowa, które przychodziły mi do głowy: uwięziona, zamknięta, zatrzymana, uwiązana, złapana, pod kluczem, internowana, zapuszkowana, uprowadzona, porwana, zabrana, zmuszona, zaciągnięta, skrzywdzona, ukradziona...

Tę kartkę też całą zamazałam.

Nie mogłam więcej spać. Czułam okropny ból w pęcherzu i byłam cała sztywna. Chciałam się ruszyć. Ostrożnie spróbowałam zgiąć kolana. Mocno podkurczyłam palce u nóg i oblizałam suche wargi. Moje ramiona wydawały się okropnie słabe, kiedy odepchnęłam się od materaca, a nogi drżały, gdy spróbowałam wstać.

Włożyłam czyste ubranie z szuflady. Szorty były luźne na biodrach, straciłam na wadze. Poszłam do łazienki i wysikałam się do głębokiej dziury. Potem odkręciłam wodę. Kran ożył, wyrzucając nierównym strumieniem gorącą brązową wodę. Umyłam twarz, potem wsadziłam głowę pod kran i łapczywie piłam. W tym malutkim popękany lusterku widziałam, jak spływa po mnie woda. Oczy miałam trochę podpuchnięte, a z nosa zlaźła mi skóra od tej odrobiny słońca, którą widziałam. Wydawałam się sobie jakoś starsza.

Byłeś w kuchni. Pochylałeś głowę nad stołem, czytając ręcznie pisane słowa na luźnych kartkach papieru. Spojrzałeś na mnie i wróciłeś do tego, co robiłeś. Wokół ciebie były rozstawione szklane pojemniczki - w niektórych był jakiś płyn, inne stały puste. Wziąłeś jeden z nich i skupiłeś się na naklejce. Podniosłeś go do światła padającego z okna, potem napisałeś coś na papierze. Wcześniej zamknięta szuflada była wysunięta, ale nie widziałam, co jest w środku. Na ławce obok leżało coś, co wyglądało na igłę.

Przewrócił mi się żołądek. Wszystko wokół ciebie wskazywało na jedno: narkotyki. Może te, którymi odurzyłeś mnie, może jakieś inne, których dopiero miałeś użyć. Wycofałam się z kuchni. Nie podniosłeś wzroku. Chociaż raz byłeś bardziej zajęty czym innym.

Przeszłam przez mały przedpokój, obok akumulatorów i desek złożonych pod ścianą, po czym wyszłam na werandę. Patrzyłam na podłogę, podczas gdy moje oczy przyzwyczajały się do jasności. Kiedy mogłam już patrzeć bez zbytniego mrużenia oczu, zrobiłam parę kroków i oparłam się o poręcz. Patrzyłam na Samotne. Ogrodzenie, które postawiłeś, wciąż tam było, wewnątrz niego skały tkwiły nieruchomo jak zawsze. Stąd, skąd patrzyłam, nikt by się nie domyślił zieleni i życia, które skrywały, nikt by nie uwierzył w śpiewające ptaki. Te skały były nieprzeniknione i tajemnicze. Jak ty.

Zerknęłam na czyste niebieskie niebo. Nie było tam żadnych samolotów, żadnych helikopterów. Żadnych misji ratunkowych. Kiedy leżałam w łóżku, miałam pomysł, żeby wypisać słowo „Pomocy” na piasku, ale wtedy zrozumiałam, że był całkiem głupi, skoro i tak nikt tu nie latał. Obróciłam się, żeby objąć spojrzeniem wszystko wokół: horyzont, horyzont, Samotne, horyzont, horyzont, horyzont... Nie ma dokąd uciekać.

Usłyszałam twoje kroki i trzask drzwi, nim zobaczyłam cię na werandzie.

- Wstałaś - powiedziałaś. - Cieszę się.

Cofnęłam się w stronę kanapy.

- Czemu dzisiaj? - spytałeś. Byłeś szczerze ciekawy?

Ale ja byłam pełna smutku. Wiedziałam, że gdybym otworzyła usta, słowa wylałyby się ze mnie strumieniem. A ja nie chciałam, żebyś miał ode mnie cokolwiek, nawet tylko to. Lecz dalej próbowałeś.

- Ładny dzień - oznajmiłeś. - Gorąco i nie ma wiatru.

Tylem doszłam do kanapy. Złapałam się jej poręczy, pasma rattanu zatrzeszczały.

- Chcesz jeść?

Wpatrywałam się prosto w kraterę w skałach.

- Usiądź - powiedziałeś.

Usiadłam, nie wiem dlaczego. To chyba przez ton twojego głosu, jakoś głupio było się klócić. Od tego tonu kolana miękły mi z przerażenia.

- Może porozmawiamy?

Podciągnęłam nogi. Leciutki wietrzyk zaczął poruszać ziarenkami piasku. Patrzyłam na ten piasek, który zawirował kilka metrów przed nami.

- Opowiedz mi o czymś, o czymkolwiek. O twoim życiu w Londynie, przyjaciołach, choćby o rodzicach!

Skrzywiłam się na te zbyt głośno wypowiedziane słowa, poprawiłam się na kanapie. Nie chciałam ci niczego opowiadać, a już na pewno nie o nich. Objęłam kolana ramionami. Co mama może w tej chwili robić? Jak zareagowali na moje zniknięcie? Co zrobili, żeby mnie odnaleźć? Objęłam nogi trochę mocniej, usiłując wypędzić ich z myśli.

Przez chwilę nie mówiłeś nic, tylko patrzyłeś na krajobraz. Ja zerkałam na ciebie, widziałam, jak szarpiesz kciukiem i palcem wskazującym własną brew. Nie było ci wygodnie, tak na skraju werandy. Byłam pewna, o czym myślisz - usiłowałeś znaleźć jakiś nowy temat do rozmowy, coś ciekawego, żeby mnie wyciągnąć z tej czarnej dziury. Aż ci się mózg przegrzewał z wysiłku. W końcu oparłeś łokcie na poręczy i westchnąłeś cicho. Odezwałeś się też niemal szeptem.

- Naprawdę jest tak źle? - spytałeś. - Życ z mną?

Otworzyłam usta i zrobiłam wydech. Odczekałam co najmniej minutę.

- Tak - szepnęłam.

Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, może w tym jednym słowie było coś więcej... jakaś potrzeba porozumienia, pragnienie skorzystania z mojego głosu, żeby nie ryzykować całkowitej jego utraty. Bo takie miałam wtedy uczucie. Gdy pojawił się wiatr i zaczął unosić piasek, wydawało mi się, że zabierze ze sobą i mój głos. Znikałam razem z ziarenkami piasku, rozsypując się na wietrze.

Ale ty mnie usłyszałeś. Z zaskoczenia niemal nie spadłeś z werandy. Zmarszczyłeś brwi i wziąłeś się w garść, zastanawiając się nad moją odpowiedzią.

- Mogłoby być gorzej - stwierdziłeś.

Zostawiłeś to zdanie w powietrzu. Co mogłoby być gorsze? Umrzeć? To nie wydawało się gorsze, niż tkwić pośrodku pustki, patrzeć na pustkę... i nigdy nie móc się wydostać. Zresztą przecież nie miałam pewności, czy i tak nie czeka mnie śmierć. Zamknęłam oczy i starałam się przypomnieć sobie życie w domu. Byłam w tym coraz lepsza. Jeśli się nie śpieszyłam, bez trudu mogłam spędzić kilka godzin na wyobrażaniu sobie każdej najdrobniejszej rzeczy, jaką robiłam w ciągu dnia. Ale nie pozwoliłeś mi marzyć, wtedy nie. Wkrótce potem usłyszałam, jak czubkami butów kopiesz poręcz. Zacząłeś wybijać rytm. Otworzyłam oczy. To nie było do ciebie podobne. Normalnie poruszałeś się jak kot.

- Przynajmniej nie ma tu miast - odezwałeś się w końcu. - Żadnego betonu.

- Lubię miasta.

Zacisnąłeś palce na poręczy.

- W mieście nikt nie jest prawdziwy - warknąłeś. - Nic nie jest prawdziwe.

Skrzywiłam się, zaskoczona twoim nagłym gniewem.



- Ja za nim tęsknię - szepnęłam. Przycisnęłam głowę do kolan, kiedy dotarło do mnie, jak ogromnie brak mi miasta. Zrobiłeś krok w moją stronę.

- Przykro mi z powodu twoich rodziców - powiedziałeś pojednawczo.

- Przykro ci, bo co?

Zamrugaleś.

- Ze musiałaś ich zostawić, oczywiście. - Przysiadłeś na drugim końcu kanapy, wpatrując się w moje oczy. - Wolałbym ich zabrać... to znaczy gdybym pomyślał, że wtedy byłabyś szczęśliwsza.

Odsunęłam się tak daleko na przeciwległy kraniec kanapy, jak tylko mogłam.

Skubałeś pasma rattanu.

- Tak jest lepiej, tylko ty i ja. Tylko tak to mogło zadziałać.

Znowu wpatrywałam się w niebo, próbując pozbierać myśli. Przełknęłam swój strach.

- Od jak dawna to planowałaś?

Wzruszyłeś ramionami.

- Od jakiegoś czasu, dwa - trzy lata. Ale obserwowałem cię jeszcze dłużej.

- Jak długo?

- Coś ze sześć lat.

- Odkąd skończyłam dziesięć lat? Tak długo...?

Skinąłeś głową.

- Mniej więcej.

- Nie wierzę ci - oznajmiłam. Ale coś mówiło mi, żebym się nad tym zastanowiła. Coś w tym było, gdzieś w głębi ducha czułam, że jeżeli trochę nad tym pomyślę, znajdę sens.

Przeszukiwałam pamięć, usiłując gdziekolwiek w niej znaleźć twoją twarz. Nie było niczego konkretnego, ale były niejasne, na pół zapomniane rzeczy - jak ten facet, którego koledzy kiedyś zauważyli, jak czeka przy szkolnej bramie, albo wtedy w parku, kiedy mi się wydawało, że ktoś patrzy spośród krzaków... to, jak mama dostawała paranoi i twierdziła, że ktoś ją śledzi. Zastanawiałam się - czy wtedy to byłeś ty? Od tak dawna miałeś mnie na oku? Na pewno nie. Ale było coś jeszcze, czego nie mogłam sobie dokładnie przypomnieć.

- Dlaczego ja? - szepnęłam. - Dlaczego nie jakaś inna biedaczka?

- Bo ty to ty - odparłeś. - Ty mnie znalazłaś.

Wytrzymałam twoje spojrzenie.

- O co ci chodzi?

Popatrzyłeś na mnie z ciekawością. Gdy nie zareagowałam, pochyliłeś się w moją stronę. W twoich oczach widać było napięcie.

- Nie pamiętasz? Nie pamiętasz naszego pierwszego spotkania? - Lekko pokręciłeś głową z zaskoczenia.

- A powinnam?

- Ja pamiętam. - Poruszyłeś ręką, jakbyś chciał mnie dotknąć, twoja dolna warga drżała lekko. - Tak dobrze cię pamiętam.

Wbiłeś we mnie uparty wzrok. Wcisnęłam podbródek w pierś, uciekając przed tym spojrzeniem.

- Nic takiego nie miało miejsca - oświadczyłam. Mój głos był jednak drżący i cichy, ledwo słyszalny. - To nie może być prawda.

Wyciągnąłeś rękę i chwyciłeś mnie za ramię. Czułam, jak twoje palce wbijają mi się w skórę, zmuszają, żebym na ciebie spojrzała.

- To prawda - powiedziałeś. Przez chwilę miałeś zaciśnięte szczęki i nie mrugałeś. - To jest prawda. Tylko jeszcze sobie nie przypomniałaś. - Wpatrywałeś się we mnie przenikliwie, w lewe oko, a potem w prawe. - Ale przypomnisz sobie - szepnąłeś.

Po chwili usłyszałam, jak przetykasz ślinę. Potem twoje oczy zamglily się trochę i puściłeś mnie. Opadłam z powrotem na oparcie. Wstałeś i odwróciłeś się. Słyszałam, jak kręcisz się po kuchni i trzaskasz drzwiczkami szafek. Oparłam głowę na kolanach, skuliłam się, chciałam zniknąć. Trzęsłam się i miałam na nogach gęsią skórę, chociaż wcale nie było mi zimno.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam, rozmyślając. Moje spojrzenie przez ten czas przesunęło się tam i z powrotem po krajobrazie, szukając czegokolwiek... czegokolwiek innego, co mogłoby wskazać drogę ucieczki. Na błękitnym niebie zaczęły się pojawiać pomarańczowe pasma, a horyzont zaśnieżył na różowo.

Wyszedłeś, wpatrując się zmrużonymi oczyma w zachód słońca. W każdej dłoni miałeś szklankę wody. Całe wieki stałeś w drzwiach, patrząc na mnie, czekając, aż ja spojrzę na ciebie. Kiedy tego nie zrobiłam, podszedłeś do kanapy. Podałeś mi jedną ze szklanek. Nie wzięłam jej, chociaż okropnie chciało mi się pić. W końcu postawiłeś ją koło mnie na podłodze i odsunąłeś się, pijąc ze swojej. Nadal mnie obserwowałeś. Chyba czekałeś, aż znowu coś powiem. Nie wiem dlaczego, ale jakoś nie wyglądałeś na rozmownego typu. Zamiast tego patrzyłam na wiatr, jak unosi przypadkowe ziarenka piasku. Nigdy nie było wiadomo, gdzie je upuści.

- Kim ty jesteś? - szepnęłam.

Te słowa to były bardziej moje myśli niż pytanie. Nawet nie miałam pojęcia, że je wypowiedziałam, dopóki nie spostrzegłam, że starasz się wymyślić odpowiedź. Zmarszczyłeś czoło w skupieniu. Westchnąłeś.

- Po prostu Tyler - odparłeś.

Usiadłeś na poręczy kanapy i potarłeś brwi końcami palców. W pomarańczowym świetle zachodzącego słońca twoje oczy wyglądały jaśniej niż kiedykolwiek. Wyglądało to, jakby w nich też były ziarenka piasku, rzucone tam przez wiatr.

- Jestem stąd, chyba. - Twój głos był pełen wahania, tak inny niż zazwyczaj. Brzmiał jak kawałek spinifeksu na wietrze. Miałam wrażenie, że powinnam się pochylić, żeby złapać twoje słowa, zanim całkiem odfruną.

- Jesteś Australijczykiem?

Skinąłeś głową.

- Chyba tak. Mam imię po potoku, obok którego rodzice się pieprzyli.

Zerknąłeś na mnie, sprawdzając reakcję. Żadnej nie okazałam, tylko czekałam, aż znowu zaczniesz mówić. Myślałam, że będziesz. Było w tobie coś, jakaś nagromadzona energia, którą chciałeś uwolnić.

- Mama była bardzo młoda, kiedy mnie urodziła - ciągnąłeś. - Ale ona i tata nigdy właściwie nie byli naprawdę razem. Mama była z takiej eleganckiej angielskiej rodziny. Jak tylko przekazali prawa do opieki nade mną tacie, spakowali się, wyjechali i usiłowali o mnie zapomnieć. No więc tata wyprowadził się na kawałek ziemi, z paroma tysiącami hektarów i paroma krowami. Takie to było życie.

- Co się stało?

Patrzyłam, jak wierzysz się na poręczy, szukając odpowiedzi. Podobało mi się twoje zdenerwowanie. Zawsze jakaś zmiana. A część mnie myślała, że będę w stanie wykorzystać tę opowieść przeciwko tobie, kiedy mnie uratują, a ciebie wsadzą do więzienia. Ty gryzłeś paznokcie kciuka, obserwując zachód słońca.

- Najpierw tata sobie radził - powiedziałaś. - Pewnie wtedy nie był jeszcze całkiem powalony. Miał nawet pracowników do strzyżenia owiec i jakąś panią do mnie... już nie pamiętam, jak się nazywała. - Urwałaś i próbowałaś sobie przypomnieć. - Pani Gee, czy coś. - Uniosłeś brwi. - Kogo to obchodzi, nie?

Wzruszyłam ramionami.

- Była dla mnie kimś w rodzaju nauczycielki, chyba. Ona, pierwotni i postrzygacze.

- Pierwotni?

- Aborygeni, ci, co pracowali u taty na farmie: prawdziwi właściciele tego miejsca. Nauczyli mnie o ziemi, pani Gee usiłowała mnie nauczyć matematyki i takich pierdoł, a reszta nauczyła mnie o wódzie. Niezła edukacja, co? - Uśmiechnąłeś się słabo. - Ale to było w porządku biegać tutaj.

Dziwne to było, tyle od ciebie usłyszeć. Normalnie mówiłeś tylko po kilka słów naraz. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ty też możesz mieć jakąś historię. Do tej chwili byłeś po prostu porywaczem. Nie stały za tobą żadne racje. Byłeś głupi i zły, i psychicznie chory. To wszystko. Kiedy zacząłeś mówić, zacząłeś się zmieniać.

- Nie było innych dzieci? Kiedy dorastałeś?

Popatrzyłeś na mnie groźnie. Ale mnie się podobało, że w moim głosie zabrzmiały złość i żądanie i że kazało ci się to na chwilę zawahać. Podobała mi się ta odrobina władzy, którą mi to dało.

Pokręciłeś głową. Chyba już nie chciałeś o tym mówić, ale kiedy w końcu znowu zaczęłam się do ciebie odzywać, nie chciałeś mnie też ignorować.

- Nie, nie widziałem żadnego dzieciaka, dopóki tam byłem. Myślałem, że jestem jedyny na świecie. Znaczący pani Gee mi mówiła, że są inne, ale jej nie wierzyłem. - Twoje usta wykrzywiły się w coś jakby uśmiech. - Myślałem, że mam jakąś specjalną moc, która sprawia, że jestem mniejszy od reszty. Nigdy nie myślałem, że jestem młodszy od innych, tylko że mniejszy.

- Nigdy się nie bawiłeś z innymi dziećmi?

- Nie, tylko z ziemią.

- A z tatą?

Prychnąłeś.

- On się nie bawił z nikim, potem, jak mama odeszła.

Milczałam, zamyślona. Kiedy byłam młodsza, otaczały mnie dzieci. A może nie? Gdy chodziłam do szkoły, to tak, ale przedtem? Kiedy się nad tym naprawdę zastanowiłam, też nie mogłam sobie przypomnieć, żebym wtedy była z rówieśnikami. Byłam chorowita, mama raczej mnie pilnowała. Przede mną miała jakieś załamanie. Tak mi kiedyś powiedział tata. Poroniła, chyba nawet parę razy.

Nie chciała stracić także mnie. Skrzywiłam się, kiedy zrozumiałam, że w końcu właśnie tak się stało. Mama mnie w końcu straciła.

Obejrzałam się na ciebie, znowu cię nienawidząc. Wypiłeś całą swoją wodę. Patrzyłeś przed siebie, ściskając pustką szklanekę. Patrzyłeś tak całe wieki, nim znowu się odezwałeś. Mówiłeś tak cicho, że musiałam się pochylić, by cię usłyszeć.

- Po jakimś czasie tata zaczął jeździć do miasta, po pracę i inne rzeczy. Zaczął wyprzedawać bydło, ale nie dla pieniędzy, tylko na wodę i narkotyki. To, co mu pomagało zapomnieć. Wtedy się zmienił. Nigdy nie doglądał swojej ziemi, nigdy porządnie nie zajmował się bydłem... ani mną.

Spojrzałeś na szklankę. Wyglądało to tak, jakbyś chciał przynieść więcej wody. Właściwie nie wiem dlaczego, ale nagle zachciało mi się rozmawiać z tobą dalej. Może nuda mnie pokonała albo ta potrzeba, by nawiązać z kimś porozumienie... Nawet gdybyś to musiał być ty. Nie wiem. Może tylko chciałam znaleźć dziury w twojej historii.

- Co wtedy robiłeś? - spytałam szybko. - Przez ten czas, kiedy twojego taty nie było, musiałeś coś robić.

Zmarszczyłeś brwi, usiłując mnie rozgryźć.

- Nie wierzysz mi? - spytałeś. Zamyślony, stukąłeś szklanką o poręcz. Wzruszyłeś ramionami. - Nieważne.

Wyciągnąłeś liście i bibułkę, skręciłeś papierosa. Zaczęły grać świerszcze, a ty wypaliłeś niemal połówkę, zanim się znów odezwałeś.

- Jeśli chcesz wiedzieć, co robiłem... - powiedziałeś zduszonym głosem. - Głównie biegałem jak dziki po buszu, próbowałem żyć jak pierwotny. Zrobiłem się chudy i chory, spałem pod gwiazdami. Przez całe dni, czasami tygodnie nikt mnie nie widział. Kiedyś byłem tak głodny, że musiałem sam zabić jednego z cielaków taty. Nie powiedziałem mu o tym. - Uśmiechnąłeś się nagle, twoja twarz znowu odmłodziła. - Przeważnie jadłem jaszczurki... jeśli miałem szczęście. - Spojrzałeś w niebo, jakbyś czegoś tam szukał. - Mogłem malować obrazki z gwiazd, tak dobrze je znałem. Połącz kropki, otrzymasz istne arcydzieła.

Przypomniałam sobie gwiazdy podczas próby ucieczki, tamtej nocy w Samotnych. Na świecie ludzie sypiali pewnie w gorszych łóżkach, no, z pominięciem zimna.

- Jak znajdowałeś wodę? - spytałam.

- To łatwe. Jeśli szukasz roślin, znajdziesz wodę, po prostu... jak to źródło w Samotnych.

Pomyślałam o tym czystym jezioru i o moim strachu przed rybami wyjadającymi wnętrzności.

- Ta woda nadaje się do picia?

Głową wskazałeś szklankę przy moich nogach.

- A niby skąd byśmy ją mieli? Jak myślisz, dokąd prowadzi ta rura? - Wskazałeś na długą rurę wychodzącą spod domu. - Sam ją kładłem.

- Nie wierzę ci.

- Nigdy mi nie wierzysz.

Zsunąłeś się z poręczy na siedzenie kanapy, bliżej mnie. Odskokczyłam natychmiast, bardziej z przyzwyczajenia niż z innych powodów. Zaśmiałeś się trochę. Oparłeś się, ale nie próbowałeś się do mnie przysuwać. Po chwili znowu zacząłeś cicho mówić.

- Kiedy tata trafił do miasta, to był koniec... farma nie stanęła już na nogi. Zapomniał o ziemi, o mnie... zwolnił pomocników i panią Gee. Czasami go widywałem, w te noce, gdy spałem w swoim łóżku, ale nie jestem pewien, czy on naprawdę widział mnie, kiedy miał w sobie całą tę wodę i prochy. Jakiś czas tak było. Potem, pewnego dnia tata po prostu nie wrócił z miasta. - Szybko zerknąłeś na moją szklanekę wody. - Będziesz to pić? - spytałeś.

Spojrzałam na brązową wodę, na jej powierzchni unosiły się czarne paprochy. Pokręciłam głową. Pochyliłeś się przeze mnie, żeby ją wziąć. Patrzyłam, jak pijesz, twoje jabłko Adama pracowało jak tłok.

- Co to znaczy: nie wrócił?

Oblizales wargi, miales mokre usta.

- Nigdy nie wrócił. Zniknął. Spierdolił!

- Ile miales lat?

- Właściwie to nie wiem. Nie obchodziłem urodzin. Pewnie coś z jedenaście. Wszyscy inni odeszli już z farmy, wtedy byłem tam tylko ja. Minął jakiś rok, zanim ktokolwiek się zorientował i przyszedł mnie złapać.

- Złapać cię? - powtórzyłam. Wzruszyłeś ramionami, jakby trochę zakłopotany. - Nie chciałeś, żeby ktoś się tobą zajął?

- Nie, a niby dlaczego? Sam sobie lepiej radziłem. - Zmrużyłeś oczy. - I tak długo musieli się starać. Próbowali wszystkiego: przekupstwa, innych dzieci, księdza. W końcu złapali mnie w siatkę, jak jakieś zwierzę. I wysyłali w moim kierunku takie nibyuspokajające dźwięki. Najpierw myśleli, że nie umiem mówić, a przynajmniej, że nie po angielsku. Może uważali, że jestem pierwotnym... byłem dość ciemny od słońca. - Uśmiechnąłeś się trochę do swoich wspomnień.

- Co z tobą zrobili?

Twoje oczy zaszyły mgłą, wargi zacisnęły się, jakbyś się na mnie zezłościł za to pytanie.

- Wsadzili mnie na tył ciężarówki i zabrali do miasta... wiesz, takiej do przewożenia więźniów. Zawieźli mnie do domu dziecka. Dali mi pokój bez okna, pełen innych dzieciaków. Chcieli wiedzieć, jak się nazywam, ale im nie powiedziałem, niczego im nie powiedziałem. Więc nazwali mnie Tom.

- Tom?

- Tak, na parę miesięcy. Zdecydowali, ile mam lat i w czym będę chodził. Nie mówiłem do nich, więc próbowali zrobić ze mnie kogoś innego... Wolałbym, żeby mnie nigdy nie złapali.

Zastanawiałam się, co by się stało, gdyby cię nie złapali. Nadal biegałbyś dziko po farmie swojego ojca? Zapomniałbyś w końcu języka? Ale może to nie miałyby dla ciebie znaczenia.

- Kiedy znowu zacząłeś mówić?

- Kiedy usiłowali na mnie napuścić jednego doktora od wariatów. Wtedy szybko ich ustawiłem. - Wzruszyłeś ramionami. - Tam się nauczyłem niezłe walczyć.

- Ale w końcu cię rozgryźli?

- Doszli, jak się nazywam - warknąłeś. - W końcu dowiedzieli się też, że mama wyjechała i że tata zmarł w pubie. Wtedy farma była już sprzedana na jego długi. - Ciągle patrzyłeś na mnie groźnie, ściskając brzeg kanapy, aż zaczęła trzeszczeć. - Nikt nie wiedział, kim byłem - dodałeś. - Kim byłem tak naprawdę. Gdy pojechałem do miasta, całe moje życie zaczęło się na nowo, od początku.

Na środku twojego czoła zrobiła się głęboka zmarszczka. Ramiona też miałeś wyprostowane, kark sztywny. Zrozumiałam, że zaczynam cię odczytywać, rozumieć, kiedy jesteś spięty, zły albo zdenerwowany. Przejechałeś dłonią po czole, wygładzając zmarszczki. Pochyliłam się troszeczkę w twoją stronę.

- Czyli ciebie też tak jakby ukradli - powiedziałam cicho. Zdobyłam się na odwagę i popatrzyłam ci w oczy. Ty swoje zmrzyłeś. Doskonale wiedziałeś, o co mi chodziło. Ukradli ciebie, tak jak ty ukradłeś mnie. - Czy ja to twój sposób na zemstę?

Długo milczałeś. Ale ja nie spuściłam wzroku. Kiedy już wiedziałam, że się na mnie nie wściekniesz, poczułam się odważna. W końcu to ty musiałeś pierwszy odwrócić wzrok.

- Nie - powiedziałeś. - To nie tak. Ja cię przed tym wszystkim uratowałem. Uratowałem. Nie ukradłem.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił.

- Nie mów tak.

Wtedy znowu na mnie zerknąłeś, szeroko otwartymi oczyma, niemal błagalnie.

- Tu jest lepiej niż na farmie taty - oznajmiłeś twardo. - Tej ziemi nikt nie kupił. I nikt jej nie będzie chciał. To umierająca ziemia, samotna ziemia.

- Jak ja - powiedziałam.

- Tak, jak ty. - Przygryzłeś wargę. - Was obie trzeba uratować.

Tej nocy nie mogłam spać. Ale to nie było nic niezwykłego. Wpatrywałam się w sufit i słuchałam skrzywienia i jęków domu. Wydawał się żywy. Olbrzymie zwierzę leżące w piasku, a my tkwiłiśmy w jego brzuchu.

Wymyślałam sposoby, jak cię zabić. Wyobraziłam sobie dźwięk, jaki byś wydał, gdybym wbiła ci coś ostrego w szyję. Wyobraziłam sobie tryskającą krew, spływającą po moich rękach i plamiącą podłogę. Wyobraziłam sobie, jak twoje niebieskie oczy stają się nieruchome.

Ale te obrazy mnie nie uspiły. Myślałam więc o tym, co bym powiedziała rodzicom, gdybym ich znowu zobaczyła. Głównie byłyby to przeprosiny.

Przepraszam, że stłukłam ulubiony wazon mamy.

Przepraszam, że tamtego dnia złapaliście mnie pijaną.

Przepraszam, że klóciliśmy się na lotnisku.

Przepraszam, że dałam się porwać.

Przepraszam, przepraszam, przepraszam...

A potem byłam w parku. Przewracałam się z boku na bok, usiłując wydostać się z tego snu, ale było za późno.

Szłam szybko. Zapach ciepłej, wilgotnej ziemi wypełniał mi nozdrza... Pozostałość po upalnym letnim dniu. Muszki latały wszędzie wokół, wpadały mi we włosy i wlatywały do oczu.

Był tam, tylko kilka metrów ode mnie. Doganiał mnie. Szedł za mną. Słyszałam szelest jego džinsów, stukot jego kroków. Przyśpieszyłam. Popatrzyłam wokół na drzewa i krzaki, szukając czegoś, co bym rozpoznała, ale drzewa były gęste i ciemne, a ich liście szeleściły i szeleściły.

Był tak blisko, że słyszałam jego oddech, ciężki z powodu letniego przeziębienia. Żle skręciłam i poszłam w stronę stawu. Pociągnął nosem. Był za mną, mówił do mnie, prosił, żebym zwolniła. Ale ja ruszyłam biegiem. W sumie to było głupie, znałam tego faceta. A zresztą tą ścieżką i tak nie można było nigdzie dojść - tylko do stawu. Stopy ślizgały mi się na kamyczkach, oddech przyśpieszał. A woda była tak blisko, coraz bliżej i bliżej.

Jego cień zbliżał się do mnie, prześcignął mnie, przykrył mój swoim mrokiem. Zaczęłam się odwracać, usiłowałam wymyślić coś, żeby zagadać... o szkole albo o Annie, albo o czymkolwiek.

Potem się zatrzymał. I zobaczyłam go. Tylko że tym razem to nie był on, tylko ty.

Miałeś na sobie tę koszulę w kratkę z lotniska, wyciągałeś ramiona. Trzęsły ci się ręce.



- Gemmo, proszę - mówiłeś - proszę... nie.

Ale ja odwróciłam się od ciebie i wbiegłam prosto do stawu. Pozwoliłam, by nakryła mnie woda, i opadałam teraz w dół, w dół, głęboko w zimną, ciemną pustkę, a moje włosy wplątywały się w wodorosty.

Z werandy rozległo się stukanie - regularne dźwięki świadczące o tym, że coś uderza o coś innego. Otworzyłam drzwi z drucianą siatką i stałam przez chwilę bosą na deskach. Poranne słońce było tego dnia bardziej miękkie, nie tak intensywne. Nie musiałam jak zwykle czekać kilku sekund, nim moje oczy się przyzwyczają.

Byłeś na lewo ode mnie, w zdartych szortach i cienkiej, podziurawionej koszulce bez rękawów. Między twoimi pięściami w powietrzu trząsał się worek treningowy. Wcześniej go nie zauważyłam, może go dopiero zawiesiłeś. Stałeś na palcach, podskakując lekko, mocno waląc w worek gołymi pięściami. Twoje ciało napinało się przed ciosem, twarde jak skały za tobą. Pod materiałem rysowały się linie mięśni. Na twoim ciele nie było nic miękkiego ani niepotrzebnego. Stękałeś cicho, kiedy uderzałeś w worek, skórę na kostkach dłoni miałeś otartą i czerwoną.

Chyba nie wiedziałeś, że patrzę. Wyraz twarzy miałeś skupiony, każdy mięsień w twoim ciele był napięty. Zadrzałam, wyobrażając sobie, jak uderzasz mnie tymi kamiennymi pięściami, usłyszałam trzask moich pękających żeber... ciemna plama i nabrzmiewające siniaki.

Walileś w ten worek, aż twoja koszulka zmieniła kolor od potu. Potem unieruchomiłeś go i podciągnąłeś koszulkę do góry, żeby otrzeć nią czoło. Dostrzegłam twój brzuch - gładki i umięśniony, jak piaskowe wydmy. Podszedłeś do metalowego pręta, przyczepionego pod sufitem werandy. Chwyciłeś go, podciągnąłeś się i opuściłeś powoli. Twoje bicepsy nabrzmiewały z każdym podciągnięciem, napinając skórę tak, jakby miała za chwilę pęknąć. Byłeś najsilniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. Gdybyś tylko chciał, mógłbyś mnie zabić bez najmniejszego trudu. Lekki uścisk twoich dłoni i byłabym uduszona, lekki cios i mój mózg by eksplodował. Nie mogłabym nic zrobić. Jeden tępy nóż pod materacem niewiele zdziała przeciwko tobie.

Potem wzięłam do ręki nóż, który zabrałam z kuchni. Sprawdziłam jego ostrość, przeciągając krawędzią po palcu. Wyobraziłam sobie, że przejeżdżam nim przez twoje gardło. Kropla krwi spadła na prześcieradło. Potem pochyliłam się nad drewnianą konstrukcją łóżka i zrobiłam w niej kolejne nacięcia. Uznałam, że musiało minąć jakieś szesnaście dni, ale na wszelki wypadek zrobiłam jeszcze jedno. Siedemnaście.

Byłeś, kiedy się obudziłam.

- Jesteś gotowa na zwiedzanie Samotnych? - spytałeś. - Zabiorę cię tam dzisiaj.

Zmarszczyłam brwi.

- Już tam byłam.

Przekręciłam się na drugi bok, usiłowałam zapomnieć o mojej nieudanej próbie ucieczki, ale ty obszedłeś łóżko. Uśmiechałeś się, obserwując mnie.

- Nie obejrzałaś ich dobrze. Nie ze mną.

Potem wyszedłeś. Gdy wstałam, znacznie później, nadal czekałeś w kuchni. Kiedy mnie zobaczyłeś, otworzyłeś drzwi.

- Chodź - powiedziałeś.

Poszłam więc za tobą. Właściwie nie wiem dlaczego. Mogę powiedzieć, że nie miałam nic innego do roboty, niż gapić się na cztery ściany, albo że chciałam znowu spróbować uciec, ale moim zdaniem było w tym coś więcej. Kiedy byłam zamknięta w domu jak w pułapce, miałam wrażenie, że już umarłam. Z tobą przynajmniej mi się wydawało, że moje życie cokolwiek znaczy... nie, to nie tak, wydawało mi się, że moje życie ktokolwiek zauważa. Wiem, to brzmi dziwnie, ale czułam, że lubisz mieć mnie w pobliżu. I było to lepsze niż alternatywa - to uczucie pustki, które, kiedy byłam w twoim domu, groziło mi, że zniknę na zawsze.

Poprowadziłeś mnie przez piasek. Zatrzymałeś się przy ogrodzeniu, żeby rozciągnąć siatkę. Przytrzymałeś ją, bym mogła przejść. Szliśmy w milczeniu, aż dotarliśmy do początku ścieżki. Zaczekałeś z ręką na pniu jednego z drzew rosnących na obrzeżach skał. Zostałam trochę w tyle, zachowując między nami metr czy dwa odstęp.

- Nie boisz się wejść do środka?

- A powinnam? - Odwróciłam wzrok. - Co chcesz zrobić?

- Nie, tylko... - Szybko pokręciłeś głową. - Jeden z ludzi taty kiedyś mi coś powiedział. Ze niedaleko w skałach są duchy, że skały mają powód do istnienia i cel... Powiedział, że jeśli nie będę ich szanować, spadną i mnie rozgniotą. Śmiertelnie mnie wystraszył tymi historyjkami. - Zrobiłeś parę kroków, aż stanąłeś pod kamienną ścianą. Spojrzałeś w górę, na sterczące nad tobą skały. - Od tamtego czasu zawsze najpierw witam się ze skałami, zanim między nie wejdę... Daję im chwilę, żeby wiedziały, że tu jestem.

Dotknąłeś kamienia palcem, zdrapując z niego trochę kurzu. Potem roztarłeś pył między kciukiem a palcem wskazującym, po czym dotknąłeś wargi. Obejrzałeś się na mnie, zanim poszedłeś dalej ścieżką.

Po sekundzie czy dwóch ruszyłam za tobą. Zachowywałam odpowiedni dystans. Nogi trochę mi drżały, nie szłam po skałach pewnie. Znowu oparłam dłoń o te ogromne ściany,

posuwałam się ze stopami po obu stronach rury. Nienawidziłam tego, że ta ścieżka wydawała się też jedynym wyjściem spośród skał. I nie podobały mi się niskie jęki wydawane przez wiatr. Miałam wrażenie, że wchodzę w pułapkę.

Ty szedłeś szybko. Kiedy dotarłam na polankę, opierałeś się już o drzewo z szorstką korą. W dłoni trzymałeś coś małego.

- Miodla, czyli orzech pustynny - powiedziałaś.

Podał mi go. Wydawał się twardy jak kamyk i tak samo wyglądał. Postukałam paznokciem w twardą skorupkę.

- Kiedy się je gotuje, mówią - oznajmiłeś. - Ich skorupy pękają w ogniu, a wtedy mówią do ciebie... przynajmniej takie historie tu się opowiada. Gdy pierwszy raz je gotowałam, myślałam, że to duchy skał ostrzegają mnie, że niedługo umrę.

Uśmiechnąłeś się krzywo. Potem wziąłeś ode mnie orzech i wsadziłeś go do kieszeni. Przechodząc, klepnąłeś dłonią korę drzewa.

- Miodla daje słodycz, sól, orzechy... i schronienie. To twój przyjaciel tutaj, o ile jacyś w ogóle są.

Szedłeś polanką w stronę dwóch klatek z kurami. Otworzyłeś pokrywę tej większej i położyłeś w rogu garść nasion i jagód, a potem sprawdziłeś wodę. Kury rzuciły się na jedzenie. Poszukałeś jajek i prychnąłeś, kiedy żadnego nie znalazłeś.

- Jeszcze nie są zdrowe - mruknąłeś. - Nie uspokoiły się po tej jeździe.

Przesunąłeś ręką po ich piórach, szepecząc coś prawie bezgłośnie. Patrzyłam, jak twoje palce delikatnie obmacują szyje kur. Tylko troszeczkę silniejszy nacisk twych mocnych rąk i udusiłbyś je. Zamknąłeś klatkę. Wsadziłam do niej palec i pogłaskałam pióra tej pomarańczowej.

Potem sprawdziłeś rośliny, upewniając się, że woda z rury także do nich dociera.

- Jupuna, miodla, pustynny pomidor... - mówiłeś do nich jak do przyjaciół, wymieniając dla mnie ich imiona. Obracałeś ich liście i owoce, szukając oznak choroby i owadów.

Potem wstałeś i poszedłeś za rurą do jeziora. Kroczyłeś pewnie i głośno przez dłuższą, szorstką trawę.

- Są tu węże? - spytałam.

Skinąłeś głową.

- Ale jeśli robisz hałas, chowają się. Same się boją.

Nie chciałam, ale szłam bliżej ciebie. Każda gałązka na ziemi wyglądała dla mnie jak wąż, póki na nią nie nastąpiłeś i jej nie złamałeś.

Przy jezioru oparłeś się o konar, który złapał mnie poprzednim razem. Przesunąłeś dłońią po jego gładkiej korze.

- On pomaga odfiltrować gówno z wody - oznajmiłeś, jakbyś przedstawiał dobrego znajomego.

Ukląkłeś przy jezioru i zanurzyłeś w wodzie rękę, po rurze. Potem jednym szybkim ruchem zdjąłeś koszulę.

- Chcesz się przepłynąć? - spytałeś. - Muszę sprawdzić źródło.

Pokręciłam głową, zmuszając się, by oderwać wzrok od twojej klatki piersiowej. Każdy jej centymetr był twardy i brązowy. Nigdy nie widziałam nikogo aż tak wyćwiczonego i doskonałego, ale wiedziałam, że ta twoja siła to nic dobrego, i serce zabiło mi szybciej na myśl o tym, co mogłeś z nią zrobić. Zamiast tego patrzyłam na ziemię. Po moich butach łąziły wielkie, czarne mrówki. Strąciłam jedną, kiedy chciała wleźć mi na kostkę.

- Możesz usiąść tutaj - powiedziałaś. Kiwnąłeś głową w stronę mrówek. - Raczej nie ugryzą.

Wszedłeś do jeziora. Spojrzałam na ciebie jeszcze raz, nim zanurkowałeś. Twoje plecy były opalone, mięśnie napinały się przy każdym ruchu.

Kolejna mrówka usiłowała wleźć mi na nogę, ale strąciłam ją. Nade mną jakiś ptak wydał dźwięk podobny do śmiechu czarownicy. Poza tym panowała martwa cisza.

Kiedy wracaliśmy do domu, jedynym dźwiękiem były odgłosy naszych kroków na piasku. Musiałam jakoś przełamać panujące tu ciszę i spokój.

- Mogę karmić kury? - spytałam. - Czasami?

Powoli zmierzyłeś mnie wzrokiem z lekkim uśmiechem i skinąłeś głową.

- Czemu nie? - stwierdziłeś. - Może ty je namówisz do znoszenia jajek.

Koszulę miałeś narzuconą na ramiona, wciąż byłeś mokry. Krople wody błyszczały ci na skórze. Poszłam przodem. Nie chciałam, byś widział, jak na ciebie patrzę.

Dzień osiemnasty - nie było ciebie, kiedy wstałam. Otworzyłam drzwi i usiadłam na prowizorycznym schodku.

Patrzyłam na piasek, wszędzie piasek, tylko piasek. Czekałam - na co? Nie miałam pojęcia. Robiło się coraz goręcej. Dookoła moich uszu latały i bzycały muchy. Niebo zaczynało rozmazywać się w rozgrzanym powietrzu.

Potem, całkiem niespodziewanie, przeleciało obok stadko jakichś małych ćwierkających stworzeń. Piszczwały jak dzieci, kiedy stają na swoich plastikowych zabawkach. Usiłowałam skupić się na poszczególnych zwierzętach w stadzie. Każdy ptak był mniej więcej rozmiarów mojej zaciśniętej pięści, z szarym grzbietem i krwistoczerwonym dziobem.

Okrężyły dom przez jakiś czas, a potem pomknęły w stronę Samotnych. Czekałam i czekałam z nadzieją, że wrócą.

Następnego dnia to ty czekałeś na mnie.

- Chodźmy - powiedziałeś.

Poszłam za tobą. Zaczynałam nienawidzić ciszy tego domu i nienawidzić tej bierności i depresji, w które wpadałam. Ale nie szedłeś w stronę Samotnych. Zamiast tego ruszyłeś w stronę pozostałych zabudowań. Cofnęłam się.

- Nie chcę tam wchodzić - oświadczyłam stanowczo, kiedy zatrzymałeś się koło drzwi, przez które już raz mnie wepchnąłeś.

- Chodź - powiedziałeś. - Muszę ci to pokazać.

Otworzyłeś drzwi i wszedłeś. Ja stanęłam na schodku i zajrzałam do środka. Poszedłeś na drugi koniec pokoju i rozsunałeś zasłony. Słońce wpadło do wnętrza, rozświetlając kolory - cały ten piasek, kwiaty, liście i farbę.

Najpierw to wyglądało jak zwykły bałagan, wszystko porzucane. Natychmiast zaczęłam się rozglądać za czymkolwiek, czym mógłbyś mi zrobić krzywdę. Jedyne, co zobaczyłam, to stos kamieni w kącie. Kiedy do nich podszedłeś, poczułam, jak moje ciało się napina, gotowe do ucieczki.

Ale nie wziąłeś żadnego. Zamiast tego otworzyłeś butelkę wody i wylałeś na stos kroplę. Zdrapałeś trochę mokrej powierzchni na mały talerzyk, dodając więcej wody, by uzyskać ciemnobrązową pastę.

- Co ty robisz? - spytałam.

- Farbę.

Obok mnie był koszyk wpleciony z trawy, a w nim liście, jagody i kwiaty. Podszedłeś i starannie wybrałeś jakieś niewielkie czerwone jagódki. Rozgniotłeś je i zmieszałeś z tą pastą. Pracowałeś szybko i metodycznie, brałeś różnokolorowe kawałki przyrody i przerabiałeś je na farbę. Czulałam, że słońce zaczyna przypalać mi kark, więc zrobiłam krok do środka i oparłam się o ścianę.

Usiadłeś, wyciągając przed siebie odsłonięte nogi. Wyjąłeś zza kamieni pędzel, zanurzyłeś go w paście koloru rdzy i zacząłeś malować swoją stopę. Namalowałeś długie, cienkie linie. To wyglądało trochę jak powierzchnia kory drzewa. Zmarszczyłeś brwi w skupieniu. Nie bałam się ciebie, kiedy miałeś spuszczone głowę, skupiony, ale i tak obserwowałam cię uważnie. W tej chwili niemal ci wierzyłam, kiedy mówiłeś, że nic mi nie zrobisz.

- Jak długo zamierzasz mnie trzymać? - spytałam cicho. Nie podniosłeś wzroku znad swego malunku.

- Mówiłem już - odparłeś. - Na zawsze.

Nie uwierzyłam ci. Jak mogłam? Gdybym pozwoliła sobie w to uwierzyć, równie dobrze mogłabym paść trupem na miejscu. Westchnęłam. Zbliżało się południe, kiedy robiło się niemożliwie gorąco. Czas, gdy przejście nawet paru metrów było niemal olimpijskim wyczynem. Nadal cię obserwowałam.

Wkrótce potem farba na twojej stopie pokryła także kostki i dolną połowę łydek. Namalowałeś liście na swoich gołeniach i czerwone, kolczaste trawy z tyłu łydek. Uśmiechnąłeś się, kiedy zauważyłeś, że nadal patrzę.

- Nie pamiętasz, jak się spotkaliśmy ten pierwszy raz, prawda? - spytałeś.

- A powinnam? - odpowiedziałam. - To się nie stało.

Skończyłeś malować długie kolce, a potem wypełniłeś miejsce między nimi czarnym węglem.

- To było na Wielkanoc - zacząłeś. - Wiosna, między gałęziami drzew świeciło słońce. Nie było już zimno, na klombach kwitły pierwiosnki i krokusy. Byłaś w parku z rodzicami.

- W jakim parku?

- Prince's Park. Tym na końcu twojej ulicy.

Zsunęłam się po ścianie, znowu zaszokowana tym, co o mnie wiesz. Twoje oczy wpatrywały się badawczo w moje, nie wierząc, że tego nie pamiętam. Mówiłeś powoli, jakbyś w ten sposób wbijał mi wspomnienie do głowy.

- Twoi rodzice czytali gazety na ławce pod rododendronami. Wzięli ci do zabawy hulajnogę, ale zostawiłaś ją na trawie. Zamiast tego poszłaś do klombów. Słyszałem, jak mówisz do żonkili i tulipanów, szepczesz do duszków, które mieszkały między płatkami. W każdym kwiatku mieszkała inna rodzina.

Mocno objęłam nogi. Nikt o tym nie wiedział. Nawet Annie nie powiedziałam o tych zabawach. Dostrzegłeś mój szok, a kiedy mówiłeś dalej, wyglądałeś na dość zadowolonego z siebie.

- Szłaś ostrożnie przez klomb, witając się z każdą kwietną rodziną... Moses, Patel, Smith. Potem się dowiedziałem, że to nazwiska dzieci z twojej szkoły. Tak czy inaczej, szłaś przed siebie, aż pochyliłaś się pod ciężkimi rododendronami i doszłaś do krzaków... moich krzaków. Znalazłaś mnie tam, zwiniętego, z moją zdobyczą i butelką wody, pewnie na pół zalanego. Ale ja cię obserwowałem, słuchałem. Podobały mi się twoje historyjki. - Uśmiechnąłeś się na to wspomnienie. - Zapytałaś mnie, czy szukam wielkanocnych jajek.

Rozmawialiśmy... opowiedziałaś mi o swoich duszkach i ich kwiatowych domkach. Ja opowiedziałem ci o Min Minach, duchach, które żyją w tutejszych drzewach i próbują ukraść zagubione dzieci. A ty się nie bałaś, chociaż wtedy większość ludzi się mnie bała... Patrzyłaś na mnie jak na zwykłego człowieka. To mi się podobało.

Milczałaś, rysując sobie jajowaty kształt na udzie, a potem robiąc w środku małe brązowe kropki.

- Dałem ci jajko rudzika - powiedziałaś, wskazując na wzorek. - Znalazłem je pod dębem. Na górze miało dziurkę, wcześniej wyssałem żółtko. Nie wiem, dlaczego je trzymałem... pewnie dla ciebie. - Patrzyłam, jak malujesz jajo na kolor piaskowca. - Rudziki to ostre ptaki - stwierdziłaś. - Będą bronić swojego domu aż do śmierci.

Czułam, że serce bije mi jak szalone. Znałam to wspomnienie. Oczywiście, że tak. Ale skąd znałaś je ty?

- Tam w krzakach to był włóczęga - powiedziałam. - Ktoś chudy, stary i zarośnięty, pewnie nienormalny. To nie byłeś ty.

Uśmiechnałaś się.

- Powiedziałas, że mój sufit z różowych kwiatów jest najpiękniejszy, jaki w życiu widziałas.

- Nie! To był tylko włóczęga, na którego wpadłam. Nie ty. Pokręciło ci się.

Gryzłaś brzeg kciuka.

- Niesamowite, co robi z człowieka ciężkie życie w mieście. - Odgryzłaś kawałek paznokcia i wyplułaś go na bok. - Zresztą wtedy byłaś dzieckiem. Wydawałbym ci się stary tak czy inaczej, ale sam byłem ledwo dorosły.

Wytarłam wilgotne dłonie o koszulkę. Cała byłam spocona. Zauważyłaś to, ale ciągnęłaś dalej. Podobało ci się moje zmieszanie.

- Powiedziałas, że to najlepsze jajko wielkanocne, jakie kiedykolwiek znalazłaś. Niosłaś je w ręku jak skarb. Przypomniało mi to, jaki byłem kiedyś, kiedy żyłem tutaj... Przypomniało mi się, jak to jest znaleźć coś dzikiego i zrozumieć, że to jest ważne. - Narysowałaś na kolanie następne kółko i wypełniłaś je ciapkami. - Uświadomiłem sobie, gdzie jest moje miejsce... nie w miejskim parku, z tanim alkoholem, ale tutaj, na ziemi, którą znam, z prawdziwymi duchami. - Pokryłaś kolano kolejnymi kółkami, nadal na mnie nie patrząc. - Następnego dnia znalazłem gniazdo, z którego wypadło jajko rudzika. Było porzucone i obszarpane, ale wiedziałem, że chciałabyś je mieć. Znalezienie gniazdka, znalezienie ciebie... to był prawdziwy znak.

- Jaki znak? - Gardło ścisnęło mi się tak mocno, że trudno było wydobyć słowa. Bo pamiętałam gniazdo rudzika. Znalazłam je na swoim parapecie pewnego wczesnego ranka. Nigdy się nie dowiedziałam, skąd się wzięło. Usiłowałam przełknąć ślinę. Obserwowałeś mnie, lekko kiwnąłeś głową, kiedy zobaczyłeś to coś, zrozumienie, w moim wyrazie twarzy.

- Znak, że człowiek może robić coś innego... Ze może go wciągnąć narkotyk dzikszymi od alkoholu. Zacząłem wtedy myśleć, czego naprawdę chcę od życia. Właśnie tego... malować ziemię, żyć tutaj, być wolnym... - Zrobiłeś gest ogarniający całe pomieszczenie. Kropla koloru skapnęła z twojego pędzla i gdzieś spadła. - Tak więc spotkanie ciebie... to był chyba pierwszy krok prowadzący do tego wszystkiego... Znalazłem pracę, nauczyłem się budować, zebrałem informacje...

Wydałam z siebie cichy, zduszony dźwięk, przerywając ci w pół zdania. Zacisnęłam pięść na podłodze, wbijając kostki w drewno.

- Jesteś chory - syknęłam. - Dostałeś obsesji na punkcie dziesięcioletniej dziewczynki i porwał ją sześć lat później? Co za pojebany...

- Nie. - Zacisnęłaś usta. - To nie było tak. Nie miałem obsesji... - Twoja twarz była napięta i twarda, twarz mordercy. - Nie znasz całej historii.

- I nie chcę.

Pozwoliłeś, żeby twój pędzel spadł na ziemię i trzema krokami pokonałeś cały pokój. Ja czołgałam się tyłem po podłodze, w stronę drzwi. Ale ty się pochyliłeś i złapałeś mnie za nogę.

- Puść mnie!

Przyciągnąłeś mnie do siebie.

- Nie puszczę cię i dowiesz się czegoś o mnie. - Twój głos był całkiem spokojny, ale szczęką napięta. Czulałam kwaśny, ziemisty zapach twojego oddechu, twoje zaciskające się palce. - Nie jestem potworem - warknąłeś. - Byłaś wtedy dzieckiem. Ta chwila, kiedy zrozumiałem, że cię chcę, przyszła później. - Zamrugnąłeś i odwróciłeś wzrok, nagle pełen wahania.

Znowu próbowałam się uwolnić. Kopnęłam cię w kolano. Ale ty, powstrzymując mnie od ucieczki, przycisnąłeś mi ramiona do boków, jakbym była jakimś ptakiem.

- Patrzyłem, jak dorastasz - powiedziałeś.

Poruszyłam ramionami. Ale ty byłeś tak silny, że ledwo mogłam drgnąć.

- Każdego dnia twoi rodzice usiłowali cię zmusić, żebyś była jak oni - ciągnąłeś. - Wmanewrować cię w życie bez znaczenia. Nie chciałaś tego, wiem, że nie.

- Co ty wiesz o moich rodzicach?! - krzyknęłam.



Znowu zamrugales.

- Wszystko.

Zebrałam w ustach ślinę. Splunęłam na ciebie.

- Kłamiesz - oznajmiłam.

Zmrużyłeś oczy, kiedy poczułeś strużkę spływającą po czole. Twoje palce zacisnęły się. Ściskałeś mnie tak mocno, pomyślałam, że zaraz popękają mi żebra. Ledwo oddychałam. Ale i tak mnie trzymałeś, patrząc groźnie.

- Nie kłamię - powiedziałeś. - Tak jest.

Ślina spłynęła na twój policzek, puściłeś mnie, żeby ją otrzeć. Ja się natychmiast zerwałam i zaczęłam cofać do drzwi. Ale ty się i tak odwróciłeś, ignorując mnie. Podniosłeś pędzel i zrobiłeś szybkie, pełne złości maźnięcia na grzbiecie dłoni. W tej chwili twoje niebieskie oczy wydawały się nadludzkie. Intensywność ich wyrazu kazała mi zrobić kolejny krok w stronę wyjścia. Ale przecież nie skończyłam. Musiałam się dowiedzieć czegoś jeszcze. Zmusiłam nogi, by przestały drżeć. Zacisnęłam pięść jak najmocniej, usiłując opanować strach.

- Skąd to wszystko wiesz? - Patrzyłam na ciebie uparcie, chcąc, żebyś padł trupem od samego mojego spojrzenia. Potem odwróciłam się i walnęłam pięścią w ścianę. - Nie możesz tego wszystkiego wiedzieć!

Czułam w oczach łzy, chciały uciec. Cisza wisiała w powietrzu jak upał. Wstałeś i podszedłeś do mnie.

- Długo cię obserwowałem - odpowiedziałeś. - Byłem ciekaw, nic więcej. Po prostu byłaś taka jak ja, kiedy byłem mały... zawsze mi się wydawało, że nie pasujesz do reszty. - Westchnąłeś i przeciągnąłeś dłonią po brwiach. - Nie pamiętasz mnie w Londynie? W ogóle?

- Jasne, że nie! To są tylko głupie kłamstwa. - Znowu uderzyłam pięścią w ścianę, krzywiąc się, kiedy zobaczyłam, jak moje kostki robią się czerwone.

- Gem - powiedziałeś spokojnie. - Znam cię. Widywałem cię... codziennie.

Zacisnęłam zęby, nie mogąc na ciebie patrzeć. Myślałam o tym, ile razy chodziłam po domu nago, wiedząc, że nikogo nie ma. Pomyślałam o Matthew Rigonim, jak wrócił ze mną, kiedy wypiliśmy trochę w parku.

- Co widziałeś? - wymamrotałam. - Jak?

Wzruszyłeś ramionami.

- Dąb koło twojego pokoju, okno w garażu, dom sąsiadów, kiedy byli w Grecji, a oni często jeździli do Grecji... no i oczywiście park. To łatwiejsze, niż myślisz.

Twoja twarz była tak blisko. Na tyle, że mogłam cię uderzyć. Jezu, jak chciałam. Chciałam cię bić i kopać, aż zostanie z ciebie kawał gówna bez życia na podłodze. Chciałam, żebyś czuł się tak jak ja w tej chwili. Ale ty podszedłeś do mnie jeszcze bliżej. Sięgnąłeś po moją rękę i odciągnąłeś ją od ściany. Przesunąłeś kciukiem po obolałej obdartej skórze. Moja ręka zadrżała natychmiast i jeszcze mocniej zacisnęłam palce.

- Nie dotykaj mnie - warknęłam.

Odsunąłeś się.

- Wiem, kim jesteś, Gem.

Wrzasnęłam i wbiłam pięść w twój brzuch. Mocno. I jeszcze raz. Rzuciłam się na ciebie całym ciężarem, raz za razem, objając się o twój twardy tors i umięśniony brzuch. W tamtej chwili nie obchodziło mnie, co mi zrobisz. Chciałam zadać ci ból. Mnóstwo bólu. Ale ty wydawałeś się nawet tego nie zauważać. Wykręciłeś mi ramię i trzymałeś mnie mocno, stojąc tuż za moimi plecami. Przysunąłeś wargi blisko mojego ucha, tak że przy najlżejszym poruszeniu dotykałam ich.

- Wiem, jak to było - szepnąłeś. -... Noce, kiedy byłaś sama w tym wielkim domu, bo rodzice pracowali do późna... Twoi przyjaciele upijali się w trupa w parku, a ty nie wiedziałaś, czy do nich dołączyć. Josh Holmes stukał w okno twojego pokoju o pierwszej w nocy... - Pozwoliłeś mojemu ramieniu opaść. - Naprawdę byłaś szczęśliwa w mieście?

- Odpieprz się!

Cofnąłeś się o krok.

- Tylko pytam - odparłeś. - Naprawdę miałaś idealne życie? Naprawdę za nim tęsknisz... za rodzicami, przyjaciółmi, czymkolwiek?

Patrzyłeś mi w oczy. Skinęłam głową.

- Oczywiście. - Ale zabrzmiało to jak jęknięcie.

Wróciłeś na miejsce, gdzie malowałeś. W lewej dłoni zamknęłam poobijaną prawą i starałam się uspokoić.

Nawet sobie nie zdawałam sprawy z tego, jak się trzęsłam. Zanurzyłeś nowy pędzel w talerzyku zielonej farby i zacząłeś malować wzorki na palcach u nóg.

- Wiesz, że to, co mówię, ma sens. Twoi rodzice to palanty. Głównie interesuje ich zarabianie pieniędzy, robienie z domu wystawy i dostanie się do niedzielnych wydań gazet. I ciebie też tak kształtowali, szkolili na małą wersję siebie. Uratowałem cię przed tym.

- Nie! - Zacisnęłam szczęki, zęby mało mi nie popękały. Wzruszyłeś ramionami na moją reakcję.

- Co? Nieraz słyszałem, jak tak do nich mówisz.

- Ja jestem ich córką.

- No to co?

- Ja mogę.

Otarłeś pędzel o szorty, czyszcząc go.

- Przyznaj to, Gem, oni kochają pracę i drogie rzeczy, i wpływowych przyjaciół bardziej niż ciebie. Ciebie kochają tylko wtedy, kiedy zachowujesz się tak jak oni.

- Gówno prawda.

Uniosłeś brew.

- Nie poszli na rozdanie twoich szkolnych nagród, bo odbierali nowy samochód.

- Ja nie dostałam nagrody.

- Ale musiałaś iść, a wszyscy inni rodzice tam byli.

- Ty najwyraźniej też.

- Jasne. - Wzruszyłeś ramionami. Zrobiłeś maleńkie zielone kropki u nasady wielkiego palca. - Ale rozumiem, dlaczego tacy byli - stwierdziłeś. - Pragnęli być dostrzeżeni, chcieli pasować... większość ludzi chce.

- Oprócz dziwadł takich jak ty - prychnęłam.

Twoje oczy rozbliły.

- Chcę wolności - powiedziałaś po prostu. - W pieprzonym świecie twoich rodziców nie ma wolności. - Na twojej szyi pulsowały żyły. Przełknąłeś powoli, obserwując mnie. - Ja widziałem rzeczy, których ty nie widziałaś, rozumiesz? - szepnęłaś, mocno zaciskając palce na pędzlu. - Słyszałem rozmowy, których ty nie słyszałaś.

- Usiłujesz mnie zatruć. - Przycisnęłam rękę do uszu. - Powiedzieć, że znasz moje życie lepiej ode mnie.

- Bo może znam. Mam ci o tym opowiedzieć? - Wstałaś, a twoja twarz zeszywniała. - Po pierwsze, wiem, że twoi rodzice chcą się wyprowadzić, bez ciebie... twoja mama rozmawiała o tym z twoim tatą. Powiedziała, że możesz się przenieść do szkolnego internatu.

- To nieprawda - szepnęłam.

- Okej, w takim razie co z Benem?

- A co z nim?

- Anna wiedziała, co do niego czujesz, nie podobało jej się to... Nie ufała ci przez to.

- Nie.

- A Josh Holmes?

Z zaskoczenia straciłam dech.

- Doskonale wiem, co chciał ci zrobić, jak daleko chciał się posunąć... Widziałem, jak za tobą chodzi, widziałem jego obleśne SMSy.

- Kłamiesz.

Patrzyłeś mi w oczy.

- Jak dotąd mówię prawdę, nie?

Zrobiłam parę kroków do tyłu, aż poczułam za sobą ścianę. Oparłam się o nią. Po raz drugi wspomniałeś Josha i wcale mi się to nie podobało.

- Wiesz, że podobałaś mu się, to znaczy naprawdę się podobałaś. Powiedział Annie, jak bardzo cię chce.

- Za nim też chodziłeś?

- Chodziłem za wszystkimi. - Odwróciłeś się i zabrałeś do malowania. - Ale nigdy nie musiałaś się martwić Joshem. Tak naprawdę to nie. Rozwaliłbym mu głowę, zanimby rozpiął spodnie.

Pokręciłam głowę, moje myśli wirowały jak szalone. Żałowałam, że nie rozwaliłeś Joshowi głowy... wtedy ty byłbyś w więzieniu, on w szpitalu, a ja w domu. Idealnie. Osunęłam się po ścianie, usiłując to wszystko ogarnąć. Nadal chciałam wierzyć, że pieprzysz głupoty. Ale to wszystko, to, co wiedziałeś, pasowało. Zamknęłam oczy, próbując się od ciebie odgradzić raz na zawsze.

Potem coś mi przyszło do głowy. Zastanawiałam się, czy ktokolwiek podejrzewał Josha, kiedy zniknęłam. Mógł być oczywistym podejrzanym, chociaż wątpię, żeby sobie zadał tyle trudu co ty, żeby mnie ukraść. Może go przesłuchali, może policja pomyślała, że jest moim przyjacielem albo chłopakiem. Może go aresztowali. Zadrżałam; myśl o Joshu wydała mi się odrażająca, chociaż był tysiące kilometrów ode mnie... A już zwłaszcza myśl o tym, jak udaje zaniepokojonego przyjaciela.

- Gdzie mieszkałeś? - spytałam.

- Kelvin Grove.

- Mieszkałeś w schronisku?

Zerknąłeś na mnie.

- Może, przez jakiś czas.

- To blisko mieszkania Josha.

- „Wiem. - Nie patrzyłeś na mnie przy tych słowach, skupiałeś się na malowaniu. - Myślisz, że powinniśmy byli działać razem? - Zaśmiałeś się krótko. - Może ze mną miałby więcej szczęścia w polowaniu na ciebie.

- Śledziłeś go?

- Oczywiście.

- Rozmawiałeś z nim?

- Raz.

- I...?

Zesztywniałam mimo woli, niespokojna na myśl o tym, co mogłeś mu powiedzieć albo zrobić.

- Powiedziałem, że jestem twoim aniołem stróżem.

- Naprawdę z nim rozmawiałeś, twarzą w twarz? - Mój umysł pracował jak szalony, myślałam, że jeśli Josh cię widział, mógł cię opisać policji i to byłby jakiś ślad. Mogliby narysować, no, ten... portret pamięciowy i pokazać cię w telewizji. Znaleźliby cię jakoś. Znaleźliby nas.

Pomyślałam o Joshu trochę ostrożniej, usiłując go rozgryźć. Raczej był z niego tchórz, ale nie wydawało mi się, żeby był nieuczciwy. Nie chciałby stać się podejrzanym. Ale czy się zgłosi z tą informacją? Przynajmniej mógłby opisać twój wzrost, twój głos, cokolwiek. Wydawał się teraz moją jedyną nadzieją. Dziwne to było: myśleć o kimś, kogo nienawidziłam, jako o mojej jedynej nadziei.

- Znajdą mnie, wiesz? - powiedziałam. - W końcu mnie znajdą. Nie zatrzymasz mnie na zawsze.

Zmarszczyłeś delikatnie czoło i przestałeś malować.

- A może po prostu mnie wypuścisz? - ciągnęłam. - Może ci się to wszystko znudzi? - starając się mówić obojętnie, spróbowałam innej taktyki. - Wiesz, mogę ci załatwić pomoc albo pieniądze. Tata zna ludzi, dużo ludzi... lekarzy, prawników...

Nie dałeś mi skończyć. Zerwałeś się w gnieniu oka.

- Myślisz, że tego chcę? - Głos ci się załamał. Potem wycelowałeś we mnie pędzel. - Teraz ty zrób swoją rękę - oznajmiłeś twardo. To nie była prośba. Popchnąłeś w moją stronę talerzyk ziemistobrązowej farby. Widziałam na twojej szyi puls, jak napina ci się szczęka. - Pomaluj się. Teraz.

Leciutko pokręciłam głową.

- Nie - szepnęłam.

Przycisnąłeś pędzel do mojej skóry.

- Chcę, żebyś narysowała coś na swojej ręce. - Powoli, starannie wymawiałeś każde słowo. - Jak ja.

Kiedy się nie ruszyłam, pochyliłeś się do mnie i przykryłeś moją prawą dłoń swoją, z pędzlem między kciukiem a palcem wskazującym. Twój uścisk był szorstki i twardy.

Zgniotłeś moją rękę jak śmieć. Ścisnąłeś tak mocno, jakbym zamiast kości miała galaretkę. Położyłeś pędzel na grzbiecie mojej lewej dłoni. Na skórę spadła mi kropla zimnej wodnistej farby.

- Nie - powtórzyłam.

Wyrwałam ci rękę. Przewróciłam talerzyk z farbą. Połała ci się na stopę, przykrywając wyrysowane wzory.

- Ty mała...

Uniosłeś ramię i powstrzymałeś się przed powiedzeniem „wiedzmo”. Cofnęłam się, obserwując twoją pięść. Ale ty kopnąłeś przewrócone naczynie, które rozbiło się o ścianę. Twoje oczy opalizowały szaleństwem. Chciałeś mnie uderzyć. Lecz zamiast tego uśmiechnąłeś się. Albo w każdym razie próbowałeś. To było tak, jakby twoje oczy i uśmiech walczyły ze sobą. Wściekłość kontra samokontrola. Twoja zaciśnięta pięść drżała.

- Pojedziemy jutro na przejażdżkę? - Twój głos był śpiewny i fałszywie pogodny, ale spojrzenie miałeś twarde. - Może nauczysz się, jak to wszystko doceniać? Jeśli będziemy mieli szczęście, może złapiemy wielbłąda.

Nie czekałeś na odpowiedź. Zamiast tego zostawiłeś mnie w tej stodole samą, z rozlaną farbą dookoła. Siedziałam tam, w morzu brązu, dygocąc. Minęło dużo czasu, zanim poszłam za tobą do domu.

Jest coś, co mordercy zawsze robią w horrorach - zabierają swoje ofiary na długą przejażdżkę w jakieś piękne miejsce, zanim je metodycznie porąbią na kawałeczki. Tak jest we wszystkich znanych mi filmach, a przynajmniej w tych z mordercami pośrodku pustkowia. Kiedy obudziłeś mnie tego ranka, nazajutrz po dniu, w którym omał mnie nie uderzyłeś, pomyślałam o tym.

- Jedziemy na wycieczkę - powiedziałeś. - Złapać wielbłąda.

Było bardzo wcześnie. Poznawałam po białoróżowym świetle i chłodzie w powietrzu. Ubrałam się i włożyłam nóż do kieszeni szortów. Słyszałam, jak się ruszasz i hałasujesz po domu. Potem wyszedłeś na dwór i uruchomiłeś samochód. Otaczałeś mnie dźwiękami. Nie byłam do tego przyzwyczajona. Nie śpieszyłam się. Wiedziałam dwie rzeczy. Z jednej strony taka przejażdżka mogła oznaczać większe szanse na ucieczkę. Z drugiej - wskazywać, że nigdy nie wrócę.

Ładowałeś samochód, pakowałeś do niego kolejne pudła jedzenia i wyposażenia. Nie chciałam, żeby ci znowu odbiło, jak poprzedniej nocy. Zagadywałam cię.

- Dokąd jedziesz? - spytałam.

- W sam środek niczego.

- Myślałam, że to tu.

- Nie. - Pokręciłeś głową. - To jest tylko brzeg. - Patrzyłam, jak zwijasz linę w ciasny krąg i kładziesz ją na przenośnej lodowce. Sięgnąłeś po kolejną i też zacząłeś ją zwijać. - Nie zamierzam cię tu zostawiać.

Wstawiłeś do bagażnika trzy wielkie pojemniki z wodą, dyszałeś, kiedy je podnosiłeś.

- Na jak długo jedziemy?

- Jeden dzień, ale tam nigdy nic nie wiadomo... może być burza piaskowa, ogień, cokolwiek. - Poklepałeś ostatni pojemnik. - Tak czy inaczej, wielbłąd będzie potrzebował wody.

- Myślałam, że wodę noszą w garbach.

Pokręciłeś głową.

- Tłuszcz.

- Co?

- Noszą tam tłuszcz... zapasy siły. Potrzebują wody jak każde inne zwierzę.

Próbowałeś włożyć do bagażnika wiadro, ale nie zmieściło się. Wyobraziłam sobie siebie, jak leżę pod tym wszystkim, poskręcana, rozplaszczona, uduszona. Zadrzałam trochę. Wyrzuciłeś z samochodu; nie spuszczałeś ze mnie oka.

- Tym razem możesz siedzieć z przodu! - zawołałeś.

Otworzyłam drzwi, ale nie wsiadłam. W środku był zapach kurzu - brudu, braku życia. Delikatny czerwony pył pokrywał wszystko. Wyglądało to, jakby samochód nie był używany od pięćdziesięciu lat. To mnie przeraziło, zaczęłam się zastanawiać, czy nie byłam z tobą w tym domu dużo dłużej, niż mi się wydawało. Kurz osiadł nawet na pogniecionych papierkach po czekoladzie, porzucanych na podłodze. Będę go miała na szortach, kiedy wysiądę... o ile wysiądę.

Kluczyków nie było w stacyjce. Zastanawiałam się, czy są schowane gdzie indziej w samochodzie, pokryte taką warstwą kurzu, że ich nie widać. Sięgnęłam do środka i przesuwałam różne rzeczy z niejasną nadzieją, że je znajdę. Przekręciłam lusterko tak, żeby cię widzieć. Poruszałeś się szybko, ładowałeś różne rzeczy do bagażnika, wyjmowałeś i pakowałeś z powrotem, na lepsze miejsce. Słyszałam, jak mruczysz coś bez wyraźnej melodii. Byłeś zadowolony, wręcz podekscytowany.

Kiedy skończyłeś, podszedłeś do mnie. Z uśmiechem, który tworzył ci zmarszczki w kącikach oczu, wyglądałeś trochę tak jak na lotnisku przed trzema tygodniami - niemal przystojnie. Musiałam się odwrócić i spojrzeć na ziemię. Aż mi się w tej chwili zrobiło niedobrze, że tak o tobie myślałam.

- Nie chcę jechać - powiedziałam.

- Dlaczego nie? Myślałem, że chcesz się znaleźć gdzieś indziej.

- Nie z tobą. Nie z tym całym towarem z samochodu.

Oparłeś się o maskę.

- Cóż, jeśli wolisz, możemy iść piechotą, ale to potrwa tygodnie. Musielibyśmy przeżyć na tym, co znajdziemy - to znaczy jeść jaszczurki i wydobywać wodę z żab. Jesteś na to gotowa?

Pokręciłam głową, żadnych szans na ucieczkę w tym przypadku. Poza tym sama myśl o wędrowaniu z tobą po tej pustce była gorsza od bycia z tobą koło domu. Pamiętałam, czego nas uczyli na obozie: jeśli się zgubisz, zostań na miejscu, ktoś cię w końcu odnajdzie. Może jednak szanse na ucieczkę były większe tu, gdzie byłam?

- Myślałem, że chciałaś złapać wielbłąda - spróbowałaś znowu.

- Nie.

- Ja chcę.

- No to sobie jedź.

- Wiesz co, chcę mieć tę twoją śliczną buzię na widoku. No chodź. - Roześmiałaś się.

Nie ruszyłam się z miejsca. Westchnąłeś i postukałeś w bok samochodu, usiłując mnie rozgryźć.

- Chyba już się nie boisz, że coś ci zrobię, co?

Milczałam, dalej wpatrując się w piasek. Obszedłeś auto i stanąłeś obok mnie.

- Słuchaj, wydawało mi się, że już rozumiałaś... Nie zamierzam ci nic robić, nie w ten sposób. - Przykucnąłeś, tak że patrzyłeś na mnie z dołu. - Cokolwiek sobie o mnie myślisz, twoje ciało, no, jest twoje... twoja decyzja, co z tym zrobić.

- Nie pozwoliłeś mi się zabić.

- To co innego. Wtedy nie myślałaś jasno.

- Bo dałeś mi prochy!

- Gem, musiałem. - Zmarszczyłeś czoło, patrząc pod słońce. - Słuchaj, przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy, że to wszystko będzie takie trudne.

Marszczyłeś brwi, spoglądając na horyzont. Chciałam zapytać, co rozumiesz przez „to wszystko”. Chciałam zapytać, czy ci się zdawało, że porwanie mnie to będzie bułka z masłem. Ale ty odwróciłeś się szybko i wpatrywałeś się we mnie.

- Obiecuję, że nic ci nie zrobię.

- Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

- Chyba musisz mi zaufać. Teraz jesteś ze mną, więc za bardzo nie masz wyjścia.



Unikałam twojego wzroku.

- Nic nie muszę - szepnęłam.

- Wiem - odparłeś szorstko. - Ale czasami mogłabyś chcieć. - Wziąłeś garść piasku. - Zwłaszcza jeśli to będzie coś fajnego. - Otworzyłeś dłoń i pokazałeś mi, co w niej masz. - Słuchaj, przysięgam na to, że cię nie skrzywdzę. Może być?

- Co to za przysięga, na garść piachu?

- Ten piasek jest starszy i prawdziwszy niż wszystko... to musi być najlepsze, na co można przysiąc.

Prychnęłam.

- Jest prawdziwszy niż my - powiedziałeś cicho. Wyrzuciłeś go i otrzepałeś dłonie o siebie. Potem przycisnąłeś je do ziemi i wstałeś. - Chodź - powtórzyłeś. - Znajdźmy wielbłąda. - Podciągnąłeś koszulkę i otarłeś kurz z czoła. Natychmiast zrobiła się czerwona.

- Podjedziesz blisko jakiegoś miasteczka?

- Nie bliżej, niż mamy teraz.

Machnęłam ręką na muchę bzyczącą mi koło twarzy.

- Ale podjadę blisko innych rzeczy. - Oparłeś się o samochód. - Lepszych.

Kolejna mucha łąziła mi po kolanie, zaswędziało mnie.

- Nic mi nie zrobisz? - upewniłam się.

- Spoko. Obiecuję.

Otworzyłeś drzwiczki wozu. Uśmiechnąłeś się w podziękowaniu, kiedy wsiadłam. Zamknąłeś je za mną. Zakręciło mi się w głowie. Korbą opuściłam szybę i natychmiast poleciała na mnie kupka kurzu. Wsiadłeś i otworzyłeś swoje okno. Odsunęłam się od ciebie najdalej, jak było to możliwe bez wyskakiwania.

- Pewnie mam zapiąć pas? Czy wolisz przywiązać mnie do siedzenia?

Wzruszyłeś ramionami.

- Cokolwiek. Jak chcesz, to mam liny w bagażniku, całkiem dużo.

Wtedy roześmiałeś się naprawdę. Nie był to dźwięk, który wydawałeś często, i nie pasował do ciebie. Był zbyt beztroski. Może jego dzikość ciebie też zaszokowała, bo długo nie potrwał. Szybko zamknąłeś usta i zapatrzyłeś się przez szybę.

Włączyłeś silnik i odjechaliśmy od domu, zostawiając ślady na piasku. Czułam, jak poca mi się wnętrza dłoni i kark. Oparłam głowę o drzwi i wdychałam wiatr. Moje usta wypełniły się pyłem.

Teren był nierówny, więc strasznie rzucało. Nie jechałeś szybko - po tym grząskim terenie pełnym krzaczków to chyba nawet nie było możliwe. Koła kręciły się na próżno w

bardziej piaszczystych częściach, a ty mocno wciskałeś gaz, żeby się wydostać. Parę razy zatrzymywałeś się, żeby wyciągnąć trawę z chłodnicy. Szybko zaczęła mnie boleć głowa. Miałam piach w oczach i uszach. W ustach zrobiła mi się niewielka pustynia. Sięgnęłam do radia.

- Nie działa - oznajmiłeś natychmiast.

I tak je włączyłam. Wydobyło się z niego tylko słabe syczenie.

- Mówiłem. Ale możemy śpiewać. Umiesz? - Patrzyłeś na mnie ze szczerym zainteresowaniem.

- W siódmej klasie byłam pół roku w chórze. Nie wiedziałeś o tym?

Wzruszyłeś ramionami.

- Nie byłem tam całe twoje życie. Musiałem zarabiać kasę. Czasami byłem tutaj, szykowałem wszystko.

Machnąłeś ręką w stronę grupki budynków, które znikaly za nami w chmurze wzbitego piasku.

- Naprawdę to wszystko zbudowałeś?

- Jasne - odpowiedziałeś z dumą.

- Nie wierzę ci. Coś tu już musiało być.

- Nie. - Zmarszczyłeś czoło. - Wszystko sam zbudowałem.

Nie mogłam powstrzymać pogardliwego spojrzenia.

- No, okej, może tu była stara farma, czy coś... Ja zrobiłem resztę.

- Jak?

- Powoli.

- A materiały jak zdobyłeś?

Uśmiechnąłeś się tajemniczo.

- Szybko.

- Powiedz.

Wzruszyłeś ramionami.

- Kiedy indziej.

Znów wpatrzyłeś się w dal, rozglądałeś się po całkiem pustej okolicy.

- Wiesz, jak długo tu jestem? - spytałam.

- Mam jakieś względne pojęcie.

Samochód znowu zwolnił, kiedy najechał na kolejną łąkę piasku. Uderzyłam tyłem głowy o oparcie, nagle sfrustrowana tym wszystkim.

- Myślę, że to mój dwudziesty pierwszy dzień, ale nie jestem pewna... - Szybko ugryzłam się w język, patrząc na twój szeroki uśmiech, natychmiast żałując, że to w ogóle powiedziałam.

- No to powinniśmy to uczcić! - wykrzyknąłeś.

Przełknęłam ślinę, kuląc się.

- O co ci chodzi?

Pojazd przedostał się na bardziej kamieniste podłoże. Kiedy poczułam zmianę terenu, wcisnęłam gaz i gwałtownie obróciłam kierownicę. Tył samochodu natychmiast skręcił, silnik jęknął, koła ledwie trzymały się podłoża. Roześmiałaś się, kiedy rzuciło mnie na twoje ramię. Zobaczyłam, jak piasek i spinifeksy rozmazują się za szybą. Gorączkowo próbowałam za coś złapać.

- Ohooo! - wrzasnąłeś.

Kiedy samochód znowu rzuciło na piasku, skręciłam kierownicę w drugą stronę. Tym razem poleciałam na drzwi. Wysunęłam rękę przez otwarte okno i próbowałam się trzymać. Chmury piasku leciały mi w twarz, a ja słyszałam, jak wciąż się śmiejesz. Szarpnęłam za ręczny i zatrzymaliśmy się gwałtownie. Oczy ci lśniły, kiedy oparłeś policzek o kierownicę.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknęłam.

- Bawię się? Świątuję? - Spojrzałeś na pustą krainę dookoła, szczerząc zęby w uśmiechu. - W końcu nikt nam nie zabroni, nie?

Ja też wyjrzałam i dostrzegłam ogromny ślad hamowania na ziemi za nami.

- To nie znaczy, że masz mnie zabić - odparłam i natychmiast pożałowałam tych słów. Kiedy znowu zerknęłam, byłeś zamyślony, a twoje oczy posmutniały.

- Chciałem tylko, żebyś miała trochę zabawy.

Prychnęłam.

- To trzeba mnie było zostawić w Anglii.

Gdy ruszyłeś, już nie tak ostro, patrzyłam, co robisz. Lewą stopą wcisnęłam sprzęgło i pociągnęłam dźwignię biegów w swoją stronę. Drugiej wajchy nie dotykałeś.

Wcisnąłeś gaz. Tata kiedyś próbował nauczyć mnie prowadzić na opuszczonej bocznicy za Sainsbury's, ale kiedy podrapałam mu mercedesa o żywopłot, nie wracał już do tego. Zauważyłeś, że się przyglądam.

- Chcesz się nauczyć?

Zaśmiałaś się i lekko pokręciłaś głową, nim znowu wcisnęłaś mocno lewą nogę. Moja głowa uderzyła o oparcie i wszędzie poleciał piach. Trochę wpadło przez okno na moje kolana. Kiedy przyspieszyłeś do czterdziestki, wrzasnąłeś, żebym szarpnęła ręczny. Znowu

miałeś ten szalony uśmiech, kiedy koła podskakiwały na piasku. Zaczęłam krzyknąć, żebyś przestał.

- No to zaciągnij ten ręczny!

Położyłam rękę na ręcznym i pociągnęłam. Samochód natychmiast skręcił w ostrym łuku. Jestem całkiem pewna, że przez sekundę czy dwie jechał na dwóch kołach. Rzuciło mnie na ciebie tak mocno, że nie mogłam się odsunąć. Twoje ciepłe ramię było przyciśnięte do mojego czoła, twoje ciało wibrowało śmiechem.

Jechaliśmy ponad dwie godziny. Rozglądałam się za śladami miasteczka, czegokolwiek. Cały ten czas nie było nawet drogi. Wydawało się szalone, że jedziemy tak długo i nadal jesteśmy nigdzie. Jasne, sceneria trochę się przez ten czas zmieniła - najpierw była kamienista, płaska i z krzaczkami, a teraz bardziej piaszczysta i czerwona. Zamiast sięgających kolan kęp spinifeksu były takie kolczaste czarne drzewka. Gdzieś tam pojawiała się też zielona plama eukaliptusa, a ostre skały przebijały krajobraz jak włócznie. Były też inne góry, wskazujące w niebo jak wystawione palce.

- Termitiery - powiedziałeś.

To w niczym nie przypominało Anglii. Kiedy ostatniego lata tata wiozł nas przez dwie godziny na zachód, wylądowaliśmy w Walii, innym kraju. Na tej pustyni dwie godziny były tylko jazdą dalej w ogień. Im dalej jechaliśmy, tym bardziej stawało się gorąco i czerwono i tym bardziej się bałam, że nigdy się stąd nie wydostanę.

Powoli się zatrzymałeś w pobliżu małej kępy drzew.

- Widzisz je? - spytałeś.

- Co?

- Rany! O, tam! - Wskazałeś palcem. - Popatrz, jak ruszają uszami, wtedy je zobaczysz.

Spojrzałam na drzewa. Nagle coś drgnęło. Ucho. Po chwili pojawiła się głowa i długi nos. Zobaczyłam wielkie brązowe oczy, przymknięte w upale.

- Kangury - powiedziałam.

Pokiwałeś głową i lekko się uśmiechnąłeś.

- Smaczne są.

- Co?

Wycelowałeś dwa palce, jak pistolet, i opierając ramię na kierownicy, zrobiłeś gest, jakbyś strzelał.

- Chcesz je zastrzelić?

- Jeden byłby niezły w moim gulaszu, nie uważasz?

Przełknęłam ślinę. Nie wiedziałam, że masz w samochodzie strzelbę. Przerazało mnie to. Przesunąłeś się trochę w moją stronę; pomyślałeś, że zdenerwowałam się tym, co powiedziałeś o kangurach.

- Okej - chciałeś mnie udobruchać. - Nie będę do nich strzelać. Mamy mnóstwo jedzenia.

Spojrzałam na wszystkie trzy. Najbliższy kangur wylizywał sobie sierść na przednich łapach.

- Chłodzi się - wyjaśniłeś. - Ma żyły płytko pod skórą, liże je, żeby obniżyć temperaturę ciała. Niezły sposób, nie?

Polizalesz grzbiet dłoni, jakbyś sam chciał tego spróbować, a potem skrzywiłeś się, czując smak. Uśmiechnąłeś się półgębkiem. Akurat w tej chwili jeden z kangurów sięgnął, by odgryźć nisko wiszący liść.

- Nie chce im się pić? - spytałam, zdając sobie sprawę z suchości we własnym gardle. Pokręciłeś głową.

- Kangury nie potrzebują wody, w każdym razie niewiele; wilgoć czerpią z drzew.

Uśmiechałeś się, patrząc na nie, z miną, którą już rozpoznawałam. Wyglądało, jakbyś czegoś chciał, potrzebował, od kangurów też.

- Na razie, moje kochane - pozdrowiłeś je, odjeżdżając ostrożnie.

Jechaliśmy, nie rozmawiając. Zerkaliśmy na ciebie co jakiś czas. Nieustannie badałeś okolice, nigdy nie zadowalałeś się obserwowaniem piasku przed samą maską.

- Skąd wiesz, gdzie jechać? - spytałam.

- Patrzę, w którą stronę wiatr zwiewa piasek, szukam znaków.

- Wiesz, jak wrócić?

Z roztargnieniem skinąłeś głową.

- Jasne.

- Skąd?

- Ta ziemia ma swoje opowieści, śpiewa.

- Wolałabym radio.

- Nie, Gem, mówię poważnie. Tu są pieśni, pierwotni je znają, ja znam niektóre... są jak mapy, pomagają ci znaleźć drogę. Śpiewasz je, a one pokazują ci znaki. Tu jest cicha muzyka, muzyka ziemi.

Ignorowałam cię, zagapiona w horyzont. Nie odezwałeś się więcej. Mogłeś myśleć o śpiewie ziemi albo równie dobrze o czymś znacznie groźniejszym. Twoja twarz niczego nie zdradzała.

Nigdy przedtem nie wyobrażałam sobie, o czym myślą porywacze. No bo czy ktoś się nad tym zastanawia? Myślałeś o swojej rodzinie? O miejscach, które zostawiłeś za sobą? Co właściwie myślałeś o mnie?

Kiedy sobie wyobraziłam to ostatnie, ścisnął mi się żołądek. Im dalej jechaliśmy i im dłużej rozważałam, o czym mogłeś myśleć ty, tym bardziej byłam spięta. Gdybyś mnie zabił teraz, pośrodku niczego, nikt by się nie dowiedział. Nikt nie szukałby ciała w tej nieskończonej pustce. To by było, jak próbować znaleźć konkretne ziarnko piasku na pustyni.

Z poślizgiem zatrzymałeś samochód.

- Wielbłądy - oznajmiłeś. Wskazałeś na coś, co bardziej przypominało brud na szybie niż stadko wielkich zwierząt. Uniosłam rękę, żeby osłonić oczy. Sięgnąłeś przede mną do schowka i położyłeś mi na kolanach lornetkę. - Zobaczysz lepiej.

Podniosłam ją do oczu.

- Rozmazane.

Wyciągnąłeś rękę i poruszyłeś pokrętle na wierzchu. Byłeś za blisko, żebym mogła się odsunąć. Czulałam lekki zapach twojego potu.

- Sama to mogę zrobić. - Szarpnęłam lornetkę i wyostrzyłam obraz.

Pięć wielbłądów, cztery duże i jeden trochę mniejszy, szło powoli przez horyzont. Kiedy powietrze drżało za nimi z gorąca, wyglądały jak poruszające się strumienie piasku, falujące na wietrze.

- Nie wierzyłam ci, kiedy mówiłeś, że tu są wielbłądy.

- Są dzikie - odparłeś. - Import, jak ty. Były tu przywiezione do budowania kolei.

- Kolei?

- Tak, daleko stąd. - Pokiwałeś głową. - I tak za często nie jeździ. Tu już nic za bardzo nie działa.

- Dlaczego nie?

- Wszystko zniknęło. Kamienie wydobyte, zwierzęta wymarłe, nawet pierwotni odeszli. Dlatego wszędzie jest cicho, za cicho. Nie słyszysz?

- Czego?

Zgasił silnik.

- Ciszy.

Osłoniłeś oczy i obserwowałeś wielbłądy.

- Przecież chciałeś któregoś złapać.

- Są za daleko, żeby je gonić. Biegają całkiem szybko, wiesz? Miejmy nadzieję, że będą zaciekawione i podejda do nas. Inaczej będziemy potrzebować twardszego piasku, żeby móc nabrać prędkości i dogonić je. Musimy zaczekać i zobaczyć, co zrobią.

- Jak długo?

Wzruszyłeś ramionami.

- Jak długo będzie trzeba. Może parę godzin. - Otworzyłeś swoje drzwi. - Głodna?

Pokręciłam głową, jedzenie było ostatnią rzeczą, o jakiej teraz myślałam.

- To przygotuję liny.

Wysiadłeś i podszedłeś do bagażnika. Pogrzebałeś tam. Odwróciłam się na siedzeniu i patrzyłam, jak wyciągasz zwój liny. Zesztywniałam, wyobrażając sobie ją owiniętą wokół mojego ciała.

Kluczyki nadal były w stacyjce.

Mogłam to zrobić. Mogłam się do nich dostać, jeśli będę dość cicho. Mogłam prześlizgnąć się nad hamulcem ręcznym i na siedzenie kierowcy - bez trudu. A potem mogłam odjechać, zanim zdołałbyś mnie powstrzymać, nawet zanimbyś zauważył. Prowadzenie nie mogło być aż tak trudne. Już to robiłam, wiedziałam, jak się zmienia biegi. Mogłam cię tam zostawić, może nawet po drodze przejechać.

Obserwowałam cię w lusterku. Miałeś opuszczoną głowę, rękami przesuwałeś różne rzeczy w bagażniku. Przesunęłam nogę, tak że moje kolano leżało na siedzeniu, obok hamulca ręcznego. Wystarczyło wyciągnąć nogę na stronę kierowcy, a potem przenieść resztę ciała. Przełożyłam nogę nad hamulcem. Powoli, powoli, centymetr za centymetrem, zaczęłam przesuwać się na twoje siedzenie. Nie wydałam ani jednego dźwięku, fotel nawet nie skrzypnął. Słyszałam tylko bicie własnego serca. Opuściłam się na twoje siedzenie. Położyłam ręce na kierownicy. Ale nawet kiedy wyciągnęłam nogi, nie sięgałam stopami do pedałów. Przesunęłam się do przodu, na sam brzeg fotela. Położyłam rękę na kluczykach. Cisza. Wtedy sobie uświadomiłam, że od jakiegoś czasu nic nie słyszę. Zerknęłam do lusterka.

Coś się poruszyło po prawej. Straciłam oddech, kiedy dotarło do mnie, co to było. Na krawędzi opuszczonej szyby po twojej stronie leżała srebrzysta głowa, o jakąś szerokość dłoni ode mnie. A może i mniej. Bursztynowe oczy patrzyły na mnie, język wyłaniał się i znikał. Wąchał powietrze, wąchał mnie.

Zdjęłam rękę z kluczyków i odsunęłam się w fotelu najdalej jak mogłam. Wąz się zatrzymał. Odwrócił głowę bokiem. Miał zamiar mnie zaatakować. Nie mogłam na to patrzeć. Szybko przelazłam z powrotem na siedzenie pasażera. Ale stopa mi się zaczepiła. Padłam na

swój fotel, mocno uderzając głową i ramionami o drzwi. Sprawdziłam. Nic nie bolało. Dostał mnie, a ja nie zauważyłam? Jego srebrzystobrazowa głowa nadal tam tkwiła, obserwował mnie, leżąc na krawędzi okna.

Wtedy zobaczyłam twoje ręce. Też były na szybie, trzymały węża tuż za głową. Twoja twarz także się pokazała, centymetry od gada.

- Ładny, co? Znalazłem przy kołach. Omal go nie przejechaliśmy... na szczęście nie.

Nie wiem, czy dostrzegłeś przerażenie, nadal tkwiące w moich oczach. Albo czy wiedziałeś, że siedziałam na fotelu kierowcy, usiłując uciec. Jak podejrzewałam, to była taka twoja chora kara dla mnie.

- Jest nieszkodliwy - powiedziałaś. - W zasadzie. Jeśli go się boisz... To chyba jedyny nieszkodliwy tutaj.

- Po co go złapałeś?

- Żeby ci pokazać.

- Przestraszyć mnie?

- Nie. - Z sympatią spojrzaleś na zwierzę. - Myślałem, że moglibyśmy go zabrać do domu. Zatrzymać. Mogłabyś go jakoś nazwać.

- Nigdzie nie jadę z tym gadem w samochodzie - oznajmiłam bez tchu, urywanymi słowami.

- No to przyczepimy go do wielbłąda. - Wyszczrzyłeś się. Zabrałeś węża. Znowu słyszałam, jak szcękasz czymś w bagażniku. Miałam nadzieję, że nie wsadzysz tam tego stwora. Musiałam wciąż przelykać ślinę, żeby nie pozwolić wymiotom podejść do gardła. Wzięłam trzy głębokie oddechy, najgłębsze, na jakie mnie było stać z wściekle bijącym sercem. Zamknęłam mocno oczy i wyobraziłam sobie, że jestem w domu i siedzę w naszym schowku na pościel. Kiedy usłyszałam, jak wsiadasz z powrotem, nie otworzyłam ich.

- Przepraszam, jeśli się wystraszyłaś - powiedziałeś cicho. - Chciałem ci go tylko pokazać. Zapomniałem, że jeszcze nie lubisz węży. - Uruchomiłeś silnik. - Jedziemy, spróbuję ci to wynagrodzić.

Potem ruszyłeś. Nie odzywałeś się do mnie przez jakiś czas. Moje ciało się kołysało, a głowę wciskałam w oparcie, tymczasem silnik wył z wysiłku.

Po dalszej ostrej jeździe zatrzymałeś samochód. Słyszałam, jak twoje drzwi się zatrząskują i jak otwiera się bagażnik. Kiedy w końcu podniosłam powieki, widziałam tylko niebo - jaskrawoniebieskie bezchmurne niebo, po którym krążył wielki ptak. Wyprostowałam się.



Zaparkowaliśmy gdzieś wysoko. Z samochodu widziałam pustynię, rozciągającą się przede mną jak mapa, niekończąca się połać brązu, pomarańczowego i płaskości. Gdzieś tam były niewielkie plamki zieleni - spinifex - i grudki rudawych brązów - skały - oraz długie, ciemne węże wyschniętych koryt rzek.

Dookoła samochodu widać było drzewa z czerwoczarnymi pniami, po których łążyły mrówki. Słyszałam też ptaki gdzieś nad sobą - małe, rozświergotane, jak dzieci na szkolnej wycieczce. Tutaj też były skały z wzorami na powierzchni i maleńkimi kwiatkami w rozpadlinach. Lekki wietrzyk poruszał ich płatkami. W tej jałowej okolicy to było coś w rodzaju oazy.

Urządziłeś piknik po lewej stronie auta, pod jednym z większych drzew. Siedziałeś na brzegu wypłowiałego koca w szkocką kratę, krojąc jakiś owoc. Nasiona zaczęły wypływać, kiedy nóż wbił się w skórę. Muchy siadały na kanapkach, które zrobiłeś wcześniej. Nie zgoniłeś ich. Była butelka wina musującego. Kiedy tak sobie stała na piasku, wydawała się tak bardzo nie pasować, że aż nie mogłam oderwać od niej wzroku. Wsiadłam z dusznego pojazdu, przyciągana głównie obietnicą wietrzyka. Nalałeś mi szklankę, a potem sobie - mniejszą.

- Dobrze, że to zabrałem.

- Dlaczego?

- Twój dwudziesty pierwszy dzień! To jubileusz. Też tak musisz myśleć, inaczej byś tego nie powiedziała.

Znowu pożałowałam, że nie zachowałam tej informacji dla siebie. Spojrzałam na trzymaną w dłoni szklankę.

- Dodałeś do tego jakichś prochów?

Wypiłeś zawartość swojego naczynia jednym pełnym rozdrażnienia haustem.

- Nie zrobię tego więcej, mówiłem ci.

Potrząsnęłam lekko szklanką, przyglądając się jej. Trochę płynu przelało się i skapnęło mi na rękę. Był ciepły. W domu rodzice chowali alkohol w zamykanej szklanej szafce, ja zalewałam się z przyjaciółmi w parku cudzą wodą. Ale tutaj nie chciałam. Wylałam płyn na piasek. Od razu nalałeś nam obojgu jeszcze raz.

Podał mi kanapkę. Chleb był twardy jak skała, a plaster pomidora w środku wyglądał, jakby się rozpuścił. Zobaczyłeś moją minę i wzruszyłeś ramionami.

- Nic lepszego nie mamy.

- Usiłujesz zrobić na mnie wrażenie, ale to nie działa.

- Wiem - odparłeś. - Zapomniałem truskawek.

Zdjąłeś koszulkę i otarłeś czoło. Potem wychyliłeś drugą szklankę i położyłeś się z głową na złożonym Tshircie, patrząc w gałęzie. Coś na drzewie potrząsało liśćmi, marszczyłeś brwi, usiłując to rozgryźć. Na piersi formowały ci się kropelki potu, osiadając we wgłębieniach mięśni. Upiłam ze swojej szklanki maleńki łyk. Smakowało jak gorąca, musująca herbata. Wzięłam bluzę, w którą wcześniej byłam ubrana, i położyłam ją sobie na głowie. Słońce świeciło mocno przez gałęzie, cała okolica była od tego jakaś taka leniwa.

- Słuchaj - powiedziałaś.

- Czego? Tutaj nic nie ma.

- Jest. Może nie galerie handlowe i samochody, ale inne rzeczy... bzyżące owady, biegające mrówki, lekki wiatr, od którego skrzypi drzewo, tam na górze skacze miodojad, podchodzą wielbłądy.

- Co?

Ruchem głowy wskazałeś teren poniżej nas, z lekkim, pełnym wyższości uśmieszkiem.

- Idź, zobacz.

Wstałam i popatrzyłam w dół na płaski teren. Faktycznie, była tam grupka rozmazanych, czarnych plamek, teraz większych, kiedy poruszały się w stronę niewielkiego pagórka. Nie potrzebowałam już lornetki, żeby zobaczyć, że to wielbłądy.

- Nie słyszałeś ich... na to byś musiał mieć słuch Supermana - prychnęłam.

- A kto powiedział, że nie jestem Supermanem? - Patrzyłeś na mnie pod słońce, z jednym okiem zamkniętym. Wzruszyłam ramionami.

- Gdybyś był Supermanem, już byś mnie uratował - wymamrotałam.

- A kto powiedział, że cię nie uratowałem?

- Każdy by powiedział, że nie.

- No to każdy źle myśli. - Podniosłeś się trochę i oparłeś na łokciach. - A zresztą nie mogę cię i uratować, i ukraść. To by znaczyło rozdwojenie osobowości.

- A nie masz go? - mruknęłam.

Jadłam bułkę i wmusiłam w siebie jeszcze trochę musującego wina. Kiedy znowu zamknąłeś oczy przed promieniami słońca, nie miałam na co patrzeć, więc zerknęłam szybko na twój tors, tak z ciekawości.

Widywałam takie tylko w pismach. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zarobiłeś tych wszystkich pieniędzy jako... model. Popatrzyłam na swój brzuch. Złapałam się za skórę, żeby sprawdzić, ile tłuszczu obejmę.

- Nie martw się - powiedziałaś, otwierając znowu jedno oko jak krokodyl i obserwując mnie. - Jesteś piękna. - Odchyliłaś głowę. - Piękna - mruknęłaś. - Idealna.

- Ty się nie odzywaj. Jesteś zbudowany jak jakiś model. - Zagryzłam wargę, natychmiast żałując, że powiedziałam ci taki komplement. - Albo striptizer - dodałam. - Zigolak.

- Nie chciałbym, żebyś uważała mnie za odrażającego - odparłeś z półuśmiechem.

- Za późno.

Otworzyłeś drugie oko i spojrzałeś na mnie spod zmrużonych powiek.

- Opuścisz mi kiedyś?

- Jeśli dasz mi kluczyki do samochodu, natychmiast uznam cię za supergościa.

- Mowy nie ma. - Znowu zamknęłaś oczy i położyłaś głowę na koszulce. - Tylko byś się zgubiła i umarła.

- Spróbuj.

- Może w przyszłym tygodniu.

Leżałeś tam jeszcze parę leniwych minut. Wydawałeś się niemal pełen spokoju, z zamkniętymi oczami i lekko rozchyłonymi wargami. Paskudna mucha wylądowała ci na policzku, a potem przelazła na dolną wargę. Zatrzymała się w połowie drogi i umyła się twoją śliną.

Po chwili spakowałeś piknik i pojechaliśmy z powrotem z górki. W niektórych częściach zjechała samochód stawał niemal pionowo, parę razy trafiliśmy na kamienie, na których kierownica zawirowała. Kiedy zjeżdżaliśmy, pejzaż się zmniejszał, a potem dotarliśmy na dół, a ja prawie zupełnie zapomniałam o tym nieskończonym widoku z góry.

Zaparkowałeś w cieniu wzgórza. Było za gorąco, żeby czekać w samochodzie, więc kazałeś mi wyjść i stanąć w cieniu. W końcu wielbłądy przyszły. Przez kilka minut patrzyliśmy, jak powoli przemieszczają się w naszą stronę, potem przyśpieszyły; ich sylwetki stawały się coraz większe, w miarę jak się do nas zbliżały. Musiały iść szybko. Wycelowałeś w nie lornetkę.

Nagle odwróciłeś się i krzyknęłaś:

- Do samochodu! Zobaczyły nas. W każdej chwili mogą zawrócić.

Słychać było odległy tupot kopyt na twardym piasku.

- Chodź! - Przywołałeś mnie machnięciem ręki. - Szybko, bo cię zostawię.

To było kuszące. Ale chociaż udawałam, że tak nie jest, też byłam podekscytowana. Chciałam zobaczyć, jak zamierzasz złapać jedno z tych wielkich stworzeń. Ruszyłeś pędem, zerkając tylko, czy wsiadłam, nim jeszcze zdążyłam zamknąć drzwi.

- Usiądź i trzymaj się mocno!

Strzałka prędkościomierza poleciała w górę, kiedy pędziliśmy w stronę wielbłądów - auto jechało szybciej po twardszym piasku. W bagażniku wszystko się o siebie obijało. Miałam nadzieję, że tego węża tam nie ma, nie lata na wszystkie strony i nie może w każdej chwili na mnie spaść. Czułam, jak ślizgają się opony. Samochód ciągle zarzucało. Miałeś skupioną minę.

- To jest niebezpieczne! - krzyknęłam. Głową walnęłam w sufit, kiedy przeskoczyliśmy nad wydumą.

Obejrzałeś się w tył, gdy twoja lornetka poleciała na tylne siedzenie i uderzyła w drzwi.

- Może i nie!

Roześmiałeś się, kiedy wcisnąłeś pedał gazu do podłogi. Trzymałam się klamki, aż mi zeszywniały palce. Prędkościomierz utknął tuż ponad czterdziestką. Byliśmy już niemal równo z wielbłądami. Miałeś rację, zawróciły, zanim doszły do nas. Teraz pędziły w stronę horyzontu. Szyje miały wyciągnięte, głowy spuszczone, ich nogi robiły niemożliwie wielkie kroki. Nigdy przedtem nie widziałam dzikich wielbłądów. Przerazające było, jak górują nad naszym samochodem. Jeden dobrze wycelowany kopniak i silna noga zwierzęcia mogła wpaść prosto przez okno, dosięgnąć mnie.

- Weź kij! - wrzasnąłeś. - Szybko!

Odwrociłam się i sięgnęłam po długi kij z pętlą z liny na jednym końcu. Próbowałam ci go podać, ale w tak ciasnej przestrzeni to nie było łatwe. Zatrzymał się na drzwiach i nie mogłam go przeciągnąć przez przerwę między siedzeniami. Spojrzałeś na kij i znowu na wielbłądy, usiłowałeś jechać prosto i równo z nimi.

- No już!

- Staram się!

Wyciągnąłeś ramię i szarpnąłeś go. Kiedy próbowałeś go do siebie przyciągnąć, uderzył cię w twarz. Samochodem zarzuciło niebezpiecznie, na prawo, w stronę wielbłądów. Wrzasnąłam.

Twoja ręka wystrzeliła w stronę mojego ramienia.

- Zamknij się! Przestraszysz je.

Przeciągnąłeś kij na swoje kolana i wysunąłeś go przez okno. Koniec z pętlą był wycelowany w stronę zwierząt. Patrzyłeś na nie uważnie. Pot lał ci się po twarzy.

- Biorę tę młodą samicę! - krzyknąłeś. - Tę najbliższą nas. Prowadź!

Zacząłeś się wychylać przez swoje okno.

- Co ty robisz?!

- Trzymaj kierownicę! - wrzasnąłeś.

Nie dałeś mi wielkiego wyboru. Zniknąłeś, wychylając się niebezpiecznie z samochodu, który zaczęło znosić w kierunku wielbłądów. Jeśli tak będzie dalej, pewnie walnie któregoś w zad. Miałam ochotę na to pozwolić.

- Prowadź!

Sięgnęłam. Słyszałam, jak wielbłądy stękają z wysiłku. Słyszałam też twój ciężki oddech. Złapałam kierownicę. Była gorąca i lepka od uścisku twoich rąk. Twoja lewa stopa przesunęła się na gaz, nie była już przy hamulcu. Twoja prawa noga opierała się o drzwi. Nie miałam jak zatrzymać samochodu, gdyby okazało się to potrzebne.

- Jedź prosto!

Usiłowałam nie patrzeć ani na ciebie, ani na wielbłądy. Ile razy spojrzałam, znosiło mnie w ich stronę. Patrzyłam na piasek przed nami. Skręciłam, żeby ominąć krzak spinifeksu, przez co omal nie wyleciałeś przez okno.

- Jezu! Jeździsz gorzej niż ja! - Roześmiałeś się na wiatr.

Wychyliłeś się jeszcze bardziej. Wysunąłeś kij dalej, wyciągając umocowaną do niego linę. Twoje udo wciskało się w moje ramię. Chyba dzięki temu zachowywałeś równowagę.

- Kiedy będzie miała pętlę na szyi, uważaj. Lina poleci przez samochód. Pochyl się, jeśli będziesz mogła, bo cię przetnie na pół. Poważnie.

Popatrzyłam na swoje ciało, wyciągnięte przez siedzenie i nad dźwignią biegów, na moje ręce zaciśnięte na kierownicy i zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem mogłabym przed czymkolwiek się uchylić. Samochód szarpnął i zadygotał, kiedy wcisnąłeś gaz. Byłeś gotów, aby rzucić pętlę. Twoje ciało było napięte i skupione, noga mocniej naciskała na moje ramię.

Zmusiłam się, żeby jakoś oddychać. Twoje ramię było uniesione i gotowe do ataku. Wychyliłeś się mocniej, wyciągnięty do granic możliwości, z każdym mięśniem napiętym. Czy wypadłbyś, gdybym cię popchnęła? Wymachiwałeś kijem wokół głowy, nabierając rozpędu. Potem puściłeś.

Dostrzegłam w przelocie pętlę lecącą w stronę głowy wielbłąda, za nią linę. Drugi koniec liny przemknął przez samochód, obok moich ramion, przecinając mi skórę. Przejechał też po twoim nagim brzuchu, zostawiając głęboką, czerwoną szramę. A potem samochód z własnej woli zrobił nagły zwrot. Czułam, jak bagażnikiem zarzuca w lewo. Desperacko usiłowałam skrócić kierownicą w przeciwną stronę.

- Zostaw! - wrzasnąłeś. Opadłeś z powrotem na siedzenie kierowcy, prawie na mnie. Jedną ręką złapałeś kierownicę. Skręciłeś w stronę wielbłąda.

- Trzymaj się!

Twoja lewa stopa przestała wciskać gaz i przeskoczyła na hamulec. A potem pojazd naprawdę zakręcił. Widziałam, jak wielbłąd przemknął przed przednią szybą. Padłam na własny fotel, usiłując złapać się czegokolwiek, i zamknęłam oczy.

Błyskawicznie wyskoczyłeś z samochodu. Wielbłąd wydawał przeraźliwe dźwięki, głębokie, rozpaczliwe jęki. Odbijały się echem po pustyni. Wyszłam popatrzeć.

- Zraniłeś ją? - spytałam.

- Tylko jej dumę.

Długa szyja wielbłądzicy obracała się na wszystkie strony, oczy zwierzęcia były białe ze strachu. Sięgnęłam i dotknęłam sierści na jego udzie.

- Biedactwo.

Szybko owinąłeś linę wokół jego nóg. Następnie wyjąłeś z bagażnika wiadro i jeden z dużych pojemników z wodą. Postępując trochę, podniosłeś go i oparłeś sobie o nogę, a potem ostrożnie nalałeś wody do wiadra.

Usiłowałeś zachęcić wielbłąda do picia, mrużąc:

- Tak, spokojnie, mała.

Głaskałeś jej szyję, starając się ją uspokoić. Ale wielbłądzica tylko oglądała się do tyłu za swoim znikającym stadem. Jęczała i jęczała. Próbowwała ruszyć w ich stronę, lecz zaciskałeś linę wokół jej przednich nóg. Kopnęła tylną nogą, mijając mnie o centymetry.

- Ostrożnie - ostrzegłeś. Podskoczyłeś do mnie, owijając linę nad kolanem zwierzęcia.

- Idź na drugą stronę.

Przerzuciłeś linę przez jej garb.

- Pociągnij - rozkazałeś. Zrobiłam to. - Mocniej.

Pociągnęłam, nienawidząc każdej sekundy. Przy każdym naszym ruchu wielbłąd mruczał i bulgotał, i patrzył na mnie z przerażeniem. Ty też ciągnąłeś ze swojej strony. W końcu przednie nogi wielbłądzicy ugięły się i uklękła na piasku.

- Dostyc! - krzyknąłeś.

Rzuciłeś się na jej garb, całym ciężarem ciała. Napierałeś na nią, aż jej tylne nogi załamały się, a ty nabrałeś pewności, że już nie wstanie. Potem szybko owinąłeś linę wokół jej kolan, obwiązując je tak mocno, że nie mogła ich wyprostować.

- To okrutne - powiedziałam.

- A masz ochotę na krwotok do mózgu od kopnięcia w głowę? - Podrapałeś skórę nad jednym z kolan wielbłąda. - Uwierz mi, są na to okrutniejsze sposoby.

Uwierzyłam. Pewnie znałeś okrutniejsze sposoby robienia wszystkiego. Jęki wielbłąda były coraz głośniejsze i rozpaczliwsze. Wydawały się zbyt głośne, by mogły pochodzić tylko od niej, brzmiało to tak, jakby dołączyła do niej cała pustynia. Zastanawiałam się, czy ktoś jeszcze to słyszy. Reszta stada była już znowu tylko kropkami na horyzoncie, niemal niedostrzegalnymi. Samica nadal rzucała się całym ciałem w ich stronę.

- Zapomnij, że uciekniesz, mała - mruknąłeś.

Miała spętane nogi i była przywiązana do samochodu. Rzeczywiście było mało prawdopodobne, żeby mogła się wybrać dokądkolwiek. Ale ja tego żałowałam. Chciałabym, żeby zdołała zerwać liny i pogalopować za swoim stadem, cały czas głośno wołając.

- Zabrałabyś mnie ze sobą? - wyszeptalam w jej ciepły, dyszący bok.

Przesunęłam się, żebym mogła spojrzeć na jej pysk. Nawet tak przerażona miała piękne oczy. Ciemne i brązowe z rzęsami wyglądającymi na miękkie. Przestała oglądać się za stadem, żeby popatrzeć na mnie.

- Teraz ty też jesteś w pułapce - szepnęłam. - Nawet nie myśl o ucieczce. I tak cię dogoni.

Opuściła łeb. Patrzyła na mnie. Jakby rozumiała. Pokiwałam głową.

- Ty i ja. Ty i ja, kochana.

Kiedy przestała się ruszać, podszedłeś do niej. Wyciągnąłeś rękę, żeby złapać jej pysk. Miałeś coś w rodzaju uzdy. Jak tylko cię zobaczyła, uniosła głowę poza zasięg twoich ramion. Tym razem ryknęła. Dźwięk był potworny i gardłowy. Położyłeś dłoń na jej szyi, usiłując pochylić łeb zwierzęcia do dołu.

- Hej, mała - mruknąłeś. - Hej, ślicznotko. Proszę, nie rób tego.

Wielbłądzicy to się bardzo nie spodobało. Ryczała, bulgotała i szaleńczo machała głową. Ty wciąż ciągnąłeś ją do siebie, twoja siła pokonywała nawet wielbłąda. Przez chwilę znowu patrzyła na mnie, trzepocząc swoimi długimi, ślicznymi rzęsami. Potem odwróciła się w twoją stronę i zwymiotowała ci na głowę.

Wielbłądzie wymioty nie są podobne do niczego. To zielonkawobrazowa, grudkowata breja; śmierdzi jak psie gównno, razem wymieszane ścieki i siki. Gorszego smrodu na pewno w życiu nie czułam. Gorszy niż bąki taty. Gorszy niż niemowlęca kupa. Gorszy niż cokolwiek. A twoja głowa była tym świństwem pokryta. Patrzyłam na ciebie, wyplułeś trochę tego. Otarłeś policzek wierzchem dłoni. Palcami starłeś wymiociny z oczu. Potem się pochyliłeś i sam też zwymiotowałeś.

A ja zaraz po tobie. Jak tylko poczułam ten smród, straciłam kontrolę nad żołądkiem. Jestem beznadziejna, zawsze wymiotuję, jeśli ktoś inny to robi. Musiałam usiąść na piasku i

wcisnąć głowę między kolana, tak było źle. A słuchanie, jak ty wymiotujesz, nie pomagało. Wymiotowałam strasznie długo, dłużej niż ty. Gdzieś pośrodku tego wszystkiego wielbłądzica przestała jęczeć. Pewnie była z siebie całkiem zadowolona, na pewno się z nas śmiała. Nie miałam do niej pretensji. A może po prostu w tamtej chwili porzuciła wszelką nadzieję, zrozumiała, że jej stado odeszło na zawsze i że nie ma sensu dalej jęczeć.

Przekręciłam się i oparłam o drzewo. Wszędzie wisiał smród rzygowin. Muchy już się na nie rzuciły. Bzyczały niezmordowanie, rzucając się na wymiociny, a potem usiłując wylądować mi na twarzy. Upał jeszcze wszystko pogarszał, aż kręciło mi się w głowie. Popatrzyłam na piasek ciągnący się kilometrami, lecz ciężko było się na nim skupić.

Podróż powrotna była najgorsza w moim życiu. Nawet gorsza niż ta, kiedy byłam zamknięta w bagażniku, czego zresztą i tak nie pamiętam. Nawet przy wszystkich oknach otwartych odór nie znikał, wciskał się w każdy kąt samochodu ze swoją obrzydliwością. Kiedy wymioty wyschły na nas, cuchnęły jeszcze bardziej, jakby fetor stóp zmieszał się ze skwaśniałym mlekiem. I nie pomagało, że ten smród łączył się z zapachem rozgniecionych owoców z pikniku, teraz porozrzucanych po całym tylnym siedzeniu przez twoją szaloną jazdę. Głowy mieliśmy wychylone przez okna.

Wielbłądzica kłusowała obok pojazdu, teraz już posłuszna. Jakby w jakimś niewielkim stopniu odegrała się na nas i stała się przez to szczęśliwsza. Wymiotowałam jeszcze nie raz, po boku samochodu spływały cienkie, białe strużki soków żołądkowych.

Następnego dnia byłeś na dworze z wielbłądzicą, tresując ją w zagrodzie z desek i liny, którą musiałeś zrobić poprzedniego wieczora. Zbudowałeś ją tak, że łączyła się z drucianym ogrodzeniem wokół Samotnych.

Wysłałam z domu, żeby popatrzeć. Nałożyłeś jej na głowę kantar i prowadziłeś ją, ciągnąc za przywiązaną do niego linę. Wielbłądzica była spokojniejsza, niemal zrezygnowana. Głowę trzymała niżej i dała już sobie spokój z jęczeniem. Mówiłeś do niej cicho i łagodnie, słowami, których nie słyszałam ani nie rozumiałam. Wyglądało na to, że jej się to podoba.

- Jak chcesz ją nazwać? - zapytałeś, kiedy mnie zauważyłeś.

- Stolen1 - odparłam. To było pierwsze, co mi przyszło do głowy.

- Takie sobie imię.

- Ale tak jest, nie? Uprowadziłeś ją ze stada. - Było mi przykro, że miałam w tym swój udział.

- Nauczy się nas kochać - szepnąłeś. - Tak samo myślałaś o swoim kocie, kiedy go wybrałaś w schronisku...



- To co innego.

1Stolen [z ang.] - uprowadzona, skradziona.

Podszedłeś do mnie, ciągnąc za linę. Wielbłądzica pochyliła głowę, mogłam ją pogłaskać. Ty położyłeś jej rękę na brzuchu, zastanawiałeś się.

- Powinniśmy ją nazwać Rzygaczka - stwierdziłeś.

- To dopiero beznadziejne imię.

- Ale pasuje. Godzinami nie mogłem doczyścić karoserii. - Twoje oczy patrzyły łagodnie w moje, dłużej niż musiały. Podałeś mi linę. - Masz. Chcesz spróbować ją poprowadzić?

Ostrożnie weszłam do zagrody, biorąc linę w taki sposób, by cię nie dotykać. Poklepałam ją po boku, próbując uspokoić. W myślach powtarzałam kojące słowa, starałam się dać jej do zrozumienia, że nie zrobię jej krzywdy. Wznosiła się nade mną, same nogi i mięśnie. Nadal czuć było od niej słaby zapach wymiocin, zmieszany z czymś jeszcze... czymś jak piach i pustynia. Pachniała piaskiem.

- Idź prosto, a ona pójdzie za tobą.

Zrobiłam parę kroków, a ona za mną. Opuściła głowę i delikatnie powąchała moje ramię. Czulałam, jak miękkie i wargi dotykają mojego kołnierzyka, ciepły oddech ogrzewał mi kark. Kopyta stawały ciężko obok moich stóp.

- Jesteś śliczna - szepnęłam.

Dolna szczeka wielbłądzicy robiła kółka; żuła coś. Byłam zaskoczona jej delikatnością, gotowością poddania się. Nie było widać, że jeszcze wczoraj była dzika.

- Potem musimy nauczyć ją padać.

- Co?

- No, siadać. Idź z powrotem za siatkę.

Wziąłeś ode mnie linę, po czym popchnąłeś mnie lekko w stronę ogrodzenia. Przelazłam przez nie, a ty wcisnąłeś mi linę z powrotem do ręki.

- Trzymaj porządnie. Skoro nie jesteś w zagrodzie, nie powinna cię kopnąć.

Potem przywiązałeś drugą linę do jednej z przednich nóg zwierzęcia i przerzuciłeś przez jego garb.

- Musimy ciągnąć razem. Załapie, o co chodzi.

Jak tylko zaczęliśmy ciągnąć, wielbłądzica znowu zaczęła jęczeć. Pokręciłam głową.

- To mi się nie podoba.

- Wielbłądy robią dużo zamieszania. - Przesunąłeś ręką po jej szyi i znowu powiedziałeś coś do niej łagodnie. Jej ucho poruszyło się, żeby cię słyszeć. - Jak tylko zrozumie, czego chcemy, zrobi to. One takie już są.

Zastanawiałam się, czy to samo myślałeś o mnie.

Zaczęła mnie palić skóra głowy. Wróciłam na werandę i położyłam się na kanapie. Stamtąd obserwowałam cię z wielbłądzą, jak nakłaniasz ją, żeby usiadła i znowu wstała, raz za razem. Słońce było gorące, ale przez dach werandy nie grzało aż tak nieznośnie. Zaczynały mi się kleić oczy. A kiedy już na wpół zasnęłam, pojawiły się strzępy wspomnień: twarz Anny, kiedy pierwszy raz mi powiedziała, że chodzi z Benem, mama pojawiająca się w drzwiach z jedzeniem na wynos, Josh usiłujący się ze mną umówić.

Słyszałam twoje gwizdanie. Otworzyłam oczy i zmusiłam się, by usiąść. Szedłeś w moją stronę.

Z westchnieniem oparłeś się o słupek werandy. Policzki miałeś lekko zaczerwienione, kosmyki włosów przykleiły ci się do czoła. Wyjąłeś bibułki i skręciłeś sobie papierosa. Szybko polizaleś brzeg. Tego dnia się nie śpieszyłam, obserwowałam twoją twarz. Moje spojrzenie zatrzymało się na twoich wyraźnych kościach policzkowych i mocnej szczęce, niewielkiej bliźnie i długawych włosach.

- Już cię kiedyś widziałam, prawda? - spytałam. - Znaczy, jak miałam dziesięć lat.

Zaciągnąłeś się. W tamtej chwili miałam w głowie mnóstwo mglistych wspomnień: niejasne obrazy, jak widziałam cię w sąsiedztwie, gdzieś w parku, kiedyś... i jeszcze coś. Pamiętałam, że na lotnisku wyglądałeś tak jakoś znajomo.

- Dlaczego cię rozpoznaję?

- Mówiłem ci, że za tobą chodziłem.

- To obrzydliwe.

Wzruszyłeś ramionami.

Pochyliłam się.

- Ale ja cię poznaję. I to jest jeszcze gorsze. Dlaczego?

Uśmiechnąłeś się.

- Mieszkałem niedaleko.

- Tak, ale jest coś jeszcze... Kiedy cię zobaczyłam na lotnisku, wiedziałam... wiedziałam, że już cię gdzieś widziałam.

Aż mnie głowa rozbolała od tego myślenia. Otarłam pot z czoła i z kącików oczu. Odkleiłam udo od kanapy i przesunęłam je na chłodniejszą część. Twoje szerokie ramiona zasłaniały słońce, koszulka luźno zwisała ci z krzyża. Znowu się zaciągnąłeś.

- Spotkaliśmy się w parku, pamiętasz?

- Jak często tam bywałeś?

- Cały czas. Jak wiesz, pomieszkiwałem tam... Adres: Ogrody Rododendronowe 1. -  
Uśmiechnąłeś się. - Potem tam pracowałem.

- Pracowałeś?

- Tak, po tym, jak cię spotkałem i jak postanowiłem, że muszę się pozbiierać.  
Dostałem pracę w parku. Utrzymywanie porządku, kopanie. Widywałem cię tam ze  
znajomymi.

- Jak dawno temu?

- Może trzy lata, robiłem to parę lat... z przerwami. Podobało mi się tam.

Znów pomyślałam o parku. Pamiętałam, gdzie były drzewa i klomby, nawet gdzie  
dokładnie stały ławki... i gęściejsze krzaki, dobre do popalania po kryjomu. Czasami się  
zastanawiałam, czy nie znam tego parku lepiej niż własnego domu.

Ale ciebie nie było w tych wspomnieniach. A może jednak?

- Miałeś wtedy długie włosy?

Pokiwałeś głową i uśmiechnąłeś się lekko. I wtedy to wróciło: milczący, chudy  
chłopak, zawsze pracujący na uboczu, z włosami opadającymi na twarz, zawsze skupiony na  
swojej pracy przy klombach.

- To byłeś ty?

- Może, w jakimś momencie.

- Rozmawialiśmy o tobie. Anna mówiła, że jesteś przystojny.

Roześmiałeś się.

- A ty co jej odpowiadałaś? To ciebie obserwowałem.

Czułam ogień na policzkach. Nienawidzę tego, że zawsze tak łatwo się rumienię.  
Odkleiłam spodnią stronę kolan od kanapy i zgięłam nogi. Oparłam głowę na kolanach, byś  
nie widział mojej twarzy.

- To strasznie dziwne, że tak mnie obserwowałeś.

- Nie zawsze. Czasami to było dobre.

Rumieniec zniknął. Zamiast tego znowu miałam ten ciężar w żołądku - mdłości, które  
zawsze się pojawiały, kiedy myślałam o tym, co mi zrobiłeś. Chciałam wiedzieć, co widziałeś  
w parku przez te lata - na pewno narobiłam trochę głupot... ale jednocześnie wcale nie  
chciałam tego wiedzieć. A już na pewno nie zamierzałam o to pytać.

Pomyślałam więc ponownie o parku, o czasach, kiedy tam przychodziłam. Najpierw z  
rodzicami. Spacerowaliśmy prawie w każdą niedzielę, przez jakiś rok, przynajmniej kiedy

było ładnie. Mama z tatą czytali gazety na ławce, a ja bawiłam się w pobliżu. Mama przynosiła mi zabawki, ale ja wolałam łązić po rabatach, wymyślając opowieści o królestwie duszków. To miłe wspomnienie, jedno z najszcześniejszych, jakie mam o rodzicach. Mama nie wróciła jeszcze wtedy do pracy na pełny etat, a tata wydawał się jakoś bardziej zrelaksowany. W mojej głowie tworzyliśmy normalną, szczęśliwą rodzinę. To było miłe. To musiał być rok, kiedy spotkałam cię po raz pierwszy, tamtego lata.

Widziałeś to wszystko? Czy te szczęśliwe chwilki rodzinne były częścią tego, co cię do mnie przyciągnęło? Przyjrzałam ci się. Skubałeś obłuzowany gwóźdź w jednym ze słupków werandy, usiłując wyciągnąć go z drewna. Patrzyłam, jak szarpiesz nim na prawo i lewo, próbując go złapać. To wymagało skupienia. Przygarbiony, wyglądałeś na mniejszego niż w rzeczywistości. Odchyliłam głowę na oparcie i przeniosłam wzrok na niebo. Niebieskie, niebieskie niebo, tak nieskończone i puste. Ale tego dnia było na nim parę chmur, strzępy cukrowej waty na błękitach. Usiłowałam odnaleźć w nich twarze.

Ile razy leżałam w parku z Anną i robiłam to samo? Zawsze znajdowałyśmy Bena - on był taką dużą chmurą z falistym, jakby uśmiechniętym brzegiem. Anna raz twierdziła, że zobaczyła tam Josha, jak na mnie patrzy.

To właśnie wtedy zaczęłam szukać Josha. Nawet próbowałam z nim rozmawiać, żeby się przekonać, czy rzeczywiście jest taki zły, jak mi się zdawało. To go tylko zachęciło. Wtedy zaczął za mną łązić, kręcić się wokół naszej grupy. Annie to nie przeszkadzało, co było dziwne, bo każdy mógł dostrzec, że Josh ma obsesję na moim punkcie. Ale może ona chciała, żebym z nim była. Wtedy miałyby Bena tylko dla siebie.

Wzdrygnęłam się. Tam w górze, wśród chmur unosiła się myśl, którą nie chciałam się zajmować. Przeniosłam wzrok i spróbowałam zamiast tego skupić się na tobie. Ale myśl nie chciała odejść. Dość ciepły letni wieczór. Niemal dwa lata temu. Park. Tamta noc.

Wreszcie wcisnąłeś jeden palec pod gwóźdź i usiłowałeś go wyciągnąć.

Josh był w parku tamtej nocy, kręcił się na obrzeżach naszej grupki jak jakiś nietoperz. Krążył pomiędzy nami drink, mocny. Składkowy alkohol, wszystko zmieszane razem w dwulitrowej butelce. Anna się śmiała, a Ben ją obmacywał, przy nas. Słyszałam dźwięk rozpinanego zamka błyskawicznego. Słyszałam trzask gumy przy jej spodniach. Jay i Beth żartowali, że mogliby stracić dziewictwo od razu na miejscu, na naszych oczach, ale tak naprawdę to byliśmy zazdrośni. Wyłączyliśmy Annę i Bena z kolejki do butelki, a sami piliśmy dalej. Po chwili przestaliśmy rozmawiać. Potem Jay i Beth zniknęli w krzakach. A ja tam zostałam, siedząc obok swoich najlepszych przyjaciół, którzy niemal pieprzyli się przy mnie.

Ale Josh wciąż tam był, w cieniu, tuż obok. Wypiłam jeszcze trochę. Jak głupia miałam nadzieję, że Anna z Benem zaraz przestaną i będziemy mogli pójść razem do domu. Zerknęłam na nich. Anna spojrzała na mnie nad ramieniem Bena, a ja wiedziałam dokładnie, czego ode mnie chce. No to sobie poszłam. Potykając się, ruszyłam po ciemku przez park, w stronę wyjścia. Nie wiem, dokąd poszli Jay z Beth, nie widziałam ich. W powietrzu wisiał dziwny zapach, ziemisty i ciężki. Przed oczami latały mi małe muszki.

Josh poszedł za mną.

Na początku go nie widziałam, ale usłyszałam jego kroki gdzieś tak w połowie drogi do wyjścia. Były szybkie, ale pełne wahania. Słyszałam, jak szeleszczą jego džinsy, kiedy szedł. Odwróciłam się. Zobaczyłam go jakieś trzy metry z tyłu, jak idzie w moją stronę. Wyraz jego oczu, no, był okropny. Jakby przez te wszystkie miesiące tylko czekał, aż mnie złapie samą - i pijaną. To był jego cel przez cały ten czas. Kiedy na niego patrzyłam, zaczęło mi się kręcić w głowie. Musiałam się oprzeć o drzewo.

Wtedy się zgubiłam. Gdy odwróciłam się z powrotem w stronę ścieżki, poszłam w złą stronę. I nawet tego nie zauważyłam. To dlatego, że Josh zaczął do mnie mówić, zbliżał się. Byłam w stanie skupić się tylko na tym, aby trochę przyspieszyć. Wtedy usłyszałam jego śmiech, niski i cichy.

- Gemma, zaczekaj - mówił. - Chcę tylko pogadać.

Byłam w części parku, do której zbyt często się nie zapuszczałam, z tyłu, blisko paproci. Gdzieś przede mną był staw. Tylko tyle pamiętałam. Zeby się dostać na właściwą ścieżkę, musiałam wrócić tą samą drogą, którą przyszłam. Ale na tej ścieżce był Josh. I to coraz bliżej. Było tak ciemno, że nawet nie widziałam, jak blisko.

- Spadaj, Josh - powiedziałam. - Kiedy indziej. Idź do domu.

- Ale jeszcze jest wcześnie.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu gałęzi albo czegoś, co mogłoby nas rozdzielić. Usiłowałam sobie przypomnieć, gdzie właściwie jest staw. Czy ścieżka obchodziła go wkoło? Prowadziła dokądś potem?

- No, Josh - spróbowałam znowu. - W co ty się bawisz? Wiesz, że nie chcę się z tobą umówić. - Głos mi drżał, a gardło miałam ściśnięte, słowa ledwo się wydostawały. - Zostaw mnie w spokoju.

- Nie chcę.

Był tylko kilka kroków ode mnie. Niemal widziałam staw, tuż przede mną. Rośliny dookoła wody przypominały słabo widoczne włócznie. Czułam nagłą wilgoć powietrza,

ziemia pod moimi stopami była miększa. Słyszałam, jak dżinsy Josha ze świstem ocierają się o krzaki niemal tuż za mną. Dostrzegłam ścieżkę skręcającą w lewo, okrążającą staw.

Szłam w stronę tej ścieżki, kiedy to się stało.

Nagle otworzyłam oczy, ponieważ coś mi przyszło do głowy. Ty nadal pracowałeś nad gwoździem, chociaż teraz niemal już go wyciągnąłeś. Popatrzyłam na twoje zgarbione plecy. Posłuchałam twoich stęknąć.

- Byłeś tam tamtej nocy? - spytałam cicho. - Tamtej nocy w parku, z Joshem?

Twoje usta zadrgały, wydawało się, że jeszcze bardziej kulisz się w sobie. Ramiona skrzyżowałeś na piersi. Znowu zamknęłam oczy, tylko na sekundę.

Łatwo było przypomnieć sobie tamten dźwięk: ostrą, szybką szarpaninę - myślałam, że to Josh poślizgnął się na trawie. A potem na ścieżce pojawiły się cienie, jeden wysoki, jeden niski. Obejrzałam się pośpiesznie. Tak, tam był jeszcze ktoś. Ktoś w ciemnoszarej bluzie z kapturem. Ten ktoś napierał na Josha, odpychając go ode mnie. Słyszałam, jak Josh zaczyna coś krzyczeć, zanim jego głos został zagłuszony przez inny, cichy, głęboki i poważny.

Myślałam, że to któryś z jego dziwacznym kumpli się wygłupia - przewraca go na ziemię i ciągnie w krzaki, żeby tam palić trawę, albo coś. Lub że to Ben, a może Jay.

Nie czekałam, by to sprawdzić. Przebiegłam obok krzaków, w których zniknął Josh. Pędziłam przez całą drogę do domu. Nie zatrzymałam się, póki nie wsadziłam klucza w zamek i nie zamknęłam za sobą drzwi.

Zacząłeś okrężnymi ruchami wyciągać gwóźdź z drewna, aż w końcu wylazł. Przez chwilę podrzucałeś go. Obejrzałeś się na mnie, a ja jakoś zdołałam odwzajemnić twoje spojrzenie.

- To dlatego Josh zniknął? - spytałam. - To ty byłeś tym facetem w kapturze, prawda?

Znowu zerknąłeś na gwóźdź, potem przechyliłeś głowę, żeby popatrzeć na okolicę. Słońce zaczynało zachodzić. Światło rozlewało się nad Samotnymi, zamieniając skały w złoto.

- Co mu zrobiłeś? Po tym jak go wciągnąłeś w krzaki. - Wtedy na mnie spojrzales. Błysk twoich oczu dał mi do zrozumienia, że dokładnie wiesz, o czym mówię.

- Nic - odpowiedziałeś. - Nic mu nie zrobiłem.

- Zostawił mnie w spokoju.

- Wiem.

Pochyliłam się bardziej. Widziałam kropelki potu na twojej szyi, ale ja sama czułam chłód. Popatrzyłam na ciebie z niedowierzaniem.

- Myślisz, że mnie przed nim uratowałeś?

- A jak ty myślisz? - Zrobiłeś krok w moją stronę i przykucnąłeś. Twoje oczy badały moją twarz, usiłując coś odczytać. - Nie jesteś zadowolona, że tam byłem? - Położyłeś rękę na kanapie, musnąłeś moje udo.

Zmarszczyłam brwi, skonsternowana.

- A gdybyś się zastanawiała - zaczęła cicho - to była ta chwila.

- Jaka chwila?

- Kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, że cię chcę... chwila, kiedy zrozumiałem, że muszę cię tu przywieźć. Nie kiedy miałaś dziesięć lat, lecz tamtej nocy. Potem wszystko było pod ciebie. Pracowałem ciężiej, żeby skończyć, żeby móc cię uratować jak najszybciej.

Następnego dnia siedziałam w piachu koło zagrody. Z wielbłądzą obchodziła się delikatnie i cierpliwie. Ile razy zrobiła coś, co chciałaś, dawałaś jej w nagrodę gałąź pełną suchych liści, które ona obgryzała swoimi miękkimi wargami. Cały czas do niej mówiłaś, mruczając słodkie słówka w jej szyję. Jeśli nie zrobiła tego, czego chciałaś, po prostu unosiłaś ręce i podchodziłaś do niej, jakbyś miał zamiar ją uderzyć. Strach przed tobą wystarczał, żeby się nauczyła. Uskakiwała na bok, ale zaraz podchodziła z powrotem, z pochyloną głową, przeżuując leniwie. To był pojedynek woli, ale wyglądało na to, że nasz wielbłąd już się poddał.

Oparłam się na łokciach. Ramiona miałam brązowe, bardziej niż kiedykolwiek. Kiedy je przykładałam do ziemi, niemal się z nią stapiały kolorem. Poczułam łaskotanie, gdy ogromna mrówka wlaźła na mój mały palec.

Nie przejęłam się tym na tyle, by ją strącić, chociaż miała wielkie szczęki. Dziwne, bo jeszcze parę tygodni wcześniej pewnie bym ją rozdeptała. Przelazła mi po kolejnych trzech palcach, a potem zniknęła gdzieś pod plecami. Nie poruszyłam się, bałam się ją rozgnieść.

Patrzyłam, jak wabisz do siebie wielbłądzą gałązkami, a potem, gdy była już dość blisko, jak kładziesz jej na grzbiecie kawał liny. Na początku uskoczyła, przestraszona, a ty pozwoliłeś, by lina się z niej ześlizgnęła. Ale kiedy nie ustępowałeś i powtarzałeś numer z liną, zaczęła się do tego przyzwyczajać.

- Przygotowuję ją do siodła! - zawołałaś do mnie.

Usiadłam trochę wyżej. Wielbłąd dostrzegł mój ruch i znów uskoczył. Lina opadła na piasek.

- Chcesz na niej jeździć? - spytałam.

- Pewnie. - Odwróciła się od wielbłądzący, unikając z nią kontaktu wzrokowego, a ona po chwili podeszła do ciebie. - Kiedy się skończy benzyna, musimy mieć jakiś transport.

- A kiedy się skończy?

- Nie tak szybko, jeszcze długo nie, ale musimy być na to przygotowani. Zresztą ona się przyda nie tylko do transportu, również do wielu innych rzeczy.

Zerknęłam na baraki, zatrzymując wzrok na tym obok stodoły do malowania. W tym jeszcze nie byłam. Tam była benzyna? Miałam wizję, jak zamykam cię w domu i oblewam go benzyną, podpalam werandę i patrzę, jak wszystko się pali z tobą w środku. Po raz stutysięczny przejechałam spojrzeniem po twoim ubraniu. Skoro nie wiedziałam, gdzie trzymasz kluczyki, moje szanse na ucieczkę czy nawet spalenie cię były żadne. Ten drugi budynek był zamknięty. Widziałam na drzwiach kłódkę. Popatrzyłam na wysoki grzbiet wielbłąda. Nie wyglądał zbyt wygodnie.

- Kiedy się da na niej jeździć? Dzisiaj?

- Nieee! - Podrapałeś zwierzaka po szyi. - Mowy nie ma. Ale tak jest zawsze z wielbłądami... krok za krokiem. Każdy drobiazg po kolei, aż się przyzwyczai.

Za każdym razem usiłowałeś dłużej trzymać linę na jej grzbiecie. Unikała jej bez trudu. Lecz czasami pozwalała jej tam zostać.

- Czyli zmuszasz ją, żeby robiła to, co chcesz? Łamiesz jej charakter?

- To nie całkiem tak. - Klasnąłeś językiem w stronę wielbłądzicy i poszedłeś w jej stronę, prosto. Tym razem się nie odsunęła, gdy zarzuciłeś jej linę na grzbiet. Zamiast tego obróciła długą szyję i powąchała sznur. - Daję jej wiarę we mnie - powiedziałaś. - Kiedy mi zaufa i mnie zaakceptuje, będzie jej lepiej. Wielbłądy przecież żyją w stadach. Poczuj się bezpieczniej, jeśli będzie miała kogo słuchać, przywódcę. Wtedy już nie będzie musiała się bać - mówiłeś, nie odrywając wzroku od zwierzęcia. Przycisnąłeś ręce do jego boku, opierając się o niego całym ciężarem, zmuszając, by cię zaakceptowało. Wielbłądzica nie odsunęła się. Zamiast tego skubnęła liście, które jej podałeś.

- Grzeczna dziewczynka. Grzeczna, śliczna dziewczynka. Tego właśnie chcemy.

Przestałeś naciskać. Potem zabrałeś linę z jej grzbietu, wziąłeś kolejną gałązkę z liśćmi i zacząłeś cały proces od początku. Powtórzyłeś to jeszcze parę razy, potem głaskałeś ją, zaczynając od szyi i dochodząc aż do kopyt. Bulgotała cicho, a ty mruczałeś w odpowiedzi.

- Starczy na dzisiaj, skarbie - powiedziałaś. - Jutro zrobimy trochę więcej.

Kiedy ona obgryzała kolejną gałązkę, ty rozciąłeś mocniej dziurę w drucianym ogrodzeniu łączącym jej zagrodę z Samotnymi, poszerzając ją do rozmiaru wielbłąda. Wskazałeś jej tę stronę, usiłując zachęcić do pójścia w kierunku skał.

- Nie złapiesz jej... - zaczęłam.



Ale wielbłądzica i tak poszła za tobą, wyciągając głowę do twojego ramienia. Przelazłeś pod linami ogradzającymi jej wybieg i podszedłeś do mnie. Padłeś obok, rozciągając się na piasku, zamykając oczy przed promieniami słońca. Byłeś całkiem blisko, a ja tym razem się nie odsunęłam. Nadal martwiłam się o tę mrówkę łączącą pode mną, nie chciałam jej rozgnieść, nie chciałam też, żeby mnie ugryzła. I było za gorąco, i nic mi się nie chciało. Otworzyłeś jedno oko, żeby na mnie spojrzeć.

- Dochodzimy do czegoś - westchnąłeś. - Krok za krokiem.

Po chwili usiadłeś i otarłeś ręką czoło.

- Napijmy się - powiedziałeś. - Tu jest za gorąco.

Poszłam za tobą z powrotem na werandę, ale do środka już nie. Chciałam chwilę pomyśleć o naszej rozmowie z poprzedniego dnia, czy wtedy nocą w parku to rzeczywiście byłeś ty. Czasem mi się wydawało, że to ma sens, a czasem, że żadnego.

Zostawiłeś drzwi otwarte i słyszałam cię w kuchni, jak chciwie łykasz wodę z kranu. Wróciłeś z dwiema pełnymi szklankami. Jedną podałeś mnie. Wzięłam ją, ale nie piłam. Patrzyłam, jak sztywnieją ci ramiona, gdy odstawiłam naczynie na podłogę. Usiadłam na brzegu kanapy. Miałeś akurat odpowiedni wzrost, żeby być tym facetem w kapturze. Ale ta twoja historyjka, to, jak mnie poznawałeś... to było nieprawdopodobne, tak szalone. I nadal tyle rzeczy nie miało sensu. Bo dlaczego? Dlaczego miałbyś za mną chodzić tyle lat? Dlaczego akurat za mną?

- Dlaczego wyjechałeś z Australii? - spytałam. - Po co w ogóle przyjeżdżałeś do Anglii?

Nie odpowiedziałeś. Powoli podszedłeś do jednego ze słupków werandy i oparłeś o niego czoło. Spróbowałeś zamknąć oczy. Ale ja naciskałam, chciałam cię rozgryźć.

- Dlaczego?

Pokręciłeś głową, mocno zaciskając palce na szklance. Potem szybko odwróciłeś się w moją stronę.

- Dostałem list - oznajmiłeś. - Okej?

- Jaki list? - Patrzyłam, jak końce twoich palców bieleją. - Co w nim było?

Otworzyłeś usta, jakbyś chciał mi powiedzieć, ale zamiast tego wzięłeś gwałtowny oddech.

- Nie wiem... - Twoje palce zaciskały się wokół szklanki tak mocno, że pomyślałam, że szkło zaraz pęknie. Podążyłeś za moim wzrokiem i też na nie spojrzawszy. - Nie wiem, jak mnie znalazła.

Poprawiłam się na kanapie, nagle zaciekawiona.

- Kto cię znalazł?

Walnąłeś szklanką mocno o poręcz, rozbiła ci się w rękę. Otworzyłeś szeroko oczy i popatrzyłeś na roztrzaskane kawałki w dłoni.

- Moja mama, okej? - szepnąłeś. - Znalazła mnie.

Strużka krwi popłynęła po twoim nadgarstku. Obserwowałeś ją, a odłamki szkła wydawały głuchy szczełk, kiedy upuszczając je na podłogę. Spojrzałam na cztery jednakowej wielkości kawałki i znowu na twoją rękę. Zacisnąłeś ją, ale krew wciąż płynęła między palcami. Oczy miałeś szeroko otwarte, zdezorientowane. Sięgnąłeś w dół, żeby pozbierać szkło, ale zobaczyłeś, że patrzę, i się wzdrygnąłeś, szybko przesuając dłoń, tak bym jej nie widziała. Twarz też odwróciłeś, ramiona miałeś uniesione i napięte. Jeszcze jedno słowo i mogłeś eksplodować. Poczekalam chwilę, zanim się odezwałam, a kiedy to zrobiłam, słowa przychodziły mi z wahaniem.

- Myślałam, że zniknęła, kiedy się urodziłeś.

- Bo tak było. - Pochyliłeś się nad swoją pięścią, rozprostowując ją, sprawdzając skaleczenia. - Ale znalazła mnie - szepnąłeś. - Nie wiem jak. Niedługo po tym, jak skończyłem siedemnaście lat, przysłała mi list.

- Dlaczego? - Słowo było cichsze niż oddech. Ale zawisło między nami. Plecy miałeś równie sztywne jak słupek, o który się opierałeś. Jakbyś skamieniał.

- Powiedziała, że chce mnie zobaczyć. Dała mi swój adres: 31a Elphington Street. Londyn.

- To niedaleko mnie.

- Wiem.

- Czyli przyjechałeś, żeby się z nią zobaczyć.

- Postanowiłem spróbować. Rodzice zastępczy pożyczili mi pieniądze.

- Co się stało?

- Byli zadowoleni, że mogą się mnie pozbyć.

- Chodziło mi o twoją mamę.

Odwróciłeś się. Twoją twarz wykrzywiały emocje, z którymi starałeś się walczyć.

- Naprawdę chcesz to wiedzieć?

Skinęłam głową. Trzema krokami pokonałeś werandę i zatrzasnąłeś za sobą drzwi. Potem słyszałam cię w domu, jak stąpasz ciężko, otwierasz szufladę. Czekałam, spięta. Drzwi znowu się otworzyły, wałąc mocno o ścianę. Coś mi wcisnąłeś w rękę: kopertę.

- Przeczytaj - warknąłeś.

Mało nie upuściłam tej koperty, dłonie zaczęły mi nagle drżeć, kiedy wyjmowałam ze środka cienkie kartki. Wypadło też stare zdjęcie, które wylądowało mi na kolanach. Podniosłam je.

Było wypłowiałe i stare, trochę pogniecione na brzegach. Przedstawiało dziewczynę, mniej więcej w moim wieku, mocno tulącą do piersi dziecko. Śmiało patrzyła w obiektyw, jakby rzucała wyzwanie fotografowi. Trochę zaskoczona studiowałam jej długie, ciemne włosy i zielone oczy. Wyglądała trochę jak ja. Dziecko, które trzymała, było maleńkie, mocno zawinięte w szpitalne kocyki. Ale oczy miało niebieskie jak oceany, a jedyny lok na główce był złocisty.

Popatrzyłam znowu na ciebie, mój wzrok zatrzymał się na blond włosach spadających ci na oczy.

-...Ty?

Walnąłeś dłonią w słupek werandy, aż cała budowla zadrżała.

- Chciałem, żebyś to przeczytała! - Chwyciłeś kartki leżące na moich kolanach. - Jak nie chcesz czytać, to oddaj.

Zdjęcie też zabrałeś, uważając, żeby go nie zginać. Ostrożnie włożyłeś je do kieszeni koszuli, a kartki za nim. Mówiłeś cicho, jakby sam do siebie.

- Napisała... poprosiła, żebym z nią zamieszkał - wyjaśniłeś. - Ze za długo była sama.

- I co się stało? - Mój głos był też tylko szeptem.

Pochyliłeś się nade mną. Ostrożnie rozprostowałeś palce i wyciągnąłeś je w stronę mojej twarzy. Wtedy zobaczyłam ciemną krew na twojej dłoni, już zasychającą. Odwróciłam twarz, ale pociągnąłeś ją znowu w swoją stronę, zmuszając mnie, żebym na ciebie spojrzała. Końce twoich palców dotknęły moich włosów.

- Ela Elphington Street to była pieprzona narkotykowa melina - westchnąłeś. - Na ścianach gówno, w kominku zdechłe wróble. Jakiś diler omal mnie nie zabił, kiedy zapukałem.

- A twoja mama? - Trudno było wydobyć z siebie słowa przy mocnym uścisku twoich palców.

- Nie było jej tam. Najwyraźniej wyprowadziła się tydzień przed moim przyjazdem. - Twój wzrok uciekł na bok, we wspomnienia. - Starłem się zdobyć jej inny adres, ale nikt nie chciał mi go dać... Powiedzieli, że była wplątana w takie gówna, że nie chcą jej znać.

Próbowałam uwolnić się z twojego uścisku. Nie pozwalałeś mi. Ścisnąłeś tylko mocniej i przysunąłeś wargi bliżej mojej twarzy; twój oddech był kwaśny jak twoje papierosy własnej roboty.

- W końcu zdobyłem telefon, pod którym można ją było zastać. Długie dni trzymałem ten kawałek papieru w kieszeni, zanim zebrałem się na odwagę, żeby zadzwonić, aż znałem cały numer na pamięć. A kiedy zadzwoniłem, jakaś stara kobieta zapytała, czy mam pieniądze, a jak powiedziałem, że nie mam, oznajmiła, że nie wie, o kim mówię. Ale ten jej głos... - Wzięłaś głęboki oddech -... jak na pół martwy. Była pijana, naćpana, czy coś... Tata czasem tak mówił. - Urwałeś. - Wiesz, często się zastanawiałem, czy to rzeczywiście ona odebrała, czy to był jej głos...?

Odwzajemniłam twoje spojrzenie. Powoli spróbowałam cofnąć głowę, trochę odsunąć się od ciebie.

- Szukałem dalej - ciągnąłeś, nie zauważając moich ruchów. - Szukałem w tych sąsiadach i schroniskach, próbowałem ją znaleźć. Cholera! Póki tam nie pojechałem, nigdy nie widziałem śniegu, zniechęciłem go już po pierwszym dniu. Nie miałem pieniędzy na powrót do domu, nic do roboty ani nikogo, więc...

Wtedy przerwałeś i w końcu mnie puściłeś. Poruszyłam szczęką, sprawdzając, czy nic mi się nie stało. Kiedy zerknęłam na ciebie, miałeś zaniepokojoną minę. Wyciągnąłeś palce w stronę mojego policzka, jakbyś chciał znowu go dotknąć.

Pokręciłam głową. Nie. Skrzywiłeś się. Odsunęłam się, głębiej na kanapę. Z całej siły uderzyłeś dłonią w poduszkę obok mnie. Twoja ręka, jakieś trzydzieści centymetrów ode mnie, drżała. Po chwili cofnąłeś dłoń i wsadziłeś ją sobie do kieszeni. Odszedłeś z powrotem do swojego słupek z widokiem na okolicę.

- Wtedy mnie znalazłeś? - spytałam cicho. - W Londynie, kiedy nie mogłeś odszukać mamy?

Nie odpowiedziałeś. Zamiast tego przemaszerowałeś przez werandę i zeskoczyłeś na piasek. Walnąłeś w swój worek treningowy, skuliłeś się i zadałeś jeszcze kilka ciosów. Warknąłeś, uderzając zranioną ręką. Potem trzasnąłeś w worek obiema rękami i ruszyłeś w stronę Samotnych. Słuchałam rytmu worka kołyszącego się tam i z powrotem, zanim zwolnił i całkiem się zatrzymał. Po jakimś czasie spomiędzy skał doszło mnie echo dźwięku, który mógł być twoim wrzaskiem.

Zrobiło się późne popołudnie - wtedy zazwyczaj karmiłeś kury. Wciąż cię nie było. Wzięłam pudło nasion i orzechów i poszłam zrobić to sama. Zeby dojść do Samotnych, musiałam przejść przez zagrodę wielbłąda. Po raz pierwszy byłam tam bez ciebie. Wielbłądzica odpoczywała, z nogami skulonymi pod brzuchem. Podniosła głowę, kiedy weszłam.

- Spokojnie, kochana. - Starłam się mówić jak ty.

Była taka wielka, że trudno było się koło niej przecisnąć, żeby chociaż trochę jej nie zdenerwować.

Ostrożnie ruszyłam ścieżką do skał. Zastanawiałam się, czy nadal tam jesteś. A jeśli tak, to gdzie? Miałam wrażenie, że mnie obserwujesz. Dotarłam do polany. Było tu głośniej, dzikie ptaki zaczynały swoje przedwieczorne plotki. Jaszczurka wygrzewająca się na skale szybko wycofała się w cień.

Najpierw podeszłam do kur, zostawiając koguta na koniec. Kroczył po klatce tam i z powrotem, jakby się szykował do bójki. Otworzyłam drzwiczki klatki i wsadziłam jedzenie do środka. Kury zebrały się wokół mojej ręki, ich ciepłe pierzaste ciała miękko ocierały się o moją skórę. Podobało mi się, jak gdaczą i bulgoczą. Brzmiały jak dwie starsze panie, które czasami jeździły ze mną autobusem ze szkoły. One też paplały i mamrotały, tylko że to było o ich ulubionych programach w telewizji. Tęskniłam za tymi paniami. Zastanawiałam się, czy zauważyły, że już nie jeżdżę ich autobusem.

Postanowiłam nadać kurom imiona. Dwie grube i szare nazwałam Ethel i Gwen, na cześć pań z autobusu. Chuda czerwona została Mamą. Grubsza czerwona - Anną. Dużą pomarańczową nazwałam Ben (tak, to męskie imię, i co z tego!), a taką niezdrowo jasną - Alison, po babci. Koguta nazwałam Kutas, na twoją cześć.

Spędziłam trochę czasu na głaskaniu kur, po czym zamknęłam ich klatkę i podeszłam do koguta. Wcisnął dziób między druty, usiłując mnie dziobnąć. Rzuciłam w niego garścią piasku, a potem spróbowałam otworzyć drzwiczki. Rzucił się na mnie, mocno wbijając dziób w moje palce. Szarpnęłam rękę, odrzucając go.

Usłyszałam twój śmiech z okolicy drzew owocowych. Opierałeś się o skałę, nogi wyciągnąłeś wzdłuż zwałonego pnia. Byłeś równie nieruchomy jak piaskowiec za tobą.

- Musisz go podnieść - powiedziałeś. - Trzymać go, aż się uspokoi. Niech powisi do góry nogami.

- Mądrała, ciekawa jestem, czy ty byś spróbował?

Wzruszyłeś ramionami i podszedłeś. Kiedy uklęknąłeś obok jego klatki, ciebie też próbował dziobnąć. Wskoczył w powietrze, wysuwając w stronę drzwiczek pazurzaste łapy.

- Kogut ninja, co? - Wyszczrzyłeś się do mnie, podwijając rękawy. - Zobaczymy.

Sięgnąłeś do klatki. Kutas natychmiast rzucił się na twoją rękę, orząc pazurami i atakując dziobem.

- Pieprzony kogut!

Spróbowałeś go zrzucić. Ale on nie puścił. Odwróciłam twarz, kryjąc triumfalny uśmiezek. Machałeś ręką, usiłując go strząsnąć, ale kogut wbił pazury i trzymał się, jakby

szło o życie. Zrobił ci głęboką szramę nad kostkami palców. Próbowaleś go ściągnąć drugą ręką, ale on dalej walczył. Piał i gdał, zadowolony z wyrządzonych szkód. Ty wrzeszczałeś na niego. To była prawdziwa bitwa, jak te w programach przyrodniczych między przywódcami dwóch stad. Miałam wrażenie, że powinnam głośno kibicować kogutowi, cieszyć się z każdego zadrapania, jakie oberwał.

W końcu udało ci się złapać go drugą ręką za skrzydła. Unieruchomiłeś go. Czekałam, zastanawiając się, czy ściśniesz mocniej, czy się odegrasz. Ale ty tylko wrzuciłeś go z powrotem do klatki, rzuciłeś w niego jedzeniem i zatrzasnąłeś drzwiczki. Potem kopnąłeś w druty. Kogut poleciał na sufit, objając się mocno. Później spadł na ziemię, gdacząc jak szalony.

Twoje dłonie i ramiona były zakrwawione i obrzmiały od zadrapań, oczy miały szeroko otwarte.

- Masz rację, istny zabójca - stwierdziłeś. - To kogut z problemami.

Pokręciłeś głową, może zaskoczony, że inne stworzenie mogło cię tak pokonać. Trzymałeś poranione ręce wyciągnięte przed siebie jak małe dziecko. Krew spływała ze szramy nad kostkami palców i ciekła po nadgarstku. Tkwiło w niej kilka małych piórek z piersi koguta. Spróbowałeś otrzeć trochę krwi drugą ręką, ale tylko podrażniłeś zadrapanie.

- Au - jęknąłeś. Potem podniosłeś wzrok, zwróciłeś na mnie te swoje niebieskie oczy.  
- Chyba będziesz musiała mi pomóc to oczyścić - stwierdziłeś.

Napuściłam wody, raczej gorącej. Ty siedziałeś na zakurzonej podłodze salonu i czekałeś, aż przyniosę miskę. Skrzywiłeś się, kiedy zanurzyłeś ręce. Ja się uśmiechnęłam. Proste przyjemności, małe zadośćuczynienia. Wzięłam ze zlewu starą drapiącą gąbkę, której używałeś do mycia naczyń.

- Może być? - spytałam niewinnie.

- Chcesz, żebym został bez skóry? - Przewróciłeś oczami. - Wiesz co, na to lepiej nie odpowiadaj...

I tak ją przyniosłam. Przykucnęłam po drugiej stronie miski. Kiedy poruszałeś dłońmi, woda natychmiast robiła się czerwona.

- Nie boli cię? - spytałam.

- Taa.

- To czemu ich nie wyjmiesz?

- Bo jestem uparty. - Wyszczrzyłeś się. - Uparty jak nie wiem co. A poza tym ból oznacza gojenie.

- Nie zawsze.

Krew płynęła, tworząc smugi wokół twoich palców.

- Cholerny kogut - mruknąłeś.

Jeszcze nie zająłeś się ramionami. Tam też miałeś zadrapania, niektóre sięgały aż do łokci. Westchnąłeś, wyjąłeś ręce z wody i oparłeś je o brzeg miski. Były różowe i nabrzmiałe.

- Będziesz musiała mi pomóc - prosiłeś.

Popatrzyłam na ciebie.

- A niby dlaczego miałabym to robić?

Zmarszczyłeś czoło.

- Bo jeśli nie będę mógł używać rąk, oboje jesteśmy załatwieni. - Zrobiłeś szybki, pełen frustracji wydech. - A ja nie mogę ich porządnie obmyć. - Kącik twoich ust wygiął się w uśmiechu, a twoje oczy znowu spojrzały prosząco. - I to boli, Gem.

Wyciągnąłeś ręce sztywno w moją stronę, tak samo jak wcześniej. Kapała z nich na podłogę różowawa woda. Jedna kropla wylądowała mi na kolanie, potem zaczęła spływać, zostawiając za sobą brązowawy ślad.

- A co ty zrobisz dla mnie? - spytałam cicho.

Ty też obserwowałeś kroplę spływającą po moim kolanie, zastanawiając się w milczeniu.

- A co chcesz?

- Wiesz, czego chcę.

- Nigdzie nie idziesz. - Przekręciłeś prawą rękę i patrzyłeś, jak krwawa woda spływa po niej strużkami. - Pytałem, czego chcesz ode mnie, tutaj, teraz.

Spojrzałeś znów na mnie. Ten drobny ruch sprawił, że włosy wpadły ci do oczu. Wypłowiące od słońca kosmyki sięgały niemal ust. Dmuchnąłeś, ale przykleiły ci się do warg.

- Proszę - powiedziałeś -... cokolwiek, byle nie odchodzenie stąd. No, tylko poproś. Zrobię wszystko... - Pochyliłeś się, zaciekawiony jak kot. Odsunęłam się. - Ale najpierw możesz mi przynieść ręcznik? - wyszeptaleś. - Są w skrzynce w łazience.

- Wiem.

Otworzyłam poobijaną blaszaną skrzynkę koło drzwi w łazience i wyjęłam z niej ręcznik. Kiedy szłam z powrotem, myślałam o wszystkim, co chciałam o tobie wiedzieć... setki rzeczy. Ale pytanie o nie było jak zbrodnia, coś w rodzaju zdrady. Uklęłam więc z ręcznikiem na kolanach, rozmyślając. Byłam gotowa dać ci go, kiedy poprosisz, ale ty zamiast tego położyłeś ręce prosto na nim, w poprzek moich kolan. Czułam, jak materiał robi się wilgotny i ciepły od twojej rozwodnionej krwi. Twoja twarz była blisko mojej, ale ja

zamiast tego patrzyłam ci na ręce. Moje mięśnie były napięte, jak u zwierzęcia gotowego do ucieczki.

- Chcę wiedzieć, jak to wszystko zbudowałeś - powiedziałam w końcu. - Skąd wzięłeś pieniądze? Jeśli to byłeś ty, wtedy w parku... jak doszedłeś od tamtego aż do tego?

Rozejrzałam się po pokoju i zauważyłam pajęczyny zwisające z sufitu. Ciągnęły się w stronę zasłon cieniutkimi nitkami, takie delikatne ścieżki życia. Poruszyłeś dłońmi na ręczniku, ruchem głowy wskazując gąbkę.

- Umyj mi ręce. Proszę. Wtedy ci powiem.

Zanurzyłam gąbkę w wodzie i przesunęłam nią po zadrapaniach. Jeszcze bardziej je otworzyłam, szarpiąc ci skórę. Skrzywiłeś się, gdy twój brązowy naskórek opadał, odsłaniając bardziej różową, miększą tkanę. Potarłam trochę mocniej. Kawałki gąbki utykały w skaleczeniach. Zagryzłeś dolną wargę, opanowując ból.

- Pieniądze zbierałem na różne sposoby - zacząłeś. - Najpierw kradłem. Byłem całkiem niezły w zwijaniu torebek w pubach, i takie tam... Ale w końcu ktoś mnie złapał i postraszył więzieniem.

Pochwyciłeś moje spojrzenie. Wiedziałeś, że jeśli wyjdzie na moje, niedługo i tak wylądujesz w więzieniu. Zignorowałeś to.

- Przez jakiś czas byłem nawet żebrakiem - ciągnąłeś. - Stawiałem swój plastikowy kubek z McDonalda na ziemi, jak oni wszyscy, i czułem się jak gówno.

Przestałam trzeć.

- Ale żebranie nie wystarczyłoby na to. - Znowu rozejrzałam się po pokoju. Owszem, był prosty i surowy, ale i tak musiał kosztować więcej niż trochę drobnych... dużo więcej.

- Co jeszcze?

Pokiwałeś głową.

- Sprzedawałem rzeczy.

- Co sprzedawałeś?

- To, co miałem. - Skrzywiłeś się mocno i to nie z powodu bólu rąk. Nawet cię wtedy nie wycierałam. - Sprzedawałem siebie za to miejsce.

- To znaczy... jak prostytutka?

- Jak ktoś, kto sprzedaje duszę. - Skrzywiłeś się na to wspomnienie. Pokręciłeś głową, usiłując je strząsnąć. - Robiłem to samo co wszyscy w mieście - stwierdziłeś, a twój wzrok uciekł gdzieś daleko. - Uganiałem się za pieniędzmi, udawałem, że jestem kimś innym, by je zdobyć. Im dłużej to robiłem, tym było łatwiej... Ale to pułapka, rozumiesz? Kiedy martwota staje się łatwiejsza, wiesz, że toniesz, że sam stajesz się martwy. - Zacząłeś ocierać ramiona



ręcznikiem, przyciskając zadrapania, żeby zatamować krwawienie. - Potem znalazłem żyłę złota.

- Najwyższej klasy prostytutka? - prychnęłam.

- Prawie. Pracowałem w Fantasyland.

- Co, jako postać Disneya?

- Mogłem być jedną z nich, gdyby tego chcieli. - Uśmiechnąłeś się smętnie. - Pracowałem jako osoba do towarzystwa. Zawodowo chodziłem na randki. Chodziłem z każdym, kto chciał, i byłem tym, kogo chcieli mieć: Jamesem Bondem, Bradem Pittem, Supermanem... - Urwałeś, sprawdzając moją reakcję. - Widzisz, mówiłem ci, że mogę być Supermanem.

- To szalone.

- Tak, ale takie jest miasto. Wszyscy uwielbiają udawać. Zwłaszcza bogaci. A zresztą łatwo jest być tym, kogo ludzie chcą: dać im coś, na co mogą się gapić, kiwać głową i uśmiechać się, mówić im, że są piękni. - Rzuciłeś mi swój najbardziej czarujący uśmiech, zanim dodałeś: - To trzy kroki do pieniędzy.

Znowu się uśmiechnąłeś. Ale tym razem nie tak czarująco. Uśmiech był mniejszy i smutniejszy.

- A kasa? Ciągle ją masz?

Gestem objąłeś dom.

- Wszystko jest w tym drewnie, w tym miejscu... Jaki inny może być pożytek z forsy?

- Czyli kiedy stąd odejdziesz, nie będziesz miał nic? Żadnych pieniędzy, żadnej rodziny, żadnej przyszłości...?

Spowaźniałeś.

- Ja stąd nie odejdę. Nigdy. - Wstałeś. - Koniec leczenia.

Tej nocy nie spałam. Położyłam się ze zbyt wieloma pytaniami. Tuż przed świtem usłyszałam twój głos, mrużący jakieś słowa. Na palcach przeszłam korytarz i przytuliłam się do twoich drzwi, nasłuchując. Ale byłeś już cicho. Może coś ci się śniło.

Znalazłam cię w kuchni, promienie porannego słońca wpadały przez okno i oświetlały twoją skórę.

Moczyłeś szmaty w misce ciemnobrązowej pasty, która pachniała eukaliptusem i ziemią. Ręce miałeś pokryte strupami i obrzmiałe. Wyjąłeś jedną szmatę i poprosiłeś mnie o pomoc. Kiedy owijałam ci ją wokół nadgarstka, wyjrzałeś przez okno. Niecierpliwie chciałeś się za coś zabrać.

- Będzie gorąco - stwierdziłeś. - Może nawet któregoś dnia spadnie trochę deszczu, jeśli będziemy mieli szczęście... jeżeli dalej będzie tak narastać.

- Co będzie narastać?

- Ciśnienie. Gdy powietrze robi się ciężkie, tak jak teraz, w pewnym momencie trzaśnie. Musi.

Ja też czułam to ciśnienie. Przez ostatnie dni powietrze było jak żywe - kleiło mi się do uszu, jakby usiłowało dostać się do środka, wciskało we mnie swoje gorąco. Czasami zastanawiałam się, czy gdybym stanęła na dworze z rozłożonymi ramionami i poczekała, przepchałoby mnie aż do domu.

Cofnąłeś rękę i sprawdziłeś, jak mocno zawiązałam bandaż.

- Dobrze - mruknąłeś.

Otworzyłeś szufladę i zacząłeś w niej grzebać.

- Jak to tutaj przyciągnąłeś? - spytałam. - Całe to drewno i sprzęt?

Wyciągnąłeś niewielką metalową zapinkę.

- Miałem ciężarówkę.

- I już?

- I czas. - Gestem nakazałeś mi, żebym przymocowała zapinkę do bandaża, który zawiązałam, dodatkowo go zabezpieczając.

- Co jeszcze? - Naciągnęłam krótką gumkę na zapince i wbiłam metalowe końcówki w bandaż. Dalej trzymałam twój nadgarstek, aż na mnie popatrzyłeś.

- No dobra - westchnąłeś. - Jest coś jeszcze... Prawie opuszczone miejsce, niezbyt daleko stąd. Kopalnia. Tam trzymałem różne rzeczy, zanim stały mi się potrzebne. Potem zacząłem budować. Zacząłem przed laty, kiedy po raz pierwszy wpadłem na ten pomysł, zanim wiedziałem, że ciebie też chcę tu przywieźć.

- Możemy tam pojechać? - zapytałam szybko. - Do tej kopalni?

- Tam nic nie ma.

- Musi być więcej niż tutaj.

Pokręciłeś głową.

- Cała ta okolica była zgwałcona i obrabowana, wszystko jest martwe.

Wzdrygnęłam się na twoje słowa.

- Gem, mówię poważnie. Jest tylko dziura w ziemi, która wszystko pożarła. To paskudne. - Otworzyłeś drzwi na dwór. - Idziesz?

Pokręciłam głową. Twoje słowa sprawiły, że serce zabiło mi szybciej. Gdybym tylko mogła zdobyć kluczyki do samochodu, może byłabym w stanie znaleźć to miejsce, o którym

mówiłeś. Jeżeli to kopalnia, muszą tam być ludzie, musi być coś... Po raz stutysięczny przeszukałam twoją kuchnię. Byłam coraz bardziej przekonana, że kluczyki nosisz ze sobą.

Poszłam do wolnego pokoju. Przesunęłam palcem po grzbietach książek i wyciągnęłam kilka. Nie było w nich żadnych map, nic co by mi powiedziało, gdzie jestem. Popatrzyłam na książkę Historia Wielkiej Pustyni Piaszczystej, przejrzałam niektóre zdjęcia - krajobrazy i zdjęcia Aborygenów, którzy, jak mówiłeś, kiedyś tu żyli. Przyglądałam się ich twarzom, żałując, że już odeszli.

Wyciągnęłam kolejną książkę - przewodnik po florze Australii. I wtedy wpadłam na pomysł. Może mogłabym dociec, gdzie jestem, identyfikując roślinność dookoła? Przekartkowałam książkę. Niektóre rośliny wyglądały znajomo, jak te w dziale o spinifeksie. Przeczytałam:

„Spinifex triodia jest dominującym przedstawicielem flory na ponad dwudziestu procentach powierzchni Australii i występuje we wszystkich stanach z wyjątkiem Tasmanii”. Super, pomyślałam, naprawdę mogę być wszędzie... z wyjątkiem Tasmanii.

Otworzyłam szafkę. Na dolnej półce leżały gitara bez strun i oklapła piłka do nogi. Odepchnęłam je na bok, coś czarnego i wielonogiego uciekło w ciemność z tyłu. Z kąta zwisała cienka nitka pajęczego życia. Dalej już nie patrzyłam.

Na środkowej półce stała brudna maszyna do szycia; wyglądała na starszą ode mnie. Przekręciłam pokrętko na boku i patrzyłam, jak igła porusza się powoli w górę i w dół. Chciałabym móc magicznie wyszyć jakąś mapę, która by mi powiedziała, jak się dostać do domu. Przycisnęłam palec do czubka igły. Była zardzewiała, ale nadal ostra, aż dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, jak stara się wydawała. Wyginałam igłę, aż pękła mi w palcach. Przesunęłam nią po swojej ręce, wzdłuż linii życia. Zatrzymałam na środku dłoni, testując samą siebie. Czy mogłabym ją wepchnąć głębiej? Jak by to bolało? Ile szkody to by naprawdę wyrządziło?

Usłyszałam trzaśnięcie kuchennych drzwi i twoje kroki w domu. Zamknęłam igłę w dłoni i wcisnęłam ją do kieszeni szortów, szybko zatraskując szafkę i ruszając z powrotem do półek na książki. Wyciągnęłam Przygody Hucka Finna i czekałam. Wszedłeś do pokoju. Ostatnio przestałeś mnie cały czas pytać, co robię, i ten dzień nie był wyjątkiem. Po prostu patrzyłeś na mnie przez chwilę, zanim zacząłeś chodzić tam i z powrotem, jakby pokój był klatką. Wyrzuciłeś zabandażowane dłonie w górę, jakbyś usiłował się odwołać do jakiegoś boga.

- Tymi rękami nic nie mogę zrobić - oznajmiłeś szorstko. - Chcesz iść na spacer, albo coś?

Pokiwałam głową, myśląc o starej kopalni. Zabrałam ze sobą igłę.

Ty wzięłeś koszyk. To był dziwny, stary supermarketowy koszyk z czerwonego plastiku, ze słowami „Własność Cole” zanikającymi na boku. Trzymałeś go przy udzie, machając nim w rytm swych kroków. Kiedy przechodziliśmy przez zagrodę, przywitałeś się z wielbłądem. Gdy dotarliśmy do cienia skał, zatrzymałeś się i uważnie przyjrzałeś roślinom porastającym ich brzegi. Dotknąłeś liści małej krzaczkowatej rośliny podobnej trochę do spinifeksu. Pomyślałam o przewodniku po roślinach, który widziałam w domu, i zaczęłam się zastanawiać, czy te szarozielone liście mogłyby mi dać jakąś wskazówkę. Zapytałam cię, co to jest.

- Łoboda - powiedziałaś. - Rośnie wszędzie.

- Szkoda. - Dotknęłam rombowlanych liści. - Myślałam, że może jest wyjątkowa, rzadka, czy coś takiego.

- Jest wyjątkowa. - Popatrzyłeś na mnie. - Można by o niej pisać książki. Jest smaczna, jeśli ją dobrze ugotować, pomaga na obrzęki, ból zębów, trawienie... - Chwyciłeś kilka cienkich, kolczastych liści, wkładając smukłe gałązki do swojego koszyka. - To jedna z niewielu roślin, która nie tylko umie sobie poradzić z solą w tej ziemi, ale w dodatku ją lubi. Dlatego jest całkiem użyteczna.

- Do czego chcesz jej użyć? - Przesunęłam palcami po liściu.

- Na to! - Uniosłeś zabandażowane dłonie. - No i moglibyśmy zjeść trochę na kolację.

Próbowałam oderwać liść, ale tylko popękał w mojej dłoni.

- Nie wygląda smacznie, raczej jak martwy.

- Słyszysz, łobodo? - Mówiłeś do rośliny, nie do mnie. - Jesteś martwa. Jak chodnik w mieście. Szybko, otrząśnij się z tego! - Roześmiałeś się, wstałeś i odwróciłeś do mnie. - Tutaj wszystko udaje, że jest martwe, Gem. To sposób na przetrwanie, pod spodem kipi życie. Niemal wszystkie pustynne rośliny rosną głównie pod ziemią. - Wziąłeś ode mnie pokruszone liście i dotknąłeś jednego językiem. - Chyba to coś takiego jak my w mieście albo nawet samo miasto... na oko martwe, ale pod spodem aż wrze. Popatrz. - Zatrzymałeś się, żeby mi pokazać korzeń rosnący w szparze w skale. - Nie wygląda jakoś szczególnie, prawda?

- Martwy jak cała reszta.

- Ale on jest tylko uśpiony, gotów znowu ożyć. - Przesunąłeś po nim palcem. - Następnym razem, kiedy będzie padać, ten korzeń urośnie i rozkwitnie. A po paru tygodniach będzie miał owoce - coś w rodzaju pustynnej rodzyнки. Niesamowite, że coś może tak długo leżeć bez oznak życia, nie?

Nie zagłębiłeś się między Samotne, tylko szedłeś wzdłuż nich. Włożyłeś do koszyka więcej liści, po czym usiadłeś i oparłeś się o matowy, ciemny pień sporego drzewa. Sięgnąłeś do tyłu i pogłaskałeś je.

- A to jest akacja - mruknąłeś. - Największa i najbardziej tragiczna ze wszystkich.

Łoboda, pustynny pomidor, akacja... w tych nazwach muszą być jakieś wskazówki. Powtarzałam je sobie w głowie, usiłując je tam zapisać. Wzięłam opadły liść, usmażony przez słońce, i schowałam go do kieszeni razem z igłą. Usiadłam naprzeciwko ciebie. Igła ukłuła mnie lekko w udo, kiedy zgięłam kolano. Włożyłam rękę do kieszeni i przycisnęłam zardzewiały czubek. Ty głaskałeś pień, a ja turlałam ostrze w palcach. Patrzyłam na twoje gardło. Kiedy przetykałeś, jabłko Adama poruszało się niczym cel. Wyciągnąłeś rękę w górę i chwyciłeś kilka szepczących liści drzewa.

- Niektórzy mówią, że to drzewo ma ducha psa dingo. Albo że to odległy przodek z długimi, białymi włosami... Niektórzy twierdzą, że przy właściwym wietrze może wyciągnąć korzenie z ziemi i przesuwać się po okolicy. Ale żeby się rozmnożyć, musi najpierw umrzeć. - Zmiażdżyłeś liście i rozprostowałeś dłoń, jakbyś był telewizyjnym prezenterem, który mówi o nasionach czy ziarnie. - Widzisz, jego strąki się nie otworzą, dopóki nie rozerwie ich ogień. W żarze nasiona odlatują na skrzydełkach i zasięg drzewa się zwiększa. - Rzuciłeś liście i poklepałeś korę. Uśmiechnąłeś się, zadowolony, że słucham, przekonany, że jestem tym zainteresowana. - Widziałem, jak takie drzewa płoną... - ciągnąłeś cicho. - Wyglądają jak pochodnie, ten chaos niszczy wszystko dookoła nich, ale też tworzy nowe życie. - Oparłeś się znowu o korę, jej czerń wtarła ci się we włosy i w kark. Na ramię opadł ci mały żuczek.

Igła była taka mała, że ledwo ją czułam. Zacisnęłam mocniej pięść, aż byłam całkiem pewna cienkiej, twardej stali. Znowu spojrzałam na twoją twarz, na twoje złe i piękne oczy. Wiedziałam, co chcę zrobić. Pochyliłam się w twoją stronę, oceniając odległość między nami. Metr? Dwa? Ty myślałeś, że zainteresowała mnie twoja opowieść, mówiłeś więc dalej, uśmiechając się jak dzieciak.

- Kiedy prawie wszystko ginie w pożarze buszu, akacje przeżyją... w pewnym sensie. Płomienie są dla nich dobre, a przynajmniej dla ich dzieci.

- A to nie jest niesprawiedliwe w stosunku do reszty roślin? - spytałam, usiłując zyskać czas na myślenie.

- Ogień zabija wszystko, by przeżyły akacje. Sprytne, w sumie bardzo ludzkie... zaczekać, aż wszystko zginie, zanim się pójdzie dalej.

Zacisnąłeś powieki i objąłeś drzewo za sobą, przyciskając do niego plecy. Otworzyłam pięść i spojrzałam w dół. Igła lśniła w słońcu. Patrzyłam, jak promienie

słoneczne tańczą na twojej twarzy, rozleniwiają cię. Wybrałam ten moment, pochylając się w twoją stronę. Gałązka trzasnęła pod moim kolanem. Zamarłam, przyczajona jak zwierzę. Ale ty się nie poruszyłeś.

- Może kiedy to wszystko się skończy, będziemy tylko my i akacje - mruknąłeś. - Bitwa między nami.

Dzieliły nas centymetry. Musiałeś mnie słyszeć, ale nie otworzyłeś oczu. Może myślałeś, że zmieniałam zdanie na twój temat. Może sobie wyobrażałeś, że kiedy otworzysz oczy, będę tuż obok ciebie, będę chciała, żeby nasze twarze się dotykały. Nawet oblizaleś wargi, zwilżając suche pęknięcia, przygotowując się.

Obróciłam igłę między kciukiem a palcem wskazującym. Wyciągnęłam ją drżącą ręką i zbliżyłam do twojej powieki. Przestałam oddychać, usiłując trzymać ją nieruchomo. Opanowałam drżenie dłoni. Potem opuściłam ostrze, aż ukłuło twoją delikatną skórę.

Natychmiast zesztyniałeś.

- Jeden ruch i wbiję - powiedziałam. - Wejdzie ci prosto w oko i prosto w mózg.

- Co to jest? - Zmarszczyłeś czoło. - To z maszyny do szycia, tak? - Kąciki twoich ust uniosły się nieco i zacząłeś się śmiać. - Czy to znaczy, że chcesz mnie zszyć? Jeśli tak, to pamiętaj, żeby ścieg był równy!

Ukłułam cię igłą w oko, nie mocno, ale dość, żebyś wiedział, że nie żartuję. Dość, żebyś przestał się śmiać. Wzdrygnąłeś się, uderzając tyłem głowy o drzewo.

- Kluczyki do samochodu. Już - zażądałam. - Daj mi je, to przestanę.

- Oczywiście, chcesz uciec. Myślałem, że to już mamy za sobą. - Westchnąłeś. - Pozwól, żebym pojechał z tobą.

- Nie.

Ostrożnie otworzyłeś drugie oko. Odnalazłeś moje spojrzenie.

- Gem, umrzesz tam. Pozwól mi iść z tobą.

- A niby po co? Ja chcę od ciebie uciec!

Dalej na mnie patrzyłeś. Zastanawiałam się, czy będziesz próbował mnie przestraszyć, grozić mi, co zrobisz, jeśli ja nie zrobię tego, czego ty chcesz. Utrzymywałam nacisk na twoją powiekę.

- Powiedz mi, gdzie jest kopalnia.

- Zaufaj mi - szepnąłeś. - Nie może tak być.

- Owszem, może. Powiedz, gdzie jest ta kopalnia? Gdzie są ludzie?

Drugą ręką przesunęłam po twojej koszuli, sprawdzając kieszenie na piersi. Potem sprawdziłam szorty. Nie bronileś się. Może ci się podobało, że cię obmacuję, a może tego

dnia nie miałeś siły się kłócić. Znalazłam jeden kluczyk do samochodu na twoim lewym udzie, w dolnym rogu kieszeni szortów. Chwyciłam go mocno. Nie wiedziałam, co robić dalej. Powinnam wciąż przyciskać igłę do twojego oka i zmusić cię, żebyś poszedł ze mną do samochodu? Ukłuć cię naprawdę? Czy po prostu uciekać?

W końcu załatwiłeś to za mnie. Znowu zacząłeś się śmiać. Sięgnąłeś i chwyciłeś mnie za rękę. Zanim się zorientowałam, odciągnąłeś igłę od swojego oka. Spojrzałeś na mnie, teraz już obojgiem oczu, mocno ściskając mój nadgarstek.

- Nie bądź żałosna - powiedziałaś wyraźnym, opanowanym głosem. - Gem, jeśli jesteś naprawdę tak zdesperowana, to idź. Zobaczysz, jak daleko dotrzesz.

Nie było mnie, zanim zdążyłeś dokończyć zdanie. Ścisnęłam kluczyk z całej siły, myśląc, że zaraz zaczniesz mnie gonić, powalisz mnie na ziemię tymi swoimi silnymi ramionami. Nie oglądałam się. Przebiegłam prosto przez łobodę, kolczaste liście podrapały mi nogi. Gałązka zaczepiła się o moje szorty, zabrałam ją ze sobą. Ledwo to poczułam. Przeskoczyłam niewielką termitierę. Widziałam twój samochód, zaparkowany tuż obok stodoły do malowania, ustawiony maską w stronę pustyni. Miałam tylko nadzieję, że coś zostawiłeś w bagażniku... wodę, zapasy, paliwo. Przemknęłam przez dziurę w zagrodzie wielbłądźcy. Wstała i pokłusowała w moją stronę. Ale ja przebiegłam obok.

- Zegnaj, mała - wydyszałam. - Przepraszam, że nie mogę cię zabrać.

Przez parę metrów biegła obok mnie, robiąc jeden krok na trzy moje. Chciałam ją wypuścić, ale nie mogłam ryzykować straty czasu.

Wreszcie dotarłam do samochodu i wcisnęłam kluczyk w zamek w drzwiach. Nie obrócił się. Za sztywny. Albo to nie był właściwy klucz. Kręciłam nim na boki, omal go nie złamałam. Potem uświadomiłam sobie, że drzwi i tak nie są zamknięte. Otworzyłam je, zaskrzypiały głośno, sztywno zamocowane na zawiasach.

Obejrzałam się. Błąd. Szedłeś od Samotnych w moją stronę, machając ramionami i czerwonym koszykiem. Nie śpieszyłeś się. Chyba zakładałeś, że nie umiem prowadzić, wyglądałeś na przekonanego, że nie ucieknę. Ale ja wiedziałam, że mogę to zrobić. Wcisnęłam się na siedzenie kierowcy i zatrzasnęłam drzwi. Włożyłam kluczyk do stacyjki. Moje stopy były daleko od pedałów, ale wajcha do przesuwania fotela była tak zapchana piachem, że nie dało się tego zmienić. Usiadłam na samym brzegu siedzenia. Kierownica była tak rozgrzana, że aż parzyło i nie mogłam długo utrzymać na niej rękę. W tym samochodzie po prostu nie było powietrza. Tylko gorąc.

Usiłowałam sobie przypomnieć, co mówił tata: przekręć kluczyk, stopa na sprzęgle, jałowy bieg. A może na jedynkę? Obejrzałam się na ciebie. Szedłeś teraz szybciej, wołając coś do mnie, ale nic nie mogłam zrozumieć. Minąłeś zagrodę wielbłąda.

Przekręciłam kluczyk. Pojazd ożył i zrobił ogromną żabę na piasku, ale silnik nie zgasł. I w tamtej chwili, kiedy szarpnął do przodu, już myślałam, że mi się udało. Wydostanę się stąd! Potem stopa mi się poślizgnęła i samochód zatrzymał się. Zgasł. Uderzyłam klatką piersiową o kierownicę.

- No rusz się! - krzyknęłam, waląc w nią pięścią. Byłeś jakieś dziesięć metrów ode mnie, pewnie mniej. - Ruszaj!

Ty też coś krzyczałeś. Deptałam pedały, aż cała się zakołysałam, niemal siłą woli usiłując zmusić samochód do jazdy. Coś mokrego spływało mi po policzkach, pot albo łzy, może i krew. Ty wyciągałeś do mnie ramiona, jakby błagalnie.

- Dlaczego, Gemmo? - mówiłeś. - Po co to robić?

Ale ja wiedziałam dlaczego. Bo to była moja jedyna szansa, bo nie wiedziałam, czy inaczej kiedykolwiek opuściłabym to miejsce.

Wrzuciłam z powrotem luz. Przekręciłam kluczyk. Nie wiem, jak byłam w stanie sobie to wszystko przypomnieć. To było tak, jakby jakaś inna część mnie przejęła dowodzenie, bardziej dorosła, logiczna część, która pamiętała o takich rzeczach. Wcisnęłam gaz, nie za mocno. A silnik nie zgasł, mrucał tylko, czekając. Kiedy cię obserwowałam podczas wyprawy po wielbłąda, powoli zwalniałeś sprzęgło. Spróbowałam zrobić to samo, drugą nogą mocniej wciskając gaz. Samochód ryknął. Ścisnęłam kierownicę, łapiąc równowagę na brzeжку fotela. Zbliżałeś się coraz szybciej.

Nagle do ciebie dotarło, że rzeczywiście może mi się udać. Ruszyłeś w moją stronę biegiem, twoja twarz wykrzywiła się we wściekłym okrzyku. Rzuciłeś czerwonym koszykiem w auto - stuknął o dach. Zebrane rośliny poleciały na szybę. Ale pojazd nadal wył, szarpał się jak pies na smyczy, czekając na ucieczkę. Zwolniłam sprzęgło. Usiłowałam być delikatna, robić to tak jak ty, tymczasem ruszyłam przez piasek, paląc gumę tak, że moi koledzy byliby ze mnie dumni. Wrzasnęłam tak głośno, że dziwne, iż nie usłyszały mnie ekipy poszukiwawcze.

Ale ty usłyszałeś. Twoja twarz była tuż przy oknie, twoje ręce przyciśnięte do szyby i szarpiące drzwi, spojrzenie twarde. Wcisnęłam gaz mocniej, samochód pokicał przez piasek. Czułam, jak wirują opony. Rzuciłeś się na maskę, próbując złapać za boczne lusterko. Udało ci się.



- Gemmo, nie rób tego! - krzyczałeś głosem twardym i rozkazującym. - Nie możesz tego zrobić!

Szarpnęłam kierownicą, lecz nie puściłeś. Pociągnąłeś za klamkę, drzwi się trochę otworzyły. Sięgnęłam i wcisnęłam zamek. Sfrustrowany uderzyłeś dłonią w okno. Znowu nacisnęłam na gaz, a ty ruszyłeś biegiem koło samochodu, ciągle trzymając się lusterka. Ciągnąłeś za nie, jakbyś myślał, że sama twoja siła wystarczy do zatrzymania pojazdu. Wcisnęłam pedał gazu aż do podłogi. To wystarczyło. Z krzykiem poleciałeś na piasek; boczne lustro urwało się, zwisało teraz na kilku drutach i obijało o karoserię. Słyszałam z tyłu twoje krzyki; twój głos był ochrypły i pełen desperacji.

A przede mną była otwarta przestrzeń. Przekręciłam kierownicę i skierowałam się w stronę cienia wzgórz na horyzoncie. Przy skręcie samochodem zarzuciło. Silnik wył, ledwo sobie radząc z piaskiem.

- Proszę - szepnęłam. - Proszę, nie utknij.

Zwiększyłam obroty, żeby to zrekompensować. Spojrzałam w tylne lustro. Stałeś, nadal krzycząc, z ramionami uniesionymi w moim kierunku. Potem ruszyłeś za mną biegiem, młócąc powietrze pięściami jak szaleniec.

- Nie! - krzyczałeś. - Gemmo, pożałujesz tego! - Zdjąłeś czapkę i rzuciłeś ją za samochodem. Potem się pochylałeś. Podnosiłeś kamienie, patyki, cokolwiek ci wpadło pod rękę, i też nimi rzucałeś. Słyszałam stuknięcia, kiedy parę kamieni trafiło w bagażnik. Twoje krzyki były szalone, jak u dzikiego zwierzęcia... jakbyś stracił panowanie nad sobą. Zacisnęłam zęby i dalej wciskałam pedał. Potem kamień odbił się od opony i autem zarzuciło. Zerknęłam w lustro. Rzucałeś pochylony, celowałeś prosto w opony, usiłowałeś je przedziurawić. Ale ja nadal wciskałam gaz w podłogę, coraz bardziej się od ciebie oddalając.

Nie pozwolę, żebyś mnie zatrzymał.

Samochód podskakiwał na skałach i kępach spinifeksu. Jakoś udawało mi się trzymać go w linii prostej i jechać w stronę tych odległych cieni, gdzie, jak myślałam, znajdowała się kopalnia. Należało pewnie zmienić bieg, ale nie ufałam sobie. Musiałam najpierw zaczekać, aż te budynki będą daleko, daleko za mną, żeby cokolwiek zrobić. Pojazd wyteżał się i jęczał. Ty też wciąż musiałeś go słyszeć - każdy rozpaczliwy jęk sprzęgła musiał cię rozszarpywać na kawałki.

Kiedy tak jechałam, grupka budynków zaczęła maleć w oddali, w końcu nawet przestałam widzieć w lusterku twoją postać. Wtedy zaczęłam wrzeszczeć, ale Bóg jeden wie, co krzyczałam. Udało mi się! Byłam tutaj, sama... bez ciebie! Bez kogokolwiek. Byłam

wolna. Wrzeszczałam razem z autem, mknąc przez krajobraz. Jechałam w pustkę... w stronę wszystkiego.

Parę razy koła za bardzo tonęły w piasku i samochód zaczął zwalniać. Zwiększałam obroty jak najbardziej, tak samo jak ty, żeby znów go rozruszać. Za każdym razem miał dość mocy, żeby się wydostać. Zmieniałam bieg, kiedy poczułam spaleniżnę z silnika. To było jak najszybszy kurs jazdy na świecie. Tata dostałby zawału, gdyby siedział tu ze mną. Popatrzyłam na wskaźnik paliwa. Bak był do połowy pełny, ale wskazówka utknęła pośrodku skali - czyli też do połowy pusty. Wskaźnik temperatury również nie wyglądał najlepiej, podskakiwał, zbliżając się coraz bardziej do czerwonej strefy. To chyba znaczyło, że maszyna się przegrzewa. Jedno wiedziałam na sto cholernych procent - naprawdę nie robiłam dobrze twojemu samochodowi.

Próbowałam nie zwracać uwagi na to, co działo się na tablicy rozdzielczej, i jechałam dalej. Patrzyłam prosto przed siebie, skupiając się na tych cieniach mających na horyzoncie. Teren ciągnął się i ciągnął w nieskończoność. Żadnych śladów kół. Żadnych linii telefonicznych. Nie było tu nic, co by świadczyło o jakiegokolwiek obecności ludzi. Tylko ja.

W końcu dotarłam do cieni. Ale one nie okazały się tą kopalnią, którą miałam nadzieję zastać, ani nawet pasmem żyznych wzgórz. Były długimi, wysokimi pagórkami piachu. Wydmy, wyrzeźbione przez wiatr, trzymające się kupy dzięki kępom roślinności. Wiedziałam to na długo przedtem, zanim do nich dojechałam, ale i tak kierowałam się w tę stronę. Nie wiem dlaczego, pewnie myślałam, że to lepsze, niż pędzić na oślep w tę płaskość. Miałam nadzieję, że po drugiej stronie będzie coś innego. Kiedy znalazłam się bliżej, wydmy wznosiły się nade mną. Nie mogłam przez nie przejechać. Samochód już ledwo zipsał, w każdej chwili mógł utknać. Będę musiała je objechać. Otarłam twarz ramieniem, ale to tylko pogorszyło sprawę. Cała czułam się rozpalona i mokra, chociaż okno było otwarte. Plecy pod Tshirtem miałam tak mokre, jakbym wpadła do basenu.

Wysunęłam głowę przez okno i skupiłam się na tym, by samochód się poruszał. Teren był coraz bardziej grząski. Zwiększyłam obroty, przez co piach spod opon poleciał mi w twarz. Samochód zaczynał mieć problemy, pod kołami zbierał się piasek. Próbowałam skrócić kierownicą w drugą stronę, z nadzieją, że tam będzie o co się zaczepić, ale to był błąd. Opony trafiły na świeży piach na brzegu mojego śladu i zatrzymałam się całkowicie. Skręciłam z powrotem i spróbowałam raz jeszcze. Nic z tego. Nieważne, jak mocno wciskałam gaz, samochód nie chciał już jechać do przodu, tylko tonął coraz bardziej w piasku. Wciskałam pedał, aż znowu poczułam spaleniżnę. Potem wysiadłam i spróbowałam go popchnąć. Ale był cięższy niż słoń. Utknęłam na dobre.

Krajobraz zaczął mi się zamazywać przed oczami, jakbym patrzyła na niego przez wodę. Spinifeks wił się jak wodorosty. Zamknęłam oczy. Ale nadal wszystko wirowało. Oparłam się o gorącą karoserię i zjechałam po drzwiach, aż klapnęłam na piasek. Głowa mi pękała, język miałam spuchnięty i wyschnięty. Zwinęłam się obok opony, ramiona aż mnie łaskotały od gorąca czarnej gumy. Słońce paliło. Krople potu spływały mi po twarzy i na oponę. Sięgnęłam w ciemniejszy obszar pod samochodem. Zastanawiałam się, czy tam nie wleźć. Chciałam być w tym momencie małym owadem, czymś, co może się zakopać w gorący piasek i znaleźć pod nim chłód. Potrzebowałam wody.

Wtedy zwymiotowałam, tylko malutka struzka niczego spływająca po oponie. Chciałam zwrócić więcej, ale nic nie wyleciało. Wszystko wirowało i wirowało.

Kiedy otworzyłam oczy, słońce trochę się przesunęło. Mój wzrok nie był już taki zamglony. Skupiłam się na drzewach wokół mnie - było ich trzy. Słyszałam, jak suche liście ocierają się o siebie, jak muchy bzyczą wokół ich pni.

Dowlókłam się do bagażnika. Zanim go otworzyłam, złożyłam ręce i pomodliłam się. Nigdy tak naprawdę nie wierzyłam w Boga, ale wtedy obiecałam mu wszystko. Będę kochać Boga najbardziej na świecie, jeżeli tylko w bagażniku będą woda i jedzenie, a także coś, co mi pomoże wydostać auto z piasku.

- Proszę - szepnęłam. - Proszę.

Wymacałam zamek i otworzyłam go. Była tam woda. Dwulitrowa pełna plastikowa butelka leżała na boku na samym środku. Złapałam ją, niepewnie ściągnęłam zakrętkę i wlałam sobie płyn do gardła. Był gorący, ale i tak łykałam go łapczywie. Trochę trysnęło mi na twarz i szyję. Byłam jak gąbka, wszystko wchłaniałam. Zmusiłam się do tego, żeby przestać, mimo że chciałam jeszcze. Już wypiłam prawie połowę. W bagażniku nie było wiele więcej. Ręcznik. Błazniana puszka benzyny, sądząc po zapachu. I jeden z twoich wielkich kapeluszy ze zwierzęcej skóry. Jakieś narzędzia do naprawiania samochodu. Ale jedzenia nie było. I niczego, co by mi pomogło ruszyć pojazd. Uznałam, że Boga jednak nie ma.

Wróciłam do auta i znowu je uruchomiłam. Ale koła tylko głębiej zagrzebywały się w piasku. Walnęłam pięściami w kierownicę. Potem przyszło mi do głowy, żeby rozejrzeć się wokół drzew - może były tam jakieś gałęzie, które mogłabym podłożyć pod opony. Gdyby samochód zyskał jakiś punkt oparcia, może to by wystarczyło. Ale drzewa były wysokie, a gałęzie poza moim zasięgiem. Szarpałam korę, lecz odpadały tylko małe kawałeczki.

Wtedy zobaczyłam krew. Przynajmniej na początku myślałam, że to krew... stwardniała, czerwona jak rubiny posoka spływająca po korze najbliższego drzewa. Rozejrzałam się szybko, ale dookoła nie było niczego ani nikogo. To wyglądało tak, jakby

krwawiło samo drzewo. Podrapałam krew paznokciami. Kruszyła się na kawałeczki, plamiąc mi palce. Powąchałam. Eukaliptus. To żywica eukaliptusa.

Wdrapałam się na wydmę. Moje stopy tonęły w miękkim piasku, mięśnie napinały się z całych sił. Jakieś stworzenia szeleściły w spinifeksach, kiedy przechodziłam obok. Zatrzymałam się na szczycie, osłaniając oczy, żeby się rozejrzeć. Po drugiej stronie nie było niczego innego. Żadnej kopalni, żadnych ludzi. Były tylko piasek, kamienie, drzewa i cienie wydm w oddali. Jak daleko widziałam, byłam tutaj jedynym człowiekiem. Objęłam się ramionami i dmuchałam chłodnym powietrzem na swoją rozpaloną skórę. Gdybym umarła tu, na tej wydmie, nikt by się o tym nie dowiedział. Nawet ty. Wróciłam do samochodu. Postanowiłam, że trochę się prześpię. Było za gorąco na myślenie.

Kiedy się obudziłam, księżyc był już na niebie. Leżałam na tylnym siedzeniu i patrzyłam na niego przez okno. Był pulchny i żółty jak te wielkie, okrągłe sery, które tata dostawał w pracy na święta. Wyrysowałam na nim palcem twarz - głębokie puste oczy, niżej leniwy uśmiech, krater, które wyglądały jak krótki zarost. To był przyjazny księżyc, chociaż taki odległy. Niebo dookoła niego było głębokim i czystym jeziorem. Gdyby wtedy był na księżycu astronauta, na pewno bym go zobaczyła. Może on mógłby spojrzeć w dół i też mnie zobaczyć...

Leżałam pod ręcznikiem, który znalazłam w bagażniku, ale i tak było mi zimno. Potarłam ramiona. Były różowe od słońca, schodziła z nich skóra. Było mi za zimno, żebym mogła dalej spać, przelazłam więc między siedzeniami na fotel kierowcy. Sięgnęłam do tyłu po ręcznik i zakryłam nim nogi.

Przekręciłam kluczyk, na tyle, żeby włączyć światła. Piasek był szary, nierzeczywisty i oświetlony - kolumna światła skierowana naprzód. To było jak coś, co mógłby zobaczyć umarły, tunel prowadzący do nieba. Na jego skraju dostrzegłam jakiś ruch. Mały długouchy gryzoń kopał przy korzeniach jednego z drzew. Zapatrzył się w światło, chwilowo oślepiony, a potem po prostu pokicał w ciemność.

Przekręciłam kluczyk do końca, pojazd zakasłał. Wciskałam gaz, aż kaszel zmienił się w ryk. Dźwięk był taki głośny pośród tej cichej nocy. Czy na pewno ktoś oprócz mnie byłby w stanie go usłyszeć? Zwolniłam sprzęgło, usiłując zmusić samochód do ruchu niemal samą siłą woli. I podjechał, troszeczkę. Przez sekundę czy dwie koła mierzyły siły z piaskiem, niemal znajdując zaczepienie, zanim ciężko opadły w wydrążoną przez siebie dziurę. Kopnęłam pedały.

- Głupi wrak!

Mój głos zabrzmiał tak głośno, że aż podskoczyłam. Położyłam głowę na kierownicy i wymruczałam hymn, którego uczyliśmy się w szkole. Ale nic mi nie odpowiedziało. Cisza przycupnęła wokół mnie - skulona, groźna jak wilk. Zastanawiałam się, co jest na zewnątrz, w tej czerni. Moje ciało zaczęło dygotać, wzrok się zamazał. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że płaczę.

Zebrałam tyle roślin, ile byłam w stanie znaleźć lub zerwać bez zbytniego ranienia sobie rąk, i wcisnęłam je pod opony, niestety, nadal nie udało mi się ruszyć samochodu. Koła po prostu wkręciły rośliny w piach, nadal nie miały się o co zaczepić. Spróbowałam znowu, tym razem z małymi kamieniami, ale to tylko pogorszyło sprawę, opony wkopały się głębiej. Gdybym miała kogoś jeszcze, kto popchnąłby samochód, podczas gdy ja wciskałabym gaz, może by się udało, ale sama nie miałam szans. Wsiadłam i kopnęłam koło parę razy, wiedziałam jednak, że sprawa jest przegrana.

Kiedy ruszyłam, już robiło się jasno. Niosłam butelkę wody, a na głowę wcisnęłam twój kapelusz. Opadał mi na oczy, był trochę za duży. Wiedziałam, że jeśli zechcę iść w dzień, będzie upał, ale nie miałam wielkiego wyboru. Nie mogłam zostać przy aucie, przecież nikt by mnie tam nie znalazł. A poza tym było wcześniej. I nadal chłodno.

Brnęłam przez piasek, mając wydmnę po prawej. Po chwili poczułam zmęczenie mięśni ud. Najpierw próbowałam iść szybko, pokonać jak największy dystans, zanim zacznie się upał. Ale on nadszedł i tak. Zauważyłam go, kiedy głęboki oddech zaczął przychodzić mi z trudem i gdy przy każdym kroku miałam wrażenie, że buty mam z ołowiu. Opuściłam głowę i skupiłam się na stopach... najpierw jedna do przodu, potem druga. Zaczynałam śmierdzieć - świeży pot mieszał się z tym wczorajszym, zaschniętym. Popijałam wodę. Wciąż było mi za mało, lecz nie pozwalałam sobie na więcej.

Szłam już jakiś czas, kiedy dotarło do mnie, że nie widzę drzew. Ani jednego. Najwyższa rzecz, jaką mogłam sobie obrać za cel w tym rdzawobrazowym krajobrazie, to była kępa spinifeksu. Zatrzymałam się, obróciłam i popatrzyłam na nieskończoność wokół mnie. Wszędzie nic, tylko piach. Jak ktokolwiek mógłby cokolwiek tu znaleźć? Usiadłam na ciepłej ziemi. Zwinęłam się w ciasny kłębek i kołysałam. Rozpłakałam się, a potem wściekłam na siebie za to... za marnowanie wody na lzy. Twarde ziarenka piasku przywarły do moich policzków i drapały je. Gdzieś dalej słyszałam wiatr, podnoszący ziarenka piasku i kręcący nimi. Pył wślizgiwał mi się do ust, przyklejał do zębów i języka. Ziemia mnie pokonała, ścierała na proch tak jak starła skały. Umrę. Byłam głupia, trzymając się tej nadziei, że gdziekolwiek dotrę.

Ale coś nie pozwalało mi się poddać. Jeszcze nie. Nie wtedy. Podniosłam się. Szłam dalej. Próbowałam myśleć o domu. Wyobraziłam sobie, że Anna idzie koło mnie, że mnie zachęca. Ale ilekroć odwracałam się, żeby na nią spojrzeć, znikła. Jednak pozostawał jej głos, krążył wokół mnie niczym lekki wietrzyk.

Wypiłam resztki wody. Potem oblizałam wylot butelki, wciskając język w szczeliny. Rzuciłam pustą butelkę w piasek. Przesunęłam do przodu jedną nogę, potem drugą. Szłam. Przez jakiś czas nie było źle. Ale potem słońce znalazło się wyżej i paliło mnie już prosto z góry. Zaczęłam się potykać. Upadłam. Podniosłam się. Znowu ruszyłam; czubki moich butów zostawiały bruzdy w piasku. Wyciągnęłam ręce i próbowałam się posuwać, chwytając powietrze. Ziemia mnie chciała, jej ramiona usiłowały mnie pochwycić. Nie mogłam się wiecznie opierać. Znow się potknęłam. Tym razem nie dałam rady się podnieść. Szłam dalej na czworakach.

Szarpałam koszulkę, zdzierając ją z siebie - musiałam coś zrobić, cokolwiek, by się ochłodzić. Potem zdjęłam buty. Zostawiłam je za sobą na piasku. A potem szorty. Łatwiej było czołgać się w bieliźnie. Udało mi się nawet wstać i przejść kilka kroków, zanim znowu upadłam.

Potem leżałam na piasku, twarzą do słońca, usiłując oddychać. Wszystko było takie jasne i białe. Przekręciłam się na plecy. Musiałam się ruszać. Wcisnęłam palce pod gumkę majtek i zsunęłam je. Kilka metrów dalej rozpięłam stanik.

Czołgałam się naprzód. Piasek drapał mi skórę, ale to mogłam wytrzymać. Było mi chłodniej. Jakoś udało mi się stanąć na nogi. Ledwo, ale udało się. Moje ciało chwiało się, głowa zakreślała kręgi w powietrzu. Mucha wleciała mi do nosa, rozpaczliwie poszukując wilgoci. Czułam, jak lezie dalej. Potem przyleciały kolejne. Roily się i siadały na mnie, jakbym już była padliną. Miałam je w uszach i w ustach, między udami. Na odgonienie ich zużyłabym zbyt wiele energii. Zamiast tego zrobiłam krok. Świat zawirował. Przez chwilę niebo było czerwone, piasek niebieski. Zamknęłam oczy. Zrobiłam kolejny krok. Skupiłam się na odczuwaniu ziarenek piasku pod stopami - gorących, ale nie ostrych. Szłam tak, naga, ślepa i pokryta muchami, po omacku. Nie wiedziałam już, dokąd idę. Nic już nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że się poruszam.

Jakiś czas później znow upadłam. Wtedy zrozumiałam, że już nie wstanę, cokolwiek bym robiła. Turlałam się na piasku, wcisnęłam w niego twarz. Chciałam być zwierzęciem, zakopać się głęboko, bardzo głęboko. Kopałam, usiłując wciągnąć swoje ciało pod powierzchnię, dotrzeć do chłodu. Ale wypociłam z siebie już całą siłę. Wszystko wypłynęło.

Piasek wszystko wchłonął. Leżałam tam, na pół zakopana w piasku. Zamknęłam oczy przed słońcem i zapadłam się w głąb.

Najpierw zapadły się palce stóp, potem nogi, ciało, w końcu głowa... w dół, w głąb, głęboko pod piasek. Spadałam między ziarenka. Spadałam przez ziemię i skałę, przez zwierzęce tunele, korzenie drzew i maleńkie owady, dalej, aż dotarłam na drugą stronę.

Leżałam w swoim łóżku, w domu. Oczy miałam zamknięte, ale słyszałam, jak ludzie rozmawiają. Telewizor był włączony. Poznałam głos jednego z prezenterów.

- A dzisiaj Londyn ma do czynienia z niezwykle pogodą - mówił. - Kolejna nadzwyczajna fala gorąca.

Kołodrę miałam podciągniętą aż do samej szyi. Nie mogłam jej zsunąć. Była jakby przyszyta do mojej poduszki, dusiła mnie gorącem. Czułam, jak pot zbiera mi się w dole pleców, osiada na włosach.

Czułam jakiś zapach. Kawa. Mama była w domu. Nasłuchiwałam jej. Stukała czymś w kuchni i nuciła jakąś głupią melodię. Chciałam iść do niej, ale nie mogłam wydostać nóg spod kołdry. Stopy kopały tylko w jej bok, byłam w pułapce. I oczy wciąż miałam zamknięte, jakby zaklejone. Zaczęłam wrzeszczeć:

- Mamo! Chodź tu!

Ale ona nie przychodziła. Tylko nuciła głośniej. Mimo to wiedziałam, że mnie słyszy. Kuchnia była obok mojego pokoju, a ściany cienkie. Znowu zawołałam:

- Mamo! Pomocy!

Na chwilę przestała stukać, niemal słuchała. Potem nastawiła radio, jakąś muzykę klasyczną, zagłuszając mój głos. Rzucałam się, usiłując wydostać się z łóżka. Ale nie mogłam niczego chwycić. Nocnego stolika nie było tam gdzie zwykle. Obok łóżka nie stało nic. Wciąż wrzeszczałam do mamy o pomoc. Ale ona tylko coraz głośniej nastawiała radio. A potem, nagle, zrozumiałam, dlaczego nie przychodzi. Zaszyła mi oczy i przyszyła mnie do łóżka. Chciała mnie uwięzić.

Następnie poczułam, jak z materaca wyciągają się ramiona. Uniosły się z obu stron i owinęły wokół mojego brzucha, splatając się pośrodku. Były silne i brązowe, całe podrapane. Przeciągnęły mnie przez materac, odciągnęły od pozszywanej pościeli. Przeciągnęły mnie przez podłogę mojego pokoju, betonowe fundamenty domu i przez ciemną, miękką ziemię pod spodem. Tam mnie już tylko obejmowały, tuląc do piersi ziemi.

Kiedy się obudziłam, było chłodno. Wręcz za chłodno. Na całym moim ciele leżały płachty ociekające wodą. Z każdej strony warczał wentylator. Na moim czole leżała flanelka, woda kapiała mi z niej na policzki. Obróciłam się trochę. Kiedy to zrobiłam, całe ciało mnie

zapiekło, a jedna ze szmat spadła mi z ramienia, odsłaniając mocno poparzoną skórę. Była ona czerwona i plamista, z pęcherzami tu i tam.

Bez flanelki moje ramię natychmiast znowu zrobiło się gorące. Twoja ręka sięgnęła więc po szmatkę, podniosła ją i położyła mi z powrotem na ramieniu, delikatnie wyciskając wodę na skórę.

- Dziękuję - szepnęłam; mój głos ledwo się wydobywał z obrzmiałego gardła. To jedno słowo bolało mocniej, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

Pokiwałeś głową, a potem oparłeś ją na boku łóżka, kilka centymetrów od mojego ramienia. Zasnęłam.

Kiedy się obudziłam po raz kolejny, trzymałeś przy moich wargach kubek.

- Pij - zachęcałeś mnie. - Twoje ciało tego potrzebuje.

Odsunęłam się od ciebie, zakasłałam. Ból przeszył moje kończyny. To było tak, jakby skóra pękała mi przy każdym ruchu, a rany się otwierały. Spojrzałam w dół. Przykrywało mnie cienkie prześcieradło. Pod spodem byłam naga, przynajmniej tak mi się zdawało. Moja skóra była zbyt obolała, żebym mogła mieć pewność. Ale czułam, że nie mam już na sobie zimnych szmat. Spróbowałam poruszyć nogami, lecz były uniesione, przywiązane do łóżka miękkim materiałem. Pociągnęłam.

- Miałeś tego nie robić, obiecałeś - szepnęłam.

Wycisnąłeś flanelę, kapiąc wodą na moje czoło.

- Masz poważne poparzenia - powiedziałeś. - Musiałem podnieść ci nogi, żeby zmniejszyć opuchliznę. Wiem, co mówiłem. - Podeszedłeś do moich stóp, uniosłeś trochę prześcieradło, żeby na nie spojrzeć. - Jak chcesz, to je odwiążę. Szybko się goi.

Kiwnęłam głową. Delikatnie chwyciłeś moją prawą stopę. Odwiązałeś ją i opuściłeś na materac. To samo zrobiłeś z drugą i obie przykryłeś prześcieradłem.

- Chcesz więcej chłodnych szmatek? - spytałeś. - Boli cię coś?

Znowu pokiwałam głową. Wyszedłeś z pokoju, bose stopy przyklejały ci się do drewna. Spojrzałam na sufit, wypróbowując kolejne części ciała, sprawdzając, która z nich boli najbardziej. Usiłowałam poskładać wszystko do kupy. Uciekałam. Zapadałam się w piasek. A potem?

Ty tam byłeś. Czułam, jak obejmują mnie twoje ramiona, podnoszą, przytulają. Szeptales coś - czułam twój oddech na karku, twoją dłoń na czole. Podniosłeś mnie delikatnie, jakbym była listkiem, którego nie chciałeś zgnieść. Niosłeś mnie dokąds. Ja zwinęłam się w twoich ramionach, mała jak kamyczek. Ochlapałeś mnie wodą. A potem nic. Czarna dziura. Nic więcej.



Wróciłeś ze szmatkami moczącymi się w misce.

- Chcesz sama czy ja mam to zrobić? - Wycisnęłaś wodę ze szmatek i zaczęłaś podnosić prześcieradło.

- Ja to zrobię. - Wyrwałam ci je. Uniosłam materiał i spojrzałam na swoje ciało. Spora część skóry była czerwona i lśniąca, gdzieś tam mocno się łuszczyła. Dotknęłam bąbla na klatce piersiowej. Dookoła niego skóra wyglądała na mokną. Położyłam te wilgotne szmatki, które wykręciłeś, w najgorszych miejscach i od razu zrobiło mi się lepiej. Jakby moja skóra odetchnęła, kiedy dotknęły jej kawałki materiału, a potem zaczęła wchłaniać wodę. Trudno było dostać się do spalonych części tak, żebyś nie zobaczył mnie nago, ale ty pewnie i tak już wszystko widziałeś. Zadrzałam, wyobrażając sobie, jak niesiesz mnie na rękach. Jak mnie dotykałeś w takim stanie? Miałam odwagę zapytać?

Po chwili dałam spokój ze szmatkami. Położyłam się z powrotem na poduszce.

- Jak długo tu jestem? - spytałam. - W tym stanie?

- Dzień czy dwa. Jeszcze parę dni, zanim wszystko się zagoi. Szczęście, że cię znalazłem na czas.

- A jak mnie znalazłeś?

- Szedłem po śladach. Luzik. - Oparłeś łokcie na materacu, za blisko mnie. Ale odsunięcie się od ciebie byłoby zbyt bolesne. Wzięłaś kubek wody i podałaś mi. - Wziąłem wielbłąda.

- Jak?

- Jechałem na niej. - Uśmiechnęłaś się lekko. - Jest całkiem szybka. - Coś wyschniętego osiadło w kącikach moich warg. Polizałam to. Pozwoliłam ci nalać mi wody do ust.

- Niedługo poczujesz się lepiej - szepnęłaś. - Jeśli ci się poszczęści, nie będzie nawet blizn.

Woda łaskotała mnie w gardle. Połknęłam więcej. W tej chwili nie była ani brązowa, ani pełna paprochów. Była jak najlepszy szampan. Pozwoliłam, żeby jej nadmiar polał mi się na szyję. Pomyślałam o samochodzie, zakopanym w piachu.

- Jak wróciliśmy?

- Najpierw cię niosłem, a potem wsadziłem na wielbłąda. Szliśmy nocą. - Ruchem głowy wskazałaś kubek. - Chcesz jeszcze?

Zaprzeciżyłam.

- A samochód?

- Nie znalazłem go. Kiedy się na ciebie natknąłem, kierowałaś się w moją stronę.

- W stronę...?

Pokiwałaś głową.

- Uznałem, że samochód pewnie utknął albo padł, a ty wracasz do domu.

- Do domu?

- Tak. - Twoje usta drgnęły. - Z powrotem do mnie.

Jak mówiłeś, dość szybko poczułam się lepiej. Na drugi dzień dałeś mi garstkę orzechów i jagód. Jagody smakowały gorzko, a orzechy były suche i słodkie, w dodatku ani jedno, ani drugie nie przypominały niczego, co znałam. Ale i tak je zjadłam. Sięgnęłam między materac a stelaż łóżka. Nóż wciąż tam był. Policzyłam nacięcia na drewnie. Dwadzieścia pięć. Lecz ile dni minęło od tego czasu? Zrobiłam cztery kolejne.

Następnego dnia, kiedy zrobiłam trzydzieste nacięcie, zaczęłam się zastanawiać nad swoim okresem... dlaczego go jeszcze nie ma. Może po prostu wyschłam jak ziemia wokół mnie, moje ciało musiało zachować całą wilgoć dla siebie.

Wstałam i ubrałam się, ale materiał palił, kiedy dotykał poparzonej skóry. Zaciśnięłam zęby i pokuśtykałam na werandę. Nawet podeszwy stóp, gdy je stawiałam na podłodze, bolały, do tego musiałam cały czas trzymać koszulkę jak najdalej od ciała.

- Powinnaś zostać nago - powiedziałeś na mój widok. - Mniej by bolało.

Dałam sobie spokój z trzymaniem koszulki.

- Jest okej.

- Proszę. - Podałeś mi swoją szklanekę wody.

Popatrzyłam na do połowy wypity płyn.

- Sama sobie wezmę.

Ledwo dokuśtykałam do kuchni. Nalałam sobie wody, a potem wyszłam przez kuchenne drzwi na dwór, po stronie domu najdalszej od ciebie. Stałam przy ścianie, trzymając się w cieniu. Widziałam stąd wielbłądźcę, odpoczywającą w kącie swojej zagrody. Głowę miała spuszczoną, a obroża zwisała jej luźno koło uszu. Teraz wyglądała tak ulegle, jakbyś wyssał z niej całą dzikość. Osłoniłam oczy, przyglądając się horyzontowi, aż zobaczyłam cienisty zarys wydm: wzgórz, o których sądziłam, że kryją kopalnię. Wydawały się tak odległe.

Opuściłam się na skrzynkę przed drzwiami, kiedy powoli zaczęło do mnie docierać, że... Dotąd udawało mi się podtrzymywać iskierkę nadziei - nadziei, że uda mi się uciec. Ale nagle zdałam sobie z czegoś sprawę. Ten widok na piasek i nieskończoność... to było moje życie. O ile nie zawieszysz mnie do jakiegoś miasta, to będzie wszystko, co jeszcze zobaczę. Żadnych rodziców, żadnej szkoły. Żadnego Londynu. Tylko ty. Tylko pustynia.

Oparłam kubek o czoło, a potem zlizalam z jego boku kroplę wody. Przez chwilę pottrzymałam język na chłodnej powierzchni. Może w końcu uda mi się cię zmęczyć? Może zabierzesz mnie z powrotem? Czy nie było przypadków, że porwane dziewczyny wychodziły na wolność, nawet po latach? Nie było jakichś ocalań? Ale jak długo to potrwa?

Po lewej zauważyłam jakiś ruch.

Byłeś skulony przy rogu domu, pod oknem mojej sypialni. Ramiona miałeś spuszczone w stronę czegoś, odskakiwałeś do tyłu i na boki. Spojrzałam uważniej. Był tam wąż. Sięgałeś do niego, próbując go złapać, a potem odsuwałeś się, kiedy atakował. Głowę miał uniesioną, rzucał ci wyzwanie. To było coś jak taniec godowy.

Ale ty byłeś szybszy. Skoczyłeś w stronę zwierzęcia, co je zdezorientowało, po czym je chwyciłeś. Wąż wił się, usiłując odwrócić szeroką, różową paszczę w twoją stronę. Jednak twój uścisk był mocny. Podniosłeś gada z piasku i trzymałeś przed sobą. Twoje wargi poruszały się, mówiłeś do niego, oddalony tylko o centymetry od jego jadowitych kłów. Potem ruszyłeś, niosąc go.

Minąłeś mnie, kierując się prosto do drugiego baraku. Tyłem wszedłeś w drzwi; wąż próbował owinać ogon dookoła twojego nadgarstka.

Zdrzemnęłam się na kanapie w salonie, obudziłam się dopiero wtedy, kiedy światło zmieniło się z ostrego i białego w stłumione i złociste. Obserwowałam na ciemnej podłodze promień, który nadawał jej miedziany kolor, przesuując się po deskach. Potem snułam się po domu. Ciebie nigdzie nie było. Przebrałam się - znalazłam w szafce w przedpokoju zgniecioną wielką koszulkę z napisem „Ratujmy Ziemię, nie siebie”. Była na tyle luźna, że nie drażniła zbyt mocno oparzeń. Później wróciłam na skrzynkę przed kuchennymi drzwiami i czekałam.

Rządek mrówek przemaszerował mi przez kostki, a z góry słychać było krzyki ptaków. Moja poparzona skóra swędziała od upału. Podciągnęłam koszulkę, żeby zakryć kark. Rozprostowałam nogi. Po jakimś czasie poszłam w stronę budynku, przy którym widziałam cię ostatnio. Kiedy się zbliżyłam, zauważyłam, że zostawiłeś uchylone drzwi, kłódka wisiała otwarta. Próbowałam zajrzeć w ciemność w środku, ale dostrzegałam tylko niewyraźne cienie. Niczego nie słyszałam. Popchnęłam drzwi, wpuszczając do wewnątrz słońce. Pomieszczenie pełne było równo ułożonych pudeł. Przez środek prowadziła między nimi ścieżka.

- Tyler?! - zawołałam.

Żadnej odpowiedzi. Nasłuchiwałam. Wydawało mi się, że słyszę jakiś szmer, gdzieś za pudłami.

- Tyler? To ty?

Zrobiłam krok do środka. Chłodna ciemność w pomieszczeniu była bardzo miła dla mojej skóry. Zrobiłam kolejny krok, żeby przeczytać napisy na niektórych pudłach: jedzenie (pószki), jedzenie (suhe), narzędzia, kable elektryczne... Napisy były zrobione ołówkiem, pismo wiło się jak pajęczyna. Twoje, jak się domyśliłam. Robiłeś straszne błędy. Obejrzałam się na dom. Wszystko było takie nieruchome, bardziej jak teatralne dekoracje niż prawdziwe życie. Przesunęłam palcami po paru innych pudłach, zgarniając przy tym kurz: zapasy medyczne, koce, renkawice... Szłam wzdłuż pudeł. To było takie ciekawe, obserwować, co przygotowałeś, oglądać, co twoim zdaniem jest nam niezbędne do życia. Liny, narzędzia, ogrud, szycie, kobieca higiena... pomyślałeś o wszystkim. Im dalej szłam, tym głośniejsze stawały się dochodzące mnie odgłosy. Były stłumione i pełne wahania, bardziej jakby to było zwierzę niż ty.

- Halo?! - spróbowałam znowu. - Tyler?!

Ścieżka się rozszerzyła i zamieniła w placyk. Wcisnęłam się tu bokiem między pudłami. Odgłosy stały się teraz głośniejsze, dobiegały zewsząd. Obróciłam się. Z każdej strony stały klatki, od podłogi aż na wysokość mojej głowy. Niektóre były ze szkła, inne z drutu. W środku coś się ruszało, szeleszcząc cicho. Jakies stworzenia? Pochyliłam się, żeby spojrzeć.

Popatrzyły na mnie maleńkie oczka. Zwinięty w kłębek czarny wąż leniwie podniósł głowę, a pajak wielkości mojej dłoni przebiegł przez swoją klatkę. Cofnęłam się w stronę pudeł. Oddychając głęboko, przyglądałam się stamtąd klatkom; chciałam się przekonać, czy wszystkie drzwiczki są pozamykane. Skorpion uniósł ogon, grzechocząc ostrzegawczo. Nogi ugięły się pode mną. Tych klatek musiało być co najmniej dwadzieścia wokół mnie. Wewnątrz były głównie węże i pająki, parę skorpionów, niektóre klatki wyglądały na puste. Dlaczego tu stały? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Mój wzrok spoczął na srebrzystobrazowym wężu. Wyglądał tak samo jak ten, którego złapałeś dziś rano. Ze złością tłukł ogonem, obserwując mnie, a jego język pojawiał się raz za razem niczym sztylet.

Zmusiłam się, by oddychać. Drzwiczki do klatek były pozamykane, raczej nic nie mogło się z nich wydostać.

Stworzenia nie mogły się do mnie zbliżyć. Ale i tak słyszałam, jak przebierają odnóżami, tłuką ogonami i pelzają. Od tych hałasów serce przestawało mi bić.

Oparłam się o pudła, uspokoiłam się i poszłam z powrotem ścieżką w kierunku wyjścia, po omacku. Ogrud, koce, alkohol...

Zatrzymałam się przy tym ostatnim. Stałam na palcach i spojrzałam na wieko. Taśma klejąca była luźna, ledwo trzymała karton. Obejrzałam się na otwarte drzwi, gotowa wyskoczyć na światło słońca, jeśli będzie trzeba... gdyby jakieś stworzenie szło w moją stronę. Potem pociągnęłam pudło do siebie; butelki brzęknęły, kiedy się poruszyły. Pociągnęłam, aż rozkleiły się boki. Odetchnęłam i włożyłam rękę do środka. Palce mi drżały ze strachu. Zastanawiałam się, co jeszcze może się tam kryć. Czekałam na miękkie dotknięcie włochatych odnóży na dłoni. Złapałam pierwszą lepszą butelkę, jaka mi wpadła w rękę, i wyciągnęłam ją. Kichnęłam, gdy sypnął się na mnie kurz.

Bundaberg Rum. Jednolitrowa szklana butelka. Tym mogłabym narobić trochę szkody. Doprowadzić jedno z nas do nieprzytomności. Wzięłam ze sobą butelkę i wyszłam z budynku, zadowolona, że ją mam. Przymknęłam za sobą drzwi, tak jak je zastałam - z otwartą kłódką.

Zatrzymałam się w połowie drogi do domu, rozglądając się za wielbłądźcą. Nie było jej w zagrodzie, nie widziałam jej też w pobliżu Samotnych. Może pasła się gdzieś za skałami. Słońce właśnie zaczynało zachodzić, pokrywając wszystko brzoskwinowym blaskiem. Niedługo zrobi się już całkiem ciemno.

Poszłam prosto do swojego pokoju i schowałam butelkę pod poduszką. Potem siedziałam przez chwilę, nasłuchując. Docierały do mnie tylko trzaski drewna, kiedy dom wytracał ciepło. Zrobiłam jeszcze jedno kółko po pokojach w poszukiwaniu ciebie, a potem wyszłam na werandę. Słońce chowało się już za horyzontem i szybko (zawsze to się działo tak szybko) zrobiło się ciemno. Patrzyłam na znikające światło, gdy piasek powoli zmieniał kolor z fioletowego na szary, a potem czarny. Nadal dostrzegałam większość konturów wokół domu: baraki, przyczepę, Samotne. Ale twojego kształtu tam nie było, ani wielbłąda.

Nie wiedziałam, jak włączyć generator, więc zamiast tego wzięłam jedną z latarni. Odkręciłam szklany klosz, jak ty przedtem, i powąchałam gruby bawełniany knot w środku. Pachniał, jakbyś niedawno nasączył go paliwem, zapaliłam go więc i przykręciłam klosz. Światło! Byłam z siebie dumna, że mi się udało. Przekręciłam gałkę z boku, żeby zwiększyć płomień, i zaniósłam latarnię do salonu.

Siedziałam na kanapie i skubałam dziurę, z której wypadła wyściółka. Moje ciało było nieruchome i napięte, nasłuchiwałam najcichszego dźwięku. Mała część mnie zastanawiała się, czy wszystko prowadziło do tej chwili - czy w końcu spełnisz swoją największą i ostateczną fantazję i mnie zabijesz. Może czekałeś, aż się zrobi całkiem ciemno, nim zaczniesz. Nasłuchiwałam twoich kroków na werandzie, twojego kaszlu w ciemności.

Gdyby to był horror, w tej chwili zadzwoniłby telefon, żeby mi powiedzieć, że stoisz na zewnątrz i mnie obserwujesz.

Ale inna część mnie martwiła się, czy coś ci się przypadkiem nie stało.

- Przestań się wygłupiać - powiedziałam do siebie głośno.

Wydawało mi się, że czekam całą wieczność, zanim wróciłam do swojego pokoju, niosąc latarnię. Zamknęłam drzwi i przyciągnęłam przed nie komodę. Zasłony zostawiłam rozsunięte, wypatrywałam cieni na zewnątrz. Ale księżyc nadal był nisko i wszystko było ciemniejsze niż zazwyczaj. Podłożyłam sobie poduszkę pod plecy i oparłam się o nią. Obserwowałam twarze z cieni, powykrzywiane i nierówne, rzucane na ścianę przez światło latarni. Wyjęłam butelkę rumu. Potem wzięłam ją za szyjkę i sprawdziłam, jak nią uderzać, jeśli będzie trzeba. Dotknęłam nią czoła, wyobrażając sobie, jak zadałabym cios... sprawdziłam jej wagę. Jakiś czas zakręcałam ją i odkręcałam, wachając zawartość. Potem wypiałam łyk.

Był gorzki i trudny do przełknięcia. Ale po tych wszystkich nocach w parku z kumplami byłam przyzwyczajona do mocnego alkoholu. Całkiem nieźle szło mi udawanie, że woda smakuje na tyle dobrze, by chcieć pić jeszcze.

Wypiłam znów. Rum palił mi gardło jak słońce skórę, tyle że od środka. Skrzywiłam się jak ludzie na filmach, biorąc kolejny łyk. Spojrzałam przez okno. Pustynia była cicha i nieruchoma, jak zwykle. Martwa. Niesamowite, jak przerażająca potrafi być absolutna cisza, jak miesza ci w głowie, jeśli jej na to pozwolisz. W Londynie byłam przyzwyczajona do hałaśliwych nocy, klaksonów, krzyków i dźwięków wielkiego miasta. Londyn w nocy był jak hałaśliwa mała. Za to pustynia wiła się wokół mnie niczym wąż. Cicha i śmiertelnie niebezpieczna... tak milcząca, że musiałam mieć szeroko otwarte oczy, zawsze.

Postukałam zębami o brzeg butelki. Piłam, aż pokój zaczął wirować, aż przestałam myśleć o tym, czy to ma być moja ostatnia noc na tym świecie albo czy to jest jedyne miejsce, które będę jeszcze oglądać w życiu. Po chwili przestałam wypatrywać cieni za oknem. Przestałam się przejmować ciemnością. I ciszą.

Wtedy uświadomiłam sobie, dlaczego moi kumple lubili się urznąć... Chodziło o zapomnianie. Czar niemyślenia o przyszłości.

Obudził mnie dźwięk podobny do drapania. Otworzyłam oczy. Komoda ruszała się, popychana do przodu przez drzwi. Ktoś usiłował dostać się do środka. Spróbowałam usiąść. Byłam na łóżku tylko do połowy, a w ręku wciąż miałam butelkę. Rum się jeszcze nie skończył, ale wnioskując z tego, że wokół mnie było mokro i śmierdziało starym alkoholem,

większość wsiąkła w pościel. Niezręcznie przesunęłam się na łóżku. Chwyciłam butelkę mocno za szyjkę, gotowa uderzyć.

Komoda drgnęła, z drzwi wyłoniło się twoje podrapane ramię. Opuściłam butelkę, a ty precyzyjnie się przez szparę. Odsunęłam się, zbyt słaba i zbyt pijana, by zrobić cokolwiek. Do pokoju wpadało szarawe światło świtu, było wcześniej. Popatrzyłeś na mnie i na butelkę, zmarszczyłeś nos od zapachu. Odwróciłam się od ciebie.

- Musiałem po coś pojechać - powiedziałeś. - Trwało to dłużej, niż myślałem.

Spróbowałeś wziąć mnie na ręce, ale wrzasnęłam, żebyś mnie puścił, i walnęłam cię butelką w pierś. Zatrzymałeś się więc z boku łóżka i tylko patrzyłeś. Po chwili wyplątałeś butelkę z moich palców i narzuciłeś na mnie prześcieradło.

- Zrobię ci śniadanie - oznajmiłeś w końcu.

Zasnąłam.

- Jest na werandzie - powiedziałeś.

Pokręciłam głowę, ból przeszył mi skronie. Tego ranka iść tak daleko wydawało się niemal równie nieprawdopodobne jak ucieczka. Ale wiedziałam, że muszę jeść.

- Chodź, zaniosę cię.

Znowu pokręciłam głowę, ale twoje ramiona otoczyły mnie i podniosły, zanim zdążyłam cokolwiek zrobić. Zamknęłam oczy, w głowie mi się zakręciło i zrobiło mi się niedobrze. Zaniósłeś mnie jak te gałęzie, które pozbierałeś, delikatnie, z szeroko rozsuniętymi ramionami, czułam się jak w kołysce. I równie lekka jak one.

Opuściłeś mnie na kanapę na werandzie. Kiedy to zrobiłeś, dostrzegłam, że twoje oczy są czerwone i zmęczone, z ciemnymi sińcami. Ale światło świtu padało na twoją skórę i sprawiało, że lśniła. Tamtego ranka światło sprawiało, że wszystko lśniło. Wsiąkało w krajobraz, a piasek błyszczał od niego jak śnieg.

Ale ja nie lśniłam. Czułam się bardziej tak, jakbym zniknęła, jakby świat już o mnie zapomniał. Kiedy wpatrywałam się w lśniący piasek, zastanawiałam się, czy o moim zniknięciu było coś w gazetach. Czy kogokolwiek to jeszcze interesowało? Wiedziałam, że gazety porzucają tematy, jeśli nie ma nic nowego. A co może być nowego w mojej historii, skoro zmieniał się jedynie kierunek wiatru?

Byłam w twoim domu ponad miesiąc. Czy ktokolwiek jeszcze mnie szukał? Jak oddani sprawie byli moi rodzice? Zawsze byli sprytni. „Dobre wyczcucie biznesu” - to trzy najczęściej występujące słowa w słowniku taty. Może zadawał sobie to pytanie: czy szukanie mnie to wciąż dowód „dobrego wyczcucia biznesu”? Czy byłam dobrą inwestycją? W tamtej chwili nie miałam nawet pewności, czy sama dałabym pieniądze na poszukiwania.

Podał mi talerz małych, żółtych owoców. Wziąłem jeden i pokazałem, jak wbić w niego paznokcie i wysać środek. Spróbowałam. Najpierw był kwaśny, ale kiedy przeżuć, smak zrobił się ciut słodszy. Nasionka kleiły mi się do zębów i dziąseł. Wyssałem kolejny, zanim się odezwałem.

- Czyli poznałaś tych w stodole? - spytałem.

Przypomniałam sobie te wpatrujące się we mnie oczy, te wszystkie łuski i odnóża. Zadrżałam.

- Po co je trzymasz?

- Żebyśmy przeżyli. - Sięgnąłem po kolejny owoc. Podałam ci talerz. Było mi zbyt niedobrze, by jeszcze jeść, chociaż chciałam. Skrzywiłem się na tę kwaśną część i zacząłem wybierać nasionka z zębów. - Pomogą mi zrobić antidotum.

Pokręciłam głową.

- Od węży nie dostaje się antidotum, tylko truciznę.

Kącik twoich ust uniósł się.

- Wszystko wiesz, mądralo - stwierdziłem. - Sam też to wiedziałem. - Popatrzyłeś na mnie tak, jakbyś był ze mnie dumny. - Ale masz rację - dodałem, wypluwając nasionka na podłogę. - One wszystkie są jadowite. A antidotum robi się wtedy, gdy zbierzesz wytwory reakcji systemu odpornościowego na jad... Kolejny powód, dla którego potrzebowałem wielbłąda. Niedługo wydoję moje stwory, wstrzyknę ich jad wielbłądzicy, a potem zbiorę jej przeciwciała, wytworzone w reakcji odpornościowej. Przefiltruję to i otrzymam antidotum... w każdym razie taki jest plan. Trochę to potrwa, do końca nie wiem, czy mi się uda, ale i tak spróbuję.

Zmarszczyłam czoło.

- A wielbłądzica od tego nie zachoruje?

- Nie, ona jest odporna, jak dużo zwierząt tutaj. To my, ludzie, jesteśmy słabi. - Zdarłeś skórę z kolejnego owocu i zjadłeś miękkie części. - Ale najpierw, przed tym wszystkim, powinniśmy zacząć cię uodparniać. Jeżeli wstrzykniemy trochę jadu do twojego organizmu, sama zaczniesz tworzyć przeciwciała.

- Niczego mi nie będziesz wstrzykiwał.

- Możesz to zrobić sama, to nie jest trudne. - Wzruszyłem ramionami. - Po prostu nakłuj skórę i wpuść do środka trochę jadu. Ja to robię cały czas.

- A jeśli nie zechcę?

- To ryzykujesz.

- Co?



- Ze umrzesz, że cię sparaliżuje... Jad to nic zabawnego, wiesz? - Uśmiechnąłeś się ironicznie. - Ale to już chyba wiesz... po całym tym rumie wypitym wczoraj wieczorem. Ta butelka to zapas na rok.

Nie spojrzałam ci w oczy. Po raz pierwszy wspomniałeś o wódzie. Oczekiwałam, że wściekniesz się na mnie za grzebanie w twoich zapasach. Ale ty tylko wzruszyłeś ramionami.

- Pewnie w każdym środowisku istnieje jakieś ryzyko - mruknąłeś. - W sumie na jedno wychodzi: jad, zranienie, grypa... Tylko co innego je uruchamia. Różnica polega na tym, że w mieście przyczyną są ludzie, a tutaj - ziemia. Ja wiem, co wolę.

Znowu zaczęło mi się kręcić w głowie. Wciąż sobie wyobrażałam te stworzenia w klatkach, czekające ze swoim jadem, żeby mnie zabić albo uratować.

- Jak długo tu są? - spytałam. - W tych klatkach.

Odłożyłeś owoc i wytarłeś ręce o kolana.

- Łapałem je, odkąd tu dotarliśmy. Teraz już znalazłem prawie wszystkie, ale z niektórymi jest ciężko... ciągle potrzebuję jeszcze paru.

- Wszystkie są jadowite?

Pokiwałeś głową.

- Jasne. Inaczej bym się nimi nie przejmował. Nie wszystkie są śmiertelnie groźne, ale i tak nie chciałabyś, żeby cię dopadły.

- Dlaczego ciebie nie ugryzły?

- Ugryzły, ale niezbyt poważnie. Pewnie po prostu nauczyłem się z nimi obchodzić, no i wiem, jak się zachowują. Te stworzenia nie są takie niebezpieczne, kiedy się je rozumie.

Znowu popchnąłeś owoce w moją stronę.

- No, jedz. - Wyszczrzyłeś się. - Bo ktoś pomyśli, że masz kaca.

Potem byłeś dla mnie miły, naprawdę miły. Przynosiłeś mi zimne szmatki i skakałeś wokół mnie tak, że mamie nawet by się to nie śniło. Nawet zrobiłeś mi jedzenie, myślałeś, że będzie mi smakować... W każdym razie liczy się, że próbowałeś (pewnie trudno jest skombinować lody, kiedy najbliższa zamrażarka jest oddalona o paręset kilometrów). Ale też cały czas mnie obserwowałeś. Jakbyś mnie nieustannie oceniał, usiłując dojść, co jest do przyjęcia - co możesz powiedzieć albo zrobić, żeby mnie za bardzo nie zdenerwować.

Szybko to załapałam. Zaczęłam próbować, jak daleko sama mogę się posunąć. A ty mi pozwalałeś.

Następnego dnia nakarmiłam kury. Poszedłeś ze mną, twierdząc, że musisz sprawdzić źródło. Kiedy dotarliśmy do wejścia do zagrody wielbłąda, zwolniłam i dałam ci się dogonić.

I iść obok. Zerknąłeś na mnie, chciałeś się upewnić, że nie mam nic przeciwko twojej obecności.

- Tyler, ty musisz mnie naprawdę nienawidzić - stwierdziłam.

- Jak to?

- Musisz mnie nienawidzić tak bardzo, że masz gdzieś, czy umrę... inaczej po prostu byś mnie puścił.

Odwrociłeś się do mnie szybko, tak szybko, że potknąłeś się o kamień.

- Czuję coś zupełnie odwrotnego.

- To dlaczego mnie nie puścisz? Wiesz, że tego chcę.

Milczałeś przez cztery kroki czy pięć.

- Ale przecież cię puściłem - powiedziałeś cicho. - Mało nie umarłaś.

- To dlatego, że twój samochód to wrak, a ja nie umiem tu nigdzie trafić. Ale ty umiesz. Gdybyś mnie naprawdę nie nienawidził, zabrałbyś mnie do miasta. Wypuściłbyś mnie.

- Nie zaczynaj z tym znowu, proszę.

- Ale to prawda, nie? Mógłbyś mnie puścić, gdybyś chciał, tylko nie chcesz. Czyli musisz mnie nienawidzić...

Przemaszerowałam po niewielkim krzaku, butami miażdżąc jego liście. Przystanęłam, by je rozprostować.

- Nic nie jest takie proste.

- Może być.

Ja też się zatrzymałam. Skończyłeś ratować roślinę, po czym obszedłeś ją. Z wahaniem zrobiłeś krok w moją stronę.

- Gemmo, proszę, odczekaj trochę. Za parę miesięcy nauczysz się doceniać to wszystko, a wtedy...

- A wtedy co? Wtedy mnie puścisz? Nie wierzę ci.

- Uwierz, proszę. Chociaż raz. - Uniosłeś ręce w moją stronę, niemal błagalnie.

- A co zrobisz? - Ja oparłam ręce na biodrach i usiłowałam wyglądać na wyższą niż w rzeczywistości. Ale i tak głową sięgałam ci tylko do ramienia. Westchnąłeś.

- Okej - szepnąłeś w końcu. - Poczekaj sześć miesięcy. Tylko sześć miesięcy. To ci wystarczy. Jeżeli potem nadal nie będziesz mogła tego wszystkiego znieść, odwiozę cię. Obiecuję. Nawet zabiorę cię do miasta.

- I tak ci nie wierzę.

- Spróbuj.

Dalej się na ciebie gapiłam. Po chwili spuściłeś wzrok, chowając ręce do kieszeni.

- Mówię poważnie - oznajmiłeś, a twój głos trochę drżał. - Jaka to teraz dla ciebie różnica, sześć miesięcy czy ileś? Co masz do stracenia?

Kopnąłeś ziemię. To głucho stuknięcie twojego buta o piach było w tej chwili jedynym dźwiękiem. Otarłam pot z czoła. Nie byłam pewna, czy mogę ci ufać. Bo jak można w ogóle wierzyć porywaczowi? Co ty zrobiłeś, by kiedykolwiek mnie przekonać, że można ci zaufać?

- Nawet jeśli mówisz poważnie - stwierdziłam - nawet jeżeli zabierzesz mnie do domu, co miałoby cię powstrzymać przed zrobieniem tego samego jakiejś innej dziewczynie?

Przejechałeś ręką po włosach.

- Nie ma innych dziewczyn. Bez ciebie będę tu żył całkiem sam.

- Jesteś obrzydliwy.

Skrzywiłeś się. Podeszłam do ciebie.

- Myślisz, że komplementami mnie namówisz, żebym zrobiła wszystko, czego chcesz? Nie możesz się powstrzymać. Zawsze znajdzie się jakaś inna dziewczyna. Jak to mówią o psach? Kiedy raz spróbują, no, zabijania...

- Ja nie jestem zabójcą.

- Ale psem tak.

Spojrzałeś na mnie smutnymi oczyma. Wtedy byłeś jak pies, czekający, aż rzucę mu kość. Czekający na coś, czego nigdy nie mogłabym ci dać.

- Kocham cię - powiedziałeś po prostu. Nie mrugnąłeś. Czekałeś, aż twoje słowa do mnie dotrą. Nie dotarły. Odbiły się i już. Nie chciałam w ogóle o tym myśleć.

- Drań z ciebie - oznajmiłam.

Ruszyłam przed siebie. Mówiłeś do moich pleców, podnosząc głos, w miarę jak się oddalałam.

- Ziemia chce, żebyś tu była. Ja chcę, żebyś tu była! To cię w ogóle nie obchodzi?

Odwrociłam się, nie dowierzając.

- Myślisz, że możesz mnie cokolwiek obchodzić po tym, co zrobiłeś? Naprawdę aż tak ci odbiło?

- Potrzebujemy cię.

- Nie trzeba ci nikogo, tylko pomocy.

Gapiłeś się na mnie. Kiedy tak ci się przyglądałam, twoje oczy stały się mokre, tonęły, patrząc w moje. Pokręciłam głową, nie zamierzałam dać się wciągnąć.

- Jesteś kompletnie pojebany - powiedziałam. Mówiłam cicho, bardziej do siebie niż do ciebie. Próbowales się odezwać, ale nie pozwoliłam ci, nie bałam się już. - Naprawdę jesteś stuknięty, wiesz? A tutaj nigdy się od ciebie nie uwolnię. Zabierz mnie do miasta.

- Nie chcę.

- Ale ja chcę właśnie tego.

Skrzywiłeś się na moje słowa, jakbym ci nimi wyrządziła fizyczną krzywdę. Unikałeś mojego wzroku, najwyraźniej zawstydzony swoją reakcją.

- Nie jesteś aż takim twardzielem - szepnęłam.

Odwrociłam się i szybko ruszyłam w stronę Samotnych. Czułam, jak zaczynam się trząść. Byłam wtedy bardzo krucha, niemal tak samo rozbita jak ty. Nie chciałam, żebyś to widział. Nie poszedłeś za mną, zostałeś tam z pochyloną głową. Potykałam się między skałami, zadowolona, że cię tu nie ma. Już prawie potrafiłam sobie z tobą poradzić. Gdy byłeś twardy, wiedziałam, czego się spodziewać. Ale to? Kompletnie nie wiedziałam, co myśleć.

Tamtego wieczoru byłeś cichy i zamyślony. Moczyłeś szmatki na moje poparzenia, nasączając je jakimś roślinnym wyciągiem, po którym pachniały szpitalem. Po kolacji stałeś przy kuchennym zlewie, patrząc w ciemność. Twoje ciało było napięte, jak czający się myśliwy. Światło latarni rzucało cienie na twoją skórę. Sprzątnęłam talerze ze stołu i zaniiosłam do ciebie. Odwróciłeś się i chwyciłeś mnie za nadgarstek, przez co niemal wszystko upuściłam.

- Mówiłem poważnie, wiesz? - oznajmiłeś. - To, co dzisiaj powiedziałem... to prawda. Proszę, spróbuj te sześć miesięcy. Wytrzymasz tyle?

Odsunęłam się, wrywając nadgarstek. Talerze zostawiłam na ławce. Na twoim czole utworzyła się zmarszczka, głęboka jak wąwóz. Niżej lśniły niebieskie oczy.

- Wytrzymasz...?

Było w tobie to znajome napięcie, ta powaga. Niemal mogłam ci uwierzyć. Gdybyś był kimkolwiek innym, nie zawahałabym się. Poruszyłam głowę. To nie było przytaknięcie, ale zaprzeczenie też nie.

- Trzy miesiące - negocjowałam.

- Cztery. - Twarz ci zadrgała. - Tylko proszę, nie próbuj już uciekać - dodałeś. - Nie sama. Nie znasz jeszcze tego miejsca. - Wziąłeś talerze, a zanim odkręciłeś wodę, zatrzymałeś się, żeby odwinąć bandaż, który nadal był owinięty wokół twojej prawej ręki. - No bo... żeby przeżyć na tej ziemi, musisz ją kochać. A to wymaga czasu. W tej chwili mnie potrzebujesz.

- Wiem.

Wpatrzyłeś się we mnie, tak samo jak ja zaskoczony tym jednym słowem. Ale potrzebowałam cię, nie? Próbowałam uciec sama i się nie udało. Westchnąłeś, odwracając się z powrotem do ciemnego okna.

- Jeśli za cztery miesiące wciąż będziesz chciała ode mnie odejść, zabiorę cię do granicy miasta. Tylko nie każ mi ze sobą iść.

- Nie będę chciała - odpowiedziałam. Zmarszczyłam brwi. I tak nie mogłabym zmusić cię do czegokolwiek.

Zacząłeś zmywać, ramiona ci obwisły. Twoje palce szybko poruszały się w wodzie. Widziałam, jak puls na twojej szyi bije szybko, maleńki odruch życia pod brązową, twardą skórą. Dookoła tego miejsca były piegi, rozsypane aż do obojczyka.

- Nie muszę cię zdradzać, wiesz - zaczęłam, mimo że wcale nie chciałam się odzywać.  
- Jeżeli martwisz się o to, nie muszę nic nikomu o tobie mówić. Możesz mnie tylko puścić i zniknąć z powrotem na pustyni. Mogłabym powiedzieć, że nie pamiętam, że mam udar słoneczny albo amnezję, czy coś w tym stylu. Nie będę nawet pamiętała, jak się nazywałeś.

Patrzyłeś na mnie przez chwilę, ale to było spojrzenie wypełnione smutkiem, który w każdej chwili mógł wypłynąć.

Tej nocy wiał wiatr. Leżąc w łóżku, słyszałam, jak unosi ziarna piasku i rzuca nimi w ściany i okna, niczym ogień z karabinów. Albo deszcz. Gdy zamykałam oczy, mogłam sobie niemal wyobrazić, że ten dźwięk to angielski deszcz, padający w środku zimy, zalewający pola i ogrody, wypełniający Tamizę i ścieki wokół domu. Zapomniałam, jak uspokajający jest odgłos deszczu na oknach, jakie daje poczucie bezpieczeństwa.

Tamtego wieczora poszedłeś do swojego pokoju wcześniej niż ja. Byłeś taki milczący, chyba cię rozczarowałam.

Cała ta twoja przygoda nie szła tak, jak planowałeś. Czy zaczynałeś żałować? Pomyślałeś, że wybrałeś złą dziewczynę? Może dopiero wtedy dotarło do ciebie, że byłam całkiem zwyczajna, że nie byłam nikim wyjątkowym. Stałam się dla ciebie takim samym rozczarowaniem jak dla innych ludzi.

Obróciłam się i uderzyłam dłonią w poduszkę, sfrustrowana tym, że wciąż nie śpię, a także tymi wszystkimi myślami.

Wtedy usłyszałam twój krzyk. Dźwięk przeszył ciszę, aż podskoczyłam na łóżku. To był desperacki, zwierzęcy ryk, jakby wychodził gdzieś głęboko z twojego wnętrza. Od wielu dni nie słyszałam niczego tak głośnego.

Najpierw przyszło mi do głowy, że w domu jest jeszcze ktoś. Ktoś, kto przyszedł mnie uratować i najpierw pozbywał się ciebie. Wbił ci nóż w plecy i teraz go przekręcał. Ale to

było głupie. Nikt by nikogo w ten sposób nie ratował, to jest możliwe tylko w filmach. A już na pewno nie na pustyni. Tutaj ratownicy przylecieliby helikopterem i najpierw otoczyliby nas światłami i hałasem. Ktokolwiek by przybywał, wiedzielibyśmy o tym na kilometry wcześniej. Ale i tak nasłuchiwałam dźwięków z zewnątrz, kroków na werandzie. Nie było żadnych stuknięć ani skrzypnięć, niczego, co by sugerowało, że ktoś tutaj jeszcze jest. Tylko ja. Tylko ty. A jedynym, co słyszałam, były twoje jęki.

Wykrzykiwałeś jakieś słowa, ale nic nie mogłam zrozumieć. A między słowami dochodziło mnie coś jakby płacz. Wstałam z łóżka. Wzięłam do ręki nóż. Podeszłam na palcach do drzwi, powoli i bezszelestnie. Kiedy znowu wrzasnąłeś, nacisnęłam klamkę, wykorzystałam twój krzyk, by zamaskować skrzypnięcie. Wyszłam na korytarz. Nie było tu żadnych cieni, żadnych ludzi. Za to twoje krzyki były głośniejsze, odbijały się ochryplym echem po całym domu. Drzwi twojego pokoju były uchylone. Przysunęłam ucho do szpary, nasłuchując.

Przez kilka sekund panowała cisza, może nawet przez minutę albo dwie. Aż zaczęło mi od niej dzwonić w uszach. Potem usłyszałam twoje łkanie. Narastało całkiem szybko, aż stało się nieopanowane i desperackie, jak czasem płacz dziecka. Zajrzałam przez szparę w ciemność pokoju. Coś trzęsło się na twoim łóżku - to byłeś ty. Nie dostrzegałam żadnego innego ruchu. Popchnęłam mocniej drzwi.

- Tyler?

Szlochałeś. Zrobiłam krok w twoją stronę. Promyk światła z okna padał ci na twarz. Lśnił na wilgotnych od płaczu policzkach. Powieki miałeś zaciśnięte. Zrobiłam kolejny krok.

- Tyler? Nie śpisz?

Pięściami ugniatąłeś zwinięty sweter, którego używałeś jako poduszki. Prześcieradło się zsunęło, odsłaniając twoje plecy na nagim materacu. Kiedy leżałeś taki rozciągnięty, wydawałeś się za duży na łóżko. Miałeś takie proste plecy - długie jak pień drzewa. W tej chwili dygotały jak osika.

Zostawiłam za sobą szeroko otwarte drzwi i rozejrzałam się po pokoju. Okno było zamknięte; nic nie sugerowało, żeby był tu ktoś jeszcze. Nie robiłbyś rabanu z byle powodu, krzyczałeś przez sen.

Twój szloch ucichł, gdy zanurzyłeś twarz w swetrze. Stałam, obserwując cię. Płakałeś jak ja, kiedy tutaj przybyłam, cicho i rozpaczliwie, jakbyś nie miał nigdy przestać. To było dziwne, sama omal się nie rozkleiłam. Pokręciłam głową. Przecież byłeś twardy, silny i niebezpieczny. A może tylko udawałeś...?

Patrzyłam na ciebie. Kolana podciągnąłeś do piersi. Kołysałeś się. A potem wrzaski zaczęły się od nowa. Przeszywały mnie. Musiałam zatkać uszy rękami. Podeszłam do ciebie, by jakoś to powstrzymać. Nie zastanawiając się, chwyciłam cię za ramiona. Potrząsnęłam tobą. Twoja skóra była wilgotna. Gorąca.

Nagle otworzyłeś oczy, ale nie zobaczyłeś mnie od razu. Widziałeś kogoś innego. Odepchnąłeś mnie i poczołgałeś się po materacu w tył, aż oparłeś się o ścianę. Twoje spojrzenie było dzikie, skakało na boki, usiłowałeś się skupić. Potem zacząłeś coś mrużyć.

- Nie zabierajcie mnie - mówiłeś. - Proszę...

Usiłowałam pochwycić twój wzrok, przytrzymać go na sobie.

- To ja, Gemma - powiedziałam. - Nigdzie cię nie zabieram. Uspokój się.

- Gemma?

Wypowiedziałeś moje imię, jakbyś tylko częściowo pamiętał, kim jestem. Chwyciłeś prześcieradło i owinąłeś je wokół siebie.

- Tyler, to tylko zły sen.

Ale ty nie słuchałeś. Pochyliłeś się i chwyciłeś za moją koszulkę. Cofnęłam się.

- Tyler, przestań!

Trzepnęłam cię po rękach, odpychając od siebie. Ale w twoich oczach czaiła się desperacja.

- Nie zabieraj mnie - łkałeś, a twój głos brzmiał jak u dziecka. - Mama tu była, drzewa, moje gwiazdy... nie chcę stąd iść.

Chwyciłeś mnie w pasie, objąłeś ramionami. Szlochałeś mi w brzuch. Twoje oczy były otwarte, ale nadal mnie nie widziały. Palcami ugniatałeś mi plecy, szarpałeś koszulkę. Dotknęłam twoich włosów, twój płacz trochę ucichł.

- To ja, Gemma - powtórzyłam. - Obudź się, Tyler.

Czułam na brzuchu wilgoć twoich łez, palce przyciągające moją talię nie chciały mnie puścić. Pozwoliłam ci tak zostać, aż płacz całkiem ucichł.

- Nie wiem, gdzie jestem - szepnąłeś.

- Jesteś tutaj - odparłam. - Na pustyni. Nie ma tu nikogo innego.

Wytarłeś twarz w moją koszulkę, a potem spojrzaleś na mnie. Tym razem mnie zobaczyłeś, wiedziałeś już, kim jestem. Twoje rysy wyraźnie się uspokoiły.

- Gemma - powiedziałeś.

Pokiwałam głową.

- Dziękuję.

- Coś ci się śniło. Obudziłam cię.

- Dziękuję.

Po jakimś czasie mnie puściłeś. Usiadłeś po turecku na materacu i wpatrywałeś się w podłogę. Kręciłeś powolnego młynka kciukami, pewnie czułeś się zawstydzony.

- Co ci się śniło? - spytałam.

Pokręciłeś głową, odpychając mnie. Mimo to zostałam, czekałam. Dookoła nas poskrzypywało drewno, a wiatr tłukł w blaszany dach. Zerknąłeś w stronę okna, jakbyś sprawdzał, czy nadal tam jest.

- Dom dziecka - opowiadałeś cicho. - Podróż w ciężarówce. Opuszczenie ziemi. - Spojrzałeś na nocne niebo i gwiazdy. Ja też na nie popatrzyłam. Pomyślałam, że może zdołam dostrzec słabą linię horyzontu, oddzielającą czarną ziemię od szarzejącego nieba. Westchnąłeś, przesuwając dłonią po twarzy. - Teraz pewnie myślisz, że mi odbiło, co?

Spoglądałam na ciebie, gdy leżałeś taki skulony.

- Każdy miewa sny.

Twoje wielkie oczy lśniły w ciemności niczym u nocnego zwierzaka. Zwierzaka, którego trzeba wziąć na ręce.

- A o czym są twoje? - szepnąłeś.

- Głównie o domu.

- O Londynie? - Zastanawiałeś się nad tym słowem, usiłując dociec, co ono dla ciebie znaczy. - Jak możesz śnić o tym miejscu? - Twoje spojrzenie znowu wróciło do okna. - Jak możesz tak bardzo je kochać?

- Ludzie kochają to, do czego są przyzwyczajeni.

- Nie. - Pokręciłeś głową. - Ludzie powinni kochać to, co potrzebuje miłości. W ten sposób mogą to uratować. - Przez długą chwilę milczałeś, patrząc w okno. Rozmyślałeś.

Cicho podeszłam do drzwi.

- Przepraszam - wyszeptąłeś.

Rankiem, kiedy wstałam, twój pokój był pusty. Nakarmiłam kury. Gdy wracałam, podeszła do mnie wielbłądzica. Podrapałam ją po uszach, pociągając za miękkie włoski w środku, tak jak mi pokazałeś, że lubi. Oparła nos na moim ramieniu.

- Wiesz, on cię zatrzyma - mruknęłam do niej. - Kiedy odejdę, za kilka miesięcy, ciebie nie wypuści. - Pogłaskałam sierść na jej policzku, miękką jak u pluszowego misia. Żuła w kółko, jej gumowe wargi muskały wierzch mojej dłoni. - Dlaczego jesteś taka łagodna? - spytałam. - Powinnaś być dzika, gorsza od niego. - Dotknęłam jej długich, ślicznych rzęs czubkami palców. Zamrugęła.



Zrobiłam kilka kroków dalej, ale ona szła za mną. Zrobiłam kółko, a delikatne dźwięki jej kopyt cały czas były tuż za mną. Zatrzymałam się i odwróciłam do niej, chcąc coś wypróbować.

- Na dół - powiedziałam. Uniosłam rękę tak jak ty, a wielbłądzica, po chwili i po jednym stęknięciu, opuściła szyję i głowę, a nogi załamały się pod nią. Kiedy jej ciało opadło na ziemię, uniosła się mała chmurka pyłu. - Grzeczna dziewczynka - pochwaliłam ją.

Uklękałam obok. Teraz, kiedy byłyśmy mniej więcej jednej wysokości, mogłam zobaczyć, że jej nos jest ogromny, a zęby przegniłe. Jej ostry, lekko stęchły zapach wypełniał mi nozdrza. Odwróciła głowę w stronę baraków, zamykając oczy przed promieniami słońca. Przysunęłam się do niej i objęłam ramieniem muskularne ciało. Oparła szyję o mój bok. Mogłabym się teraz wdrapać na jej grzbiet, usiąść na garbie i pojechać. Mogłybyśmy pogalopować prosto w słońce.

Przytuliłam głowę do jej sierści i też zamknęłam oczy. Pod powiekami tańczyły mi kule ognia. Wtedy, w tamtej chwili, wystarczyło mi to, że tam siedziałam.

Cały dzień spędziłeś w swojej szopie do malowania. Zanim zebrałam się na odwagę, by pójść do ciebie, było późne popołudnie. Poprzedniej nocy byłeś taki inny, niemal bezbronny... chciałam zobaczyć, jak zareagujesz na mnie dzisiaj.

Drzwi były uchylone. Popchnęłam je.

W pomieszczeniu było jasno i gorąco; chwilę potrwało, zanim się przyzwyczaiłam. Zastony zwisające z okna zostały zdarte i rzucone na stos poniżej. Do środka wpadały promienie słońca i zobaczyłam, że wyblakłe ściany zostały pomalowane w kropki i spirale w jaskrawych barwach - mknęły przez nie smugi czerwieni, czerni i brązu. Liście, piasek i gałązki były przychepione do niektórych kolorów, nadając rysunkom fakturę. Spoglądając na to z oddalenia, jak na całość, dostrzegałam wzory. Fala żółtych kropek rozciągała się na podłodze jak piasek, kręgi błękitu na odległej ścianie tworzyły jeziora. Pomieszczenie wyglądało dziko i przypominało mi o historyjce, którą mama czytała mi dawno, dawno temu. Dziecięca sypialnia zmieniała się w dżunglę.

Ty byłeś w samym środku tego wszystkiego, stałeś na stołku. Malowałeś sufit. Miałeś na sobie tylko cienkie szorty, materiał był podarty i podwijał ci się nad udami. Twoja skóra miała niemal taki sam kolor jak brązowa farba na ścianie. Malowałeś sufit w tysiące maleńkich, pomarańczowych kropek. Po chwili wyjąłeś zza ucha drugi pędzel i wypełniłeś miejsca między kropkami wirami bieli. Przestałeś dopiero, gdy skończyła ci się farba.

Odwróciłeś się. Pierś lśniła ci od potu i cała była pokryta smużkami ziemistego koloru. Spojrzałam ci w twarz, sprawdzając, czy zostało coś z nocnej udręki. Ale wyglądałeś na odprężonego i szczęśliwego. Zszedłeś ze stołka i zbliżyłeś się do mnie.

- Podoba ci się mój obraz?

- A co to jest?

- Wszystko dookoła nas, ziemia. - Wyszczrzyłeś zęby. - Jeszcze nie jest gotowy. Każdy kawałek ściany będzie jego częścią, ja też.

- Dlaczego?

- Chcę to uchwycić, całe to piękno, chcę się połączyć... chcę, żebyś zobaczyła to takim, jakie jest, zanim... zanim odejdziesz.

Oczy ci lśniły. Obróciłam się, patrząc na wszystkie te barwy i wiry, faktury dookoła. Moje spojrzenie zatrzymało się na grupce białych kropek na czarnym tle w jednym rogu sufitu. Wyglądały niemal jak gwiazdy, lśniące kulki światła. O to ci chodziło? Zrobiłeś kolejny krok w moją stronę, widziałam ziarenka piasku, które przyłgnęły do twoich ramion i piersi. Wyciągnęłam rękę, żeby ich dotknąć. Twoja skóra była szorstka i ciepła, zupełnie jak ziemia na dworze.

- Nie swędzi cię?

- To tylko podkład - odparłeś. - Kiedy całkiem wyschnie, będę mógł namalować wzory.

- Jakie wzory?

Uśmiechnąłeś się. Sięgnąłeś i przycisnąłeś moją dłoń do piersi, przytrzymując ją tam przez moment.

- Wzory ziemi. - Ruchem głowy wskazałeś resztę pomieszczenia. - Tylko zaczekaj, aż zajdzie słońce. Wtedy cały pokój ożyje.

- Co to znaczy?

- Zobaczysz.

Moja dłoń, przyciśnięta twoją, czuła miarowe uderzenia twojego serca. Szybko zabrałam palce. Ty też cofnąłeś rękę i przejechałeś nią sobie po włosach. Na podłogę poleciał piasek. Potrząsnąłeś głową, posypało się więcej.

- Burza piaskowa - oznajmiłeś. Pokręciłeś głową, aż twoje złote włosy zatańczyły, i znów poleciał piasek.

Poszłam za tobą do drzwi, w głowie trochę mi się kręciło od tego wszystkiego. Położyłeś sobie moją rękę na plecach. Twoja skóra była ciepła i wilgotna, pod spodem kręgosłup ciągnął się jak korzeń.

- Przód mogę sobie pomalować sam, ale do pleców nie dosięgnę - powiedziałaś.

Znów wyszarpnęłam dłoń.

- Nie chcę cię malować.

- Nie musisz. - Odwróciłeś się do mnie. - Przy jeziorku w Samotnych są takie długie liście. Możesz mi jeden przynieść? A jak już tam będziesz, weź też trochę mchu.

Wróciłeś do środka, zostawiając mnie w drzwiach. Balansowałam na skrzynce za progiem, kołysząc się tam i z powrotem.

- Przyjdź, kiedy słońce zacznie zachodzić! - zawołałeś. - Wtedy będę gotowy.

Zamknąłeś drzwi. Nieśpiesznie ruszyłam w stronę Samotnych, udając sama przed sobą, że tak naprawdę to wcale nie robię tego, czego chcesz. Szłam powoli, zatrzymując się, żeby popatrzeć na różne rzeczy, i udając, że malutki, fioletowy kwiatek, który zauważyłam w piasku, jest prawdziwym powodem mojego spaceru. Wyższe trawy waliłam kijem, jak to podejrzalam u ciebie, na wypadek, gdyby kryły się w nich węże.

Nad jeziorkiem pochyliłam się pod konarem eukaliptusa i na czworakach przeszłam brzegiem wody. Zanurzyłam w niej palce; spodobało mi się to nagle uczucie zimna na skórze. Dotarłam do wychylonej skały z tyłu, wąskiej, ciemnej szczeliny, gdzie rósł ten twój mech. Dookoła mnie szeleściły różne stworzenia, ale nie odsunęłam się. Byłam dziwnie spokojna, cieszyłam się popołudniowym lenistwem, jakie tu panowało. Skała była chłodna i osłonięta, posiedziałam tam chwilę, z nagimi łydkami opartymi o kamień. Po jakimś czasie pomacałam w poszukiwaniu mchu, sięgając dalej w ciemność skały i wyrywając garść. Czekałam, aż malutki pająk przejdzie po moich palcach.

Znowu przelazłam brzegiem jeziorka i zobaczyłam te liście, o których mówiłeś, duże i soczyste. Dziwnie wyglądały, otoczone wyschniętymi roślinami. Urwałam jeden - popłynęła mleczna krew. Dotknęłam jej, usiłując zatrzymać ten swoisty krwotok.

W drodze powrotnej zatrzymałam się przy kurach. Kogut siedział w najdalszym kącie swojej klatki, ale kiedy zaczęłam do niego mówić, zaciekawiony, podszedł do mnie. Wcisnął dziób między druty i urwał trójkątny kawałek mojego liścia.

- Tylerowi to się nie spodoba - skarciłam go.

Ale Kutas tylko dumnie nastroszył pióra i wypluł liść. Usiadłam obok jego klatki, słuchając pełnych dezaprobaty pomruków kur. Wkrótce potem żaby zaczęły rechotać, aż doszły do szalonego crescendo.

Później słońce zaczęło się chować. Nadszedł czas. Bez pośpiechu wróciłam do twojej szopy.

Popchnęłam drzwi. Pomarańczowe i różowe odcienie zachodzącego słońca lśniły za oknem, padały na pomalowane przez ciebie ściany. Światło uwypuklało ziarenka piasku, sprawiając, że lśniły i migotały. Wszędzie dookoła mnie były kolory i iskierki; zdawało się, że jest ich zbyt dużo, by to wchłonąć. Pracowałeś szybko, w mgnieniu oka zmieniałeś tę przestrzeń. Stałeś pośrodku, a twoje ciało też odbijało światło. Tylko na plecach nie byłeś pomalowany. Wszędzie wokół rozchodził się silny ziołowy zapach, przypominający twoje papierosy. Był ciężki i mocno odurzający.

Podszedłeś do mnie, sięgając po rośliny. Nagi, ale tak pokryty farbą i piaskiem, kwiatami i liśćmi, że nie od razu to zauważyłam. Farba i inne rzeczy osłaniały cię niczym ubranie. Twoja twarz była czerwona, naznaczona pomarańczowymi i żółtymi kropkami i wirami. Wargi miałeś ciemnobrązowe. Nogi były szare, wyglądały, jakby były z granitu. Penis miał pomalowany na ciemno, gama zieleni i fioletów oraz szarawych liściastych gałązek. Odsunęłam się od ciebie szybko, patrząc w dół na twoje stopy. Miały barwę ochry, białe linie wiły się po nich niczym żyły. Wróciłam do drzwi, niepewna, czy mam zostać czy odejść. Wyglądałeś jak ktoś szalony, ale piękny zarazem.

- Właśnie to ci chciałem pokazać - wyjaśniłeś. - Piękno tego krajobrazu. Musisz zobaczyć, w jaki sposób jesteś jego częścią. - Twoje oczy lśniły na niebiesko pośród całego tego melanżu. Wydawały się nie na miejscu, za bardzo przypominały morze.

Ukląkłeś na podłodze, obok miseczki czerwonych płatków. Rozgniotłeś je, dodając wody, żeby sporządzić farbę. Zanurzyłeś w niej garść mchu, a potem sięgnąłeś do tyłu i rozmazałeś ją sobie po plecach jak gąbką, robiąc czerwone odciski mchu wszędzie, gdzie mogłeś sięgnąć. Trochę farby popłynęło w kierunku podłogi, formując się w długie, cienkie rzeczki.

Rozejrzałam się. Nie było tu żadnej liny, żeby mnie związać, żadnej broni. Za mną były otwarte drzwi. Bez trudu i w każdej chwili mogłam wyjść. Ale z jakiegoś powodu nie chciałam.

- Światło znika szybko - powiedziałeś.

Złapałeś garść roślin. Zanurzyłeś grube łądyżki w gęstej, czarnej substancji, starannie je nią pokrywając. Sięgnąłeś za plecy i usiłowałeś to przycisnąć do skóry. Westchnąłeś, kiedy nie mogłeś dosięgnąć tam, gdzie chciałeś, i wręczyłeś mi łądygi.

- Gem, czy możesz namalować na mnie wzory? - spytałeś. - Tym?

- Nie mam na to ochoty. - Odepchnęłam twoją rękę.

- Ale światło już gaśnie. Chcę to zrobić, zanim słońce zajdzie, wtedy zobaczysz, jak wszystko wygląda. - Twój głos był pełen niecierpliwości, twardy. Wziąłeś moją dłoń.

Trzymałeś ją w suchym ciepłe własnej, rozmazując barwy z twoich rąk na moje. Czerwień i czerń poplamiały mi palce, a na kostkach dłoni zrobiły znak jak siniak. - Proszę - powiedziałeś cicho. - Zrób to dla mnie. Wiesz, że cię odwożę. Obiecałem.

Twoje oczy błyszczały w świetle, twoje palce ścisnęły moje coraz mocniej. Wyplątałam rękę i wzięłam łądygę. Uklękałam za tobą i zanurzyłam ją w czarnej paście.

- Co mam narysować?

- Cokolwiek. To, co myślisz o tym miejscu.

Ręka trochę mi drżała, kropla farby spadła z rośliny na moje kolano. Koniec łądygi był ostry i poszarpany. Przyłożyłam go do twojej skóry, przycisnęłam i zrobiłam kropkę. Skrzywiłeś się trochę. Promień słońca wpadł przez okno, padając prosto na twoje plecy. Zmrużyłam oczy, nie widziałam najlepiej.

- Nic nie widzę.

- No to zrób to na ślepo.

Znowu zanurzyłam łądygę w czerni. Narysowałam prostą linię przez twoje łopatki. Podrapałam ci skórę łądygą, kiedy ją przyciskałam, by kolor został. Narysowałam kłęb kolców: spinifeks. A potem człowieka z ciałem z kreską i krzywym kółkiem w charakterze głowy. W twarzy umieściłam oczy i pokolorowałam je. A na czubku głowy namalowałam włosy jak płomień. Potem pośrodku ciała narysowałam małe, ciemne serce. Sięgnąłeś w tył i dotknąłeś mojego kolana.

- Skończyłaś?

- Prawie.

Narysowałam ptaka, lecącego przez twoją łopatkę. Potem u nasady twojego karku namalowałam czarne słońce, świecące na wszystko. Odwróciłeś się przodem do mnie, tak że nasze kolana się stykały, a twarze były oddalone o niecałe pół metra.

- Chcesz trochę? - Zanurzyłeś palec w kałuży gliny czerwonej jak krew i zrobiłeś mi linię na czole. - Mogę cię pomalować. - Dotknąłeś mojego policzka, tam też rozmazując glinę. - Czerwona ochra - szepnąłeś. - Dzięki niej wszystko jest bardziej intensywne.

Wyjąłeś mi liść z ręki i pociągnąłeś moją szyję w jego stronę, ale odsunęłam się.

- Nie - odmówiłam.

Wzruszyłeś ramionami; w oczach miałeś smutek. Potem chwyciłeś mnie za rękę, podrywając na nogi. Stawiałam tylko bardzo słaby opór. Przeszliśmy na środek pomieszczenia.

- A teraz zaczekamy - oznajmiłeś.

- Na co?

- Na słońce.

Pociągnąłeś mnie na dół, na piasek i liście, w samo centrum wszystkich tych farb i barw. Słońce świeciło przez okno tak mocno, że trudno mi było utrzymać otwarte oczy, nawet przymrużone. I zapach też był silniejszy - liściasty i ziołowy, ziemisty i świeży.

- Patrz w tę stronę - powiedziałeś.

Odwróciłeś się do ściany, ja też. Żółte promienie słoneczne padające zza naszych ciał podkreślały jaśniejsze wiry i kropki w malowidle, sprawiając, że wszystko wyglądało trójwymiarowo. Sięgnąłeś po kupkę suchych liści i zgmiotłeś je w dłoni, a potem spod kamienia wyciągnąłeś bibułki. Z innej kupki wzięłeś trochę popiołu i zmieszałeś go z liśćmi, po czym wysypałeś na bibułkę. Skręciłeś papierosa i skleiłeś, przesuwając po nim językiem. Kiedy zapaliłeś, zapach pojawił się znowu, ta ciężka, trawiasta woń palonych pustynnych liści: woń, która tego dnia przesiąkła wszystko w tej stodole. Zaciągnąłeś się głęboko, potem podałeś mi papierosa.

Był jak malutkie płonące drzewko między palcami. Obracałam go, przyglądając się lśniącemu, czerwonemu końcowi. Raz spróbowałam, nie wiem dlaczego. Może tego dnia byłam bardziej odprężona, miałam większą nadzieję, że mnie wypuścisz. Liście nie były tak mocne jak normalny tytoń, ale też nie pachniały tak intensywnie jak trawka. Subtelny ziołowy smak szybko wypełnił mi usta i poczułam, jak robię łagodny wydech, a moje ramiona trochę się rozluźniają.

Oparłeś się na łokciach. Im bardziej słońce zachodziło, tym żywsze stawały się kolory. Czerwień wszystko oświetliła, rozjaśniając ciemniejsze kawałki malowidła. Smugi światła padały na podłogę, rozświetlając miliony namalowanych kropek i płatki kwiatów. Karminy, pomarańcze i róże nabierały intensywności wokół nas, aż zaczęło się wydawać, że siedzimy pośrodku studni ognia... albo w samym wnętrzu zachodzącego słońca.

- Jest tak, jakbyśmy byli wewnątrz ziemi, prawda? - szepnąłeś. - Między płonącymi węglami.

Czułam na plecach gorąco, przyklejające mi koszulkę do kręgosłupa. Mrugałam, żeby kolory się nie rozmazywały. Przed oczami tańczyły mi czarne linie i kształty, jak granice płomieni. Potem słońce przesunęło się jeszcze niżej. Jego światło dosięgło twojego pomalowanego ciała, zmieniając cię w złoto... sprawiając, że zaśniłeś. Ziarenka piasku na twoich ramionach migotały. Ja też czułam słońce na skórze, jak nadaje jej łagodny brzoskwiniowopomarańczowy odcień. Całe pomieszczenie było skąpane w świetle.

Obserwowałeś mnie, twoje niebieskie oczy pływały w tym złocie. Zauważyłam czarne znaki na twym lewym policzku, malutkie zwierzęce ślady zmierzające w stronę włosów,

przechodzące prosto przez bliznę. Wyciągnąłeś rękę i dotknąłeś skóry na moim ramieniu, twoje upiaszczone palce były lepkie. Tam właśnie padały na mnie promienie słońca, tam skóra była najcieplejsza. Musnąłeś ją końcami palców.

- To światło wychodzi też z ciebie - powiedziałaś. - Lśniesz.

Obróciłam głowę i usiłowałam zobaczyć całe malowidło. Trochę kręciło mi się w głowie, albo od tych kolorów i światła, albo od skręta, nie wiem. To pomieszczenie było tak inne od wszystkich obrazów, które widziałam z mamą, jakoś dużo bardziej prawdziwe. I muszę przyznać było piękne. Dziko piękne. Twoje palce rysowały wzory na moim ramieniu, kółka i kropki. A ich dotyk już mnie nie przerażał.

Potem, bardzo szybko, słońce schowało się za oknem i kolory zniknęły. Znowu podałeś mi skręta; cienie pełzały po ścianach. Siedzieliśmy tam jeszcze chwilę, aż barwy całkiem wyblakły. Zamrugałam i oddałam ci papierosa. Nastął mrok i trudno było dostrzec rzeczy leżące na podłodze. Wstałam i potykając się, ruszyłam do drzwi.

- Zaczekaj, zaprowadzę cię - powiedziałaś.

Wziąłeś mnie za ramię. Szedłeś pewnie, jakbyś widział w ciemności. Kiedy dotarliśmy do wyjścia, poczułam chłód wieczora. Skuliłam się, a ty wróciłeś do środka po swoje ubranie. Podałeś mi podziurawiony wełniany sweter, który miałeś na sobie dziś rano.

- Włóż to. Ogrzejesz się.

Twój zapach - zapach potu, eukaliptusa i ziemi - wypełnił mi nozdrza, kiedy przełożyłam sweter przez głowę, wełna drapała mi ramiona. Gdy ponownie na ciebie spojrzałam, miałeś na sobie szorty. Wziąłeś mnie znów za łokieć i wyprowadziłeś na zewnątrz.

Gwiazdy już świeciły jasno na tle szarzejącego nieba. Księżyc zdawał się zawieszonym na boku uśmiechem. Pozwoliłam ci się prowadzić. Milczeliśmy. Jedyne dźwięki pochodziły od moich butów i od twoich bosych stóp stawianych na piasku. Daleko, daleko coś zawyło upiornie.

- Dingo - szepnąłeś.

W tamtej chwili w mojej głowie kotłowało się tyle myśli, tyle emocji. Twoja ręka mocno obejmowała mój łokieć, kiedy szliśmy. Jakiejś małej części mnie to się niemal podobało. Zamrugałam, kręcąc głową, nie chciałam się do tego przyznać. Ale to była prawda, czyż nie? Część mnie zaczynała ciebie akceptować. Zastanawiałam się - jeżeli jej się poddam, poszukam w tobie oparcia, dokąd mnie to doprowadzi?

- Jesteś głodna? - spytałeś.

Zaprzeczyłam. Zatrzymałam się i spojrzałam na nocne niebo. W tej chwili było nawet miło patrzeć na całą tę czerń. Po tych wszystkich kolorach była jakaś taka uspokajająca.

- Chcę tylko chwilę posiedzieć - powiedziałam. - Tutaj.

- Sama?

- Tak.

- Przyniosę ci koc.

Poszedłeś w stronę domu. Patrzyłam, jak twoje plecy rozplývają się w ciemności. Potarłam ramiona, czując na nich nagły powiew chłodu. Oddaliłam się od budynków dalej w piasek. Znalazłam gładką powierzchnię, bez żadnych roślin i kamieni, i usiadłam na niej. Piasek wciąż był ciepły. Zanurzyłam w nim ręce i poczułam, jak żar zachowany w ziarenkach wnika we mnie. Przycisnęłam nadgarstki do tego ciepła. Znowu rozległo się wycie i tym razem przysłała odpowiedź - kolejny jęczący duch w ciemności. Popatrzyłam w górę, na gwiazdy. Pojawiały się kolejne, zaludniały czerń, jakby to była godzina szczytu. I pewnie dla gwiazd była. Wydawało się, że na niebie jest ich tyle, ile ziarenek piasku dookoła mnie. Moje palce wniknęły jeszcze głębiej, a świerszcze tuż za mną rozpoczęły swój rozchwieany chór.

Poczułam wibracje twoich kroków. Na plecy miałeś zarzucony szary koc, a drugi przewieszony przez ramię. Nie zmyłeś z siebie piasku ani malunków. Ale farba i tak się trochę rozmazała, wokół twoich ust i oczu, na policzkach, na ramionach...

Owinałeś mnie jednym z koców, po czym podałeś mi kubek.

- Co to jest?

- To tylko zioła z wodą. Rozgrzejesz się.

- Nie jest mi zimno.

- Ale będzie.

Czysty, świeży zapach drzewa herbacianego unosił się wraz z parą. Napar był zbyt gorący, by wypić go od razu, ale miło było trzymać ciepły kubek w dłoniach. Pochyliłam nad nim głowę i wdychałam. Spojrzałam na gwiazdy i zabrałam ten roślinny zapach ze sobą. Ty też popatrzyłeś do góry, badając wzrokiem niebo, jakbyś czytał mapę. Kiwnąłeś lekko głową, nie wiem czemu.

- Masz wszystko, czego ci trzeba? - spytałeś.

Odwróciłeś się w stronę domu, ale zawahałeś się, zanim zrobiłeś krok. Przez chwilę stałeś bez ruchu, czekając, żebym coś powiedziała... chciałeś, żebym to zrobiła. Splotłeś palce i nerwowo kręciłeś młynka kciukami. Podałam się.

- Co widzisz tam, w górze? - Wskazałam ręką na niebo.

Uśmiechnąłeś się z wdzięcznością.



- Mogę zobaczyć, co tylko zechcesz.

- Znasz wzory?

- Chodzi ci o konstelacje? - Wzruszyłeś ramionami. - Znam swoje.

- Nie bardzo rozumiem.

Szybko przykucnąłeś przy mnie.

- Znam obrazy, które tylko ja widzę na niebie. Mogę zobaczyć twarze ludzi, nawet układ terenu... właściwie cokolwiek. Jeśli będziesz patrzeć na te gwiazdy dość długo, pokażą ci wszystko, co chciałabyś wiedzieć: wskażą ci kierunki, wyjawią pogodę, godzinę, opowiedzą swoje historie...

Nie odsunąłeś się, nie wróciłeś do domu. Zamiast tego usiadłeś koło mnie i zanurzyłeś ręce w piasku. Wyszczrzyłeś się, kiedy zobaczyłeś, że zakopałam też swoje buty. Zagrzebałeś stopy. Trochę przypominało mi to zabawę z Anną - gdy chowałyśmy się pod tą samą koldrą. Tamte czasy wydawały się odległe o miliony lat.

Byliśmy tak cicho jak ćma fruująca wokół nas. Chwyciłam ją - trzepotała się w mojej pięści. Kiedy otworzyłam dłoń, siedziała przez chwilę, poobijana. Była tego samego koloru co moja opalona i brzoskwiniowa skóra. Światło księżyca ukazywało delikatne wzory na jej skrzydłach, wijące się, mało wyraźne. Ćma miała włochate czułki. Jej nogi zaczęły się poruszać, łaskocząc mnie. Jak takie coś mogło żyć? Wydawała się niezwykle delikatna. Potrząsnęłam ręką, upadła na piasek. Popchnęłam ją trochę, aż odleciała, z początku chwiejnie, ale po chwili znowu zaczęła się kręcić wokół nas.

- Ta ćma jest za wcześnie - odezwał się. - Normalnie pokazują się parę tygodni później. Masz szczęście.

Uśmiechnąłeś się, twoje oczy zmarszczyły się w kącikach. Szybko odwróciłam wzrok; pragnęłam patrzeć ci w oczy, ale jednocześnie wiedziałam, że nie powinnam. Niektóre gwiazdy mrugały do mnie, inne były nieruchome. Słyszałam w ciemności wysokie piski nietoperzy, ciemne sylwetki przemykały bezszelestnie na tle aksamitnego nieba. W tej chwili czułam się tak, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na całym świecie. I nie chcę, żeby zabrzmiało to kiczowato, lecz naprawdę tak było. Jedynymi dźwiękami wokół nas były gra świerszczy i pisk nietoperzy, odległy wiatr na piasku i czasami dalekie wycie psów dingo. Nie było żadnych klaksonów. Żadnych kolejek. Żadnych piszczących sygnalizatorów na przejściach dla pieszych. Żadnych kosiarek. Samolotów. Syren. Alarmów. Nie było niczego ludzkiego. Gdybyś mi w tej chwili powiedział, że uratowałeś mnie przed nuklearną katastrofą, może nawet bym ci uwierzyła.

Położyłeś się na piasku, twarzą do gwiazd. Byłeś tak cicho, że mogłeś równie dobrze spać albo nie żyć.

Szturchnęłam cię.

- No, co jest? - Na pół się uśmiechnąłeś. - Myślę o gwiazdach.

- Co z nimi?

- Jak wszystko są jednocześnie wieczne i chwilowe.

- O co ci chodzi?

Mówiłeś w górę, do nocnego nieba.

- Chodzi mi o to, że gwiazda tam daleko, po prawej w tej chwili mruga do mnie jak szalona, ale ile to jeszcze potrwa? Godzinę, dwie czy kolejne miliony lat? I jak długo będziemy tak tu siedzieć? Jeszcze chwilę czy też resztę życia? Wiesz, co bym wołał...

Zignorowałam twoją uwagę, zamiast tego sama popatrzyłam na gwiazdy.

- O ile pamiętasz, to ja przyszłam tu posiedzieć, a ty tylko przylazłeś za mną.

Uniosłeś się na łokciach.

- Mam sobie iść?

Twoja twarz była oddalona od mojej o niecałą szerokość ramienia. Mogłam się do ciebie pochylić albo ty do mnie. Mogliśmy się pocałować. Obserwowałeś mnie, czułam na skórze twój gorący, pachnący liśćmi oddech. Wargi miałeś lekko rozchylone, suche i popękane na brzegach. Potrzebowały trochę wilgoci, żeby je zmiękczyć. Sięgnęłam i starłam kawałek farby ciągle przyklejony do twojego krótkiego zarostu. Przytrzymałeś moje palce na swoim podbródku. Zamarłam, poczułam klucie brody na czubkach palców, a jednocześnie ciepło twojej dłoni. Co ja sobie myślałam? Odwróciłam się z powrotem do gwiazd. Po chwili pozwoliłeś mi cofnąć dłoń.

- Ja chcę tu tylko posiedzieć - powiedziałam drżącym głosem. - Ty możesz robić, co chcesz.

- Chcę zostać.

Dalej gapiłam się w niebo, nie ufałam sobie na tyle, żeby ponownie na ciebie spojrzeć. Tuż nad horyzontem lśniła grupka szczególnie jasnych gwiazd. Były jak małe miasteczko zbudowane z mrugających światełek. Prowadziła w ich stronę błyszcząca gwiazdna autostrada. Zauważyłeś, na co patrzę.

- Siostry - powiedziałeś. - Tak niektórzy je nazywają.

- Dlaczego?

Usiadłeś, zaskoczony moją rozmownością.

- Te gwiazdy były kiedyś pięknymi kobietami. Pierwszymi na ziemi. Kroczyły przez świat, a za nimi wyrastały drzewa i kwiaty, wylaniały się skały. Rzeka płynęła po ich śladach. Ale kiedy pewnego razu kobiety się kąpały, zainteresował się nimi męski duch. Zaczął im się przyglądać i postanowił uczynić z nich swoje żony. Udał się w pogoń za nimi, a kobiety uciekały. Tylko jedno jedyne miejsce wydawało im się bezpieczne - uciekły na niebo i zamieniły się w gwiazdy. Jednak on i tam za nimi podążył; zamienił się w gwiazdę i odtąd jest zawsze w ich pobliżu. - Uniosłeś rękę i wskazałeś na jedną z najjaśniejszych gwiazd. - Widzisz? Tam jest. - Potem zarysowałeś linię między nią a tymi, które nazwałeś Siostrami. - Widzisz? Tkwi tam zawsze, ściga Siostry przez całą wieczność... lecz wciąż nie może ich dogonić.

Zadrzałam.

- Czyli Siostry nigdy nie będą mogły się od niego uwolnić?

- Nie, to fakt. - Poprawiłeś mi koc na ramionach. - Ale on też ich nigdy nie złapie. Jest wciąż za nimi, wciąż je obserwuje... wciąż ich pragnie. Goni je przez cały świat. Zobaczyłabyś, jak je goni w Londynie, gdybyś tylko uważnie popatrzyła.

- Wiesz, że w Londynie nie widać gwiazd, nie naprawdę.

Opadłeś znów na piasek.

- Może i nie. Ale i tak tam jest. Za chmurami, za światłami... patrzy.

Siedzieliśmy dalej, ja piłam napar, który przyniosłeś, a ty mówiłeś o gwiazdach. Miałaś rację co do herbaty. Miałam wrażenie, że płyn rozchodzi mi się pod skórą i rozgrzewa. Zapytałeś, czy masz rozpaścić ognisko, ale pokręciłam głową, nie chciałam, żeby cokolwiek zakłócało feerię światła nad nami. Pokazałeś mi kilka obrazków, które widziałeś na niebie. Wskazałeś niewielką grupkę gwiazd, które twoim zdaniem wyglądały jak Samotne, potem dwie jaśniejsze gwiazdy - baraki i kolejną - dom, a na końcu dwie niebieskawe, które według ciebie były nami. Zmrużyłam oczy i też próbowałam to zobaczyć. Ale ja widziałam tylko gwiazdy.

- Widzisz Londyn? - spytałeś. - Tam w górze?

- O co ci chodzi?

- Dostrzegasz miasto? Mosty? Możesz je zobaczyć w gwiazdach?

Przyjrzałam się niebu. Już znajdowało się tam tyle gwiazd, a co chwila pojawiały się nowe. Było ich zbyt wiele, żeby cokolwiek wyraźnie zobaczyć. Zarysowałam linię między kilkoma gwiazdami i usiłowałam odnaleźć kształt Big Bena, tak jak ty odnalazłeś zarysy Samotnych. Przekręciłeś się i spojrzawszy na mnie.

- Zabawne, prawda? - zacząłeś cicho. - Patrzysz sobie w górę i znajdujesz miasto, a ja patrzę na Londyn i widzę krajobraz.

Zmarszczyłam brwi, zerkając na ciebie.

- Jaki krajobraz?

- No, to wszystko pod spodem. - Potarłeś palcami brodę, zastanawiając się. - Całą tę ziemię i życie, zawsze tuż pod betonem, gotowe przebić się z powrotem przez chodnik i w każdej chwili przejąć miasto. Całe to życie pod martwością.

- Londyn to coś więcej niż kupa betonu.

- Może i tak. - Twoje oczy lśniły w ciemności. - Ale bez ludzi przyroda by powróciła. Starczyłoby jakieś sto lat, żeby znowu wygrała. My jesteśmy tylko tymczasowi.

- Ale jesteśmy. Nie możesz ignorować ludzi, budynków i wszystkiego w mieście. Nie możesz tego wykluczyć. Wtedy nie zostałyby nic...

Urwałam, przypominając sobie, co zostawiłam, myśląc o mojej jeździe do szkoły piętrowym autobusem, obok muzeów i kutych bram parków. Pomyślałam o tych dwóch starszych paniach, które siedziały przede mną i rozmawiały o serialach. Mocno objęłam ramionami łydki i wyobraziłam sobie, co się dzieje w domu. Szkoła będzie się zaczynać, Anna i Ben wrócili już z wakacji, lato się skończyło. Liście zmieniają kolor z zielonego na brązowy i opadają na place zabaw. W budynkach szkolnych nie włączyli jeszcze ogrzewania, olbrzymi hol rano jest wyziębiony. Brakowało im mnie? Czy ktokolwiek zbierał dla mnie notatki? A może już dali sobie spokój? Przycisnęłam usta do kolan, łzy spływały mi po policzkach. Schowałam twarz, żebyś tego nie zauważył. Ale ty i tak dostrzegłeś. Usiadłeś i przysunąłeś się do mnie.

Położyłeś dłoń na moich drżących plecach. Była ciepła i silna.

- Masz rację - szepnąłeś. Czułam twój oddech na karku. - Może w mieście są czasem i dobre rzeczy... piękne rzeczy.

Potem przyciągnąłeś mnie do siebie. Zrobiłeś to łagodnie i delikatnie, najpierw objąłeś mnie za ramiona, a potem pociągnąłeś do tyłu. Opadłam na ciebie, jakby w zwolnionym tempie. Owinąłeś wokół mnie swoje ciepłe ramiona i koce, niczym kokon. Pomyślałam o tej ćmie, którą złapałam - bezpieczna, ale w pułapce, w ciemności między moimi palcami.

- Przepraszam - powiedziałeś. - Nie chciałem cię zdenerwować.

Czułam, że ty też drżysz. Objąłeś mnie mocniej, przyciskając do swojego dygoczącego ciała, do farby na nim i do piasku. Wtuliłam się w ciebie, tym razem chcąc czegoś w zamian. Twój ziemisty zapach przeszedł na mnie. Otarłeś mi policzki, wcierając farbę we włosy. Zostałam, zwinięta w ciepłe twojego ciała, pod kocami, jak miękkie coś w

muszli. Twoje twarde ramiona oplecione wokół mnie były jak skała. Czułam, jak twoje wargi ocierają się o moje włosy. Czułam ciepło twojego oddechu na czubkach uszu. Zesztywniałam, ale się nie odsunęłam.

Ostrożnie ważyłam w myślach słowa.

- Gdybyśmy byli w Londynie - zaczęłam. - Przed tym wszystkim, gdybyś mnie znał tak jak teraz... też byś mnie ukradł?

Długo milczałeś, twoje ciało zamarło.

- Tak - szepnąłeś. Odgarnąłeś mi włosy za uszy. - Nigdy nie przestanę cię chcieć.

Owinąłeś mnie ciasniej kocami. Czułam twoje ciepłe dłonie wokół ramion, palce grzejące moją skórę. Po chwili znowu położyłeś się na piasku, nadal mnie trzymając. Nie miałam dość energii, by dalej z tobą walczyć. Poza tym byłeś ciepły, taki ciepły. Ty leżałeś na piasku, a ja z głową opartą o ciebie, z policzkiem na twojej piersi. Czułam, jak twoje ciało odpręża się i mięknie. Też wcisnęłam się w piasek. Wciąż było w nim ciepło, nawet teraz. Obejmowałeś mnie jedną ręką, a drugą głaskałeś po włosach. I mówiłeś. Szeptałeś mi opowieści o tym, jak została stworzona pustynia, wyśpiewana przez duchy ziemi. Opowiedziałeś mi, jak wszystko było splecione, cały świat wokół mnie balansował na skrzydle ćmy. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, by twój głos mnie ukołysał. Jego rytm był jak płynący potok. Znowu poczułam twoje wargi, muskające moje czoło. Były miękkie, nie suche. A twoje ramiona przyciągnęły mnie, głęboko w ziemię.

I zasnęliśmy, właśnie tak.

Obudziła mnie chłodna różowość. Świt. Jeszcze zanim otworzyłam oczy i zobaczyłam, że cię nie ma, poczułam brak twojego ciepła obok mnie. Brakowało mi go. Wyciągnęłam rękę: w miejscu, gdzie wcześniej leżałeś, piasek nadal był ciepły. Może odszedłeś niedawno i piasek zachował temperaturę. Nadal był w nim odcisnięty twój kształt. Przesunęłam palcami po wgłębieniach, gdzie leżały twoja głowa, twoje szerokie ramiona, plecy i nogi. Piasek był w tych miejscach twardy i zbity. Tu i tam pozostały ślady farby.

Owinęłam się ciasniej kocami, odcinając od tej chłodnej świeżości poranka. Ale już było za jasno. Kiedy zamknęłam oczy, przez powieki zaczął się przedostawać pomarańczowy blask. Usiadłam. Cała byłam w piasku. W nocy musiało wiać. Zabawne, wcale tego nie czułam. Linia kamieni prowadziła do gładkiej połaci parę metrów dalej. Poszłam wzdłuż nich.

W piasku wypisane były słowa. Stałam nad nimi, żeby je przeczytać.

Poszedłem złapać węża. Na razie. Tyler x.

Uklękłam obok i palcami obrysowałam „x”. Zatarłam znak i narysowałam znowu. Nie wyglądałeś na faceta, który pisałby w piasku „x” - całus. Trochę mi się ścisnął żołądek, kiedy o tym pomyślałam, ale tym razem nie ze strachu.

Wstałam. Byłam przemarznięta i musiałam się ruszyć. Popatrzyłam na dom, ale nie chciałam wchodzić do środka. Jeszcze nie. Tak naprawdę to chciałam znowu poczuć wokół siebie twoje twarde, rozgrzane ramiona. Pragnęłam twojego ciepła. Skrzyżowałam ręce, obejmując się i próbując rozgrzać. Ludzie są czasem jak owady, przyciąga ich gorąco. Coś jak tęsknota za podczerwienią.

Moje spojrzenie błędziło po krajobrazie, szukając ludzkiego ciepła. Konkretnego człowieka.

Zamrugałam i potarłam oczy. Zachowywałam się jak idiotka. I nie mogłam tego zrozumieć. Chciałam być blisko ciebie, a jednocześnie nie chciałam. To nie miało żadnego sensu. Nawet się nad tym nie zastanawiając, ruszyłam w stronę Samotnych.

Zatrzymałam się koło wielbłądźicy. Siedziała, wyglądała sennie. Podniosłam rękę do jej głowy i pogłaskałam ją między oczami. Zamrugała, a jej rzęsy połaskotały mnie w nadgarstek. Usiadłam obok niej, przytulając się do ciepłej, zakurzonej sierści, i obserwowałam róże i szarości wschodu słońca.

Poranek był doskonały, nieruchomy. Z daleka słyszałam wrzaski stada ptaków, które przyleciało do Samotnych na poranną kąpiel. Zdjęłam buty i zanurzyłam palce stóp w piasku. Ocierałam je o ziarenka. Próbowałam nie ruszać się przez dłuższą chwilę, usiłując się odprężyć, z wielbłądem i porankiem. Ale chciałam znaleźć ciebie.

Poszłam. Boso. Ostrożnie stąpałam przez kłujące rośliny, skakałam po kamieniach i tak poruszałam się przez Samotne. Wtedy zobaczyłam świeże ślady w piasku. Twoje. Postawiłam stopę w jednym z nich - odcisk twoich palców i pięty całkowicie ją otaczał.

Muskałam palcami skały i drzewa, idąc powoli. Powierzchnia kamieni zmieniała się z gładkiej w szorstką. Dotknęłam falistych linii, pozostawionych przez pradawne strumyki. Czarny ptak zakrakał z drzewa - nieprzyjemne, alarmujące wołanie. Może ostrzegął swoich kolegów przede mną, niezręcznym człowiekiem brnącym niepewnie przez ich terytorium.

Szłam dalej. Zbliżałam się do ostrego, zębatego kawałka skały, wystającego z podstawy Samotnych. Zasłaniał mi widok. Ale widziałam, że jest wokół niego ścieżka - duże, gładkie kamienie, po których można iść. Dla równowagi podpierałam się ręką, przeskakiwałam z kamienia na kamień. Chłód pod stopami był przyjemny. W szczelinach rosły białe kwiateczki, podobne do rozczochranych stokrotek.

Niemal obeszłam całą tę zębatą część, a wtedy usłyszałam ruch po drugiej stronie. Parę stęknęć. Potem cisza. To mogłeś być tylko ty. Zatrzymałam się, chwytając się skały, a mój oddech przyśpieszył. Powinnam się pokazać? A może lepiej poczekać tutaj? Wytężałam słuch, czekając na dźwięki świadczące o twojej obecności. Usłyszałam cichy szelest liści. Stłumione przekleństwo. Potem znowu zapadła cisza. Przywarłam do skały i zaczęłam obchodzić ją powoli.

- Gemma?

Twój głos tak mnie zaskoczył, że omal nie upadłam. Zdołałam jednak utrzymać równowagę. Stałeś naprzeciwko mnie, z wyciągniętymi ramionami. Przez sekundę myślałam, że to na mnie tak czekasz, żeby mnie przytulić i objąć jak poprzedniej nocy. Promienie słońca padały na twoją klatkę piersiową, skóra ci lśniła. Nadal widać było na niej i na włosach ślady farby. Chciałam do ciebie podbiec, ale coś w twoim spojrzeniu mnie zatrzymało.

- Gdzie masz buty? - szepnąłeś.

Zmarszczyłam brwi. Potem sobie przypomniałam.

- Wąż.

Pokiwalesz głową.

- Prawie go miałem, ale potem usłyszałem ciebie. Nie myślałem, że pójdziesz za mną. - Twoje spojrzenie było łagodne, zaciekawione. Uśmiechnąłeś się lekko. - W porządku - szepnąłeś znowu. - Ten wąż nie jest agresywny. Nie będzie chciał cię ukąsić. Tylko się nie ruszaj... zostań tam i nie schodź na piasek, okej?

- Na pewno? - Nagle głos zaczął mi drżeć. Zakasłałam, nie chciałam, żebyś pomyślał, że się boję. - Może powinnam wrócić do domu?

- Nie, lepiej się nie ruszaj. Jest gdzieś blisko, lepiej, żeby ruch go nie zdenerwował. Usiądź na kamieniu, a potem nie ruszaj się, ale bądź czujna. Ja go poszukam. - Odgarnąłeś kosmyk włosów z oczu. - Nie martw się, Gem, złapałem ich już setki.

Zrobiłam, co mi kazałeś, i ostrożnie uklękłam na skale. Przesuwałeś się powoli, jak krab. Najpierw wysuwałeś jedną stopę, ostrożnie badając piasek, a potem dopiero przesuwałeś resztę ciała.

- Co robisz?

- Ten wąż się chowa. Zakopuje się w piasku, żeby nie było go widać. Jest nieśmiały, ale i bardzo sprytny. Ofiary same przychodzą do niego, właściwie nigdy nie musi polować.

Kiedy trochę się do mnie zbliżyłeś, nagle spod kupki suchych liści obok mojego kamienia wynurzył się sam koniuszek ogona. Rzuciłam się do tyłu.

- Jest tam - szepnęłam.

- Nie ruszaj się.

Całe moje ciało się napięło; bardziej niż czegokolwiek pragnęłam teraz popędzić do domu. Popatrzyłam tam, gdzie wystawał ogon. Dookoła liści widać było gładkie wzniesienie w piasku. Wąż się tam schował. Przyczaiłeś się trochę, idąc w moją stronę jak ninja, nie odrywając wzroku od kupki piasku przede mną.

- W porządku, patrzy na mnie - powiedziałaś. - Wie, że to ja jestem niebezpieczny.

Przesuwałaś się w stronę niewielkiego wzniesienia, zbliżyłeś się już na niecałe pół metra. Wtedy wąż uniósł głowę, zrzucając swój kamuflaż. Wstrzymałam oddech. Był mniej więcej długości mojego ramienia i miał kolor piasku z cienkimi, żółtymi paseczkami biegnącymi w poprzek jego ciała. Obserwował cię w skupieniu. Ty zamarłeś, obserwując go... każdy czekał, co zrobi drugi.

- Uważaj - szepnęłam.

Przy tych słowach spojrzaleś na mnie. Wąż to dostrzegł. I wybrał tę chwilę na ucieczkę. Niestety, jego droga prowadziła w stronę kamienia, na którym siedziałam, błyskawicznie podpełznął w moją stronę. Zobaczyłam jego płaski pysk, dużą, trójkątną głowę i migający język. Kiedy patrzył na mnie, ty zaryzykowałeś dwa kroki w jego stronę. Ale on wyczuł wibracje. Odwrócił się. Jego język pojawiał się co chwila, próbując odnaleźć źródło zagrożenia. Kiedy cię znalazł, wyprostował się, wydłużył, gotów do ataku. Zatrzymałeś się z wyciągniętymi ramionami. Dzielił was tylko krok. Wystarczyłby jeden ruch. Wąż zawahał się chwilę, obserwując. Ty byłeś gotowy, aby go złapać. Lecz wąż zaskoczył nas oboje. Odwrócił się od ciebie i znowu zaczął szybko pełznąć po piasku w moją stronę. Rzuciłeś się na niego i złapałeś koniec ogona. Wyślizgnął ci się bez trudu. Przyspieszył, zygzakami pokonując przestrzeń dzielącą go ode mnie.

- Próbuje uciec! - krzyknęłaś, podczas gdy zbliżał się coraz bardziej. - Nie ruszaj się. Zostań na miejscu. On się po prostu boi.

Ale nie mogłam się powstrzymać. Wąż był już tylko kilka centymetrów ode mnie. Jego głowa kołysała się lekko, różowy język co chwila dźgał powietrze. Skoczyłam do tyłu, usiłując wdrapać się na skałę. Prawa stopa znalazła oparcie.

Tylko że wąż zmierzał w tym samym kierunku. Czułam, jak jego ciało przesuwają się po mojej drugiej stopie. Spojrzałam w dół i wrzasnęłam, a potem straciłam równowagę. Moja stopa zjeżdżała po skałę. Próbowałam wcisnąć ją w szczelinę, by się zatrzymać. Tymczasem wąż mknął w stronę rozpadliny u podstawy skały. Niestety, nie dość szybko. Ułamek sekundy później moja stopa ciężko opadła na jego ogon, a on obrócił się do mnie. Zobaczyłam szeroko otwarte szczęki, olbrzymie, spiczaste zęby - to było ostrzeżenie. Wygięłam się w tył, usiłując



uciec, ale wężowi nie spodobał się ten ruch. Jego głowa śmignęła w moją stronę. Ukąsił mnie w nogę. A potem zniknął w szczelinie pod skałą.

Natychmiast znalazłeś się przy moim boku.

- Dostał cię? - Chwyciłeś moją nogę i obróciłeś. - Widziałem, jak atakuje.

Badaleś mnie ostrożnie, delikatnie naciskając na skórę. Pomacałeś w górę do kolana i z powrotem. Potem znalazłeś to, czego szukałeś. Tuż nad kostką miałam małe zadrapania, jakbym się otarła o ostry cierń. Przesunąłeś po nich kciukiem, a także po skórze wokół nich. Popatrzyłeś na mnie.

- Daj mi koszulkę - powiedziałeś.

- Co? Dlaczego?

- Twoja koszulka albo moje szorty, wybieraj. Muszę zatrzymać truciznę, żeby nie rozprzestrzeniała się w górę.

Spojrzałam w twoje poważne niebieskie oczy.

- Weź koszulkę.

- Nie martw się - szepnąłeś. - Wiem, co robić. Mam antidotum. - Spróbowałeś się uśmiechnąć, ale nie wyglądało to zbyt szczerze. Ja tylko patrzyłam na ciebie, chyba ciągle byłam w szoku. Przysunąłeś się bliżej, siadając koło mnie, żebym mogła się o ciebie oprzeć. - No, daj mi tę koszulkę.

Skrzyżowałam ramiona i ściągnęłam Tshirt przez głowę. Natychmiast mi go zabrałeś. Owinęłam ramiona wokół stanika, ale ty ani razu nie spojrzales na moje ciało, tylko znalazłeś długi, prosty patyk i przycisnąłeś go do dolnej części mojej łydki.

- Przytrzymaj go tutaj - poleciłeś.

Przycisnęłam go do swojej skóry, a ty rozdarłeś moją koszulkę na pół. Szybko owinąłeś ją wokół zranionej nogi, mocno naciągając materiał, żeby patyk się nie poruszał.

- Nic nie czuję - powiedziałam. - Jesteś pewien, że mnie ugryzł?

- Uhm. - Zmarszczyłeś czoło. - Ale może nie wstrzyknął jadu. Miejmy nadzieję. Z drugiej strony, wiesz, gdyby to na mnie ktoś tak stanął... - Znowu ten mocno wymuszony uśmiech, ale nie byłeś w stanie skończyć zdania. Nagle spoważniałeś i chwyciłeś mnie obiema dłońmi za głowę. Poglaskałeś kciukiem mój policzek. - Od teraz musisz mi mówić, jak się czujesz... bóle głowy, mdłości, omdlenie, cokolwiek dziwnego... wszystko. To ważne.

Na twoim czole widać było kropelki potu. Wyciągnęłam rękę i otarłam je.

- Okej. Ale teraz czuję się całkiem dobrze.

- W porządku. - Wziąłeś mnie za rękę. - Musisz zachować spokój i nie ruszać się za bardzo. Czy tam jest jad czy nie, nie powinnaś się denerwować.

Pokiwałam głową. Nie podobała mi się powaga w twoim głosie. Zerknęłam na swoją obandażowaną nogę. Wydało mi się, że zaczynam czuć drętwienie wokół kostki.

Zamknęłam oczy i usiłowałam nie panikować.

- Trzymaj nogę tak prosto i nieruchomo, jak tylko możesz - powiedziałeś.

Ostrożnie wsunąłeś jedno ramię pod moje kolana, a drugie pod gołe plecy. Wstałeś powoli, bardzo delikatnie mnie podnosząc. Trzymałeś mnie trochę z dala od swojego ciała, starając się, żebym leżała maksymalnie płasko i nieruchomo. Widziałam, jak wszystkie mięśnie drżą ci z wysiłku.

- Zabieram cię do domu.

Szedłeś szybko, starannie wybierając trasę między kamieniami a spinifeksem. Skrzywiłeś się, gdy stanąłeś na kupce gałązek.

- Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało - szeptałeś uspokajająco.

Szybko przeszedłeś obok wielbłądzicy, oddychając z coraz większym trudem. Czułam, jak twoje mięśnie drżą z wysiłku, pewnie niełatwo było ci trzymać mnie w ten sposób. Zamknęłam oczy przed promieniami słońca. Były takie jasne i ostre. Odwróciłam twarz do twojej piersi, przyciskając czoło do skóry.

- Co się dzieje? - mruknąłeś.

Poczułam odgłos słów w twojej klatce piersiowej. Odpowiedziałam szeptem.

- Zaczyna mnie boleć głowa.

Wpuściłeś szybko powietrze, nim poszedłeś dalej.

- Zajmę się tym. Obiecuję. Tylko nie panikuj.

Nic nie mówiłam. W kostce czułam tępy ból, wędrujący w górę nogi. Skupiłam się na nim.

Tylem przeszedłeś przez próg i wniosłeś mnie do kuchni. Delikatnie położyłeś mnie na stole. Zniknąłeś na chwilę, po czym usłyszałam cię w przedsionku, jak pośpiesznie otwierasz szafkę. Światło wpadające przez drzwi oświetlało pomieszczenie, przekręciłam głowę w stronę szafek kuchennych. Wróciłeś z paroma ręcznikami. Jeden zwinąłeś i podłożyłeś mi pod głowę.

- Jak się czujesz?

- Trochę dziwnie.

- Dziwnie to znaczy jak?

- Po prostu dziwnie. Nie wiem. Jakby mnie brał katar, czy coś.

Przełknąłeś ślinę.

- Coś jeszcze? Ból w kostce? Odrętwienie?

Skinęłam głową.

- Troszkę.

Sprawdziłeś puls na moim nadgarstku i dotknąłeś mojego czoła wierzchem dłoni. Lekko nacisnąłeś mi kostkę. Strzepnąłeś drugi ręcznik i położyłeś mi go na piersi, marszcząc brwi.

- Może lepiej przyniosę ci koszulkę, co?

- Co?

Ruchem głowy wskazałeś mój stanik, rumieniąc się lekko.

- Nie chcę, żebyś czuła się skrępowana. - Uniosłeś brew i znowu pojawił się ten wymuszony uśmiech. - Ja muszę się skupić, nie?

Poszedłeś po koszulkę. Przez otwarte drzwi słyszałam krzyk drapieżnego ptaka, krążącego wysoko nad nami, ale nic poza tym. Przesunęłam ręką po udzie. Jak poważne było to ukąszenie? Nie mogłam dojść, czy te twoje żarty były dlatego, że się tym nie przejmowałeś, czy dlatego, że usiłowałeś zamaskować strach.

Wróciłeś szybko, podałeś mi koszulkę i podtrzymywałeś mnie, kiedy ją wkładałam, żebym nie musiała za bardzo się ruszać. Wyszedełś, żeby przynieść metalową skrzynkę. Otworzyłeś ją, wyjąłeś zwitek bandaża i zacząłeś owijać nim opatrunek na mojej nodze. Doszedłeś od stopy aż do biodra, podwijając mi szorty, żeby móc zabandażować udo. Pod twoim dotykiem łaskotała mnie skóra. Mocno zawiązałeś bandaż.

- Nie mogę uwierzyć, że byłem taki głupi - mruknąłeś ze złością.

- Jak to?

- Przecież pozwoliłem, żeby cię ugryzł. - Odstawiłeś metalową skrzynkę na ziemię i głośno w niej grzebałeś. Na podłogę wypadały plastry, bandaże i gumowe rękawiczki. - Powinienem złapać tego węża dawno temu - ciągnąłeś. - Albo przynajmniej uodpornić cię na niego. Ale mnie węże nigdy nie gryzą, więc chyba miałem nadzieję... myślałem, że na to wszystko wciąż mamy czas...

Twoje słowa ucichły, gdy znalazłeś to, czego szukałeś. Wyjąłeś rękę ze skrzynki. Kiedy prostowałeś palce, wydało mi się, że drżą. Trzymałeś w nich klucz. Kiedy wstałeś, zobaczyłam, jaki jesteś blady. Przypomniało mi się, jak wyglądałeś, kiedy śniły ci się te koszmary. Nagle poczułam potrzebę dotknięcia cię. Wyciągnęłam lekko dłoń w twoją stronę.

- Ukradłem antidotum z laboratorium badawczego - wyjaśniłeś. - Nic ci nie będzie.

Pomaszerowałeś do zamkniętej szuflady koło zlewu i wsadziłeś klucz w zamek. Przetrzasałeś jej wnętrze, twoje plecy nie pozwalały mi zobaczyć, co właściwie tam jest. Wyjąłeś kilka szklanych fiolek i plastikową torebkę pełną przezroczystego płynu. Położyłeś

wszystko na ławie, a potem wyjąłeś gumową rurkę i coś, co wyglądało na igłę. Kiedy odwróciłeś się znów w moją stronę, zauważyłam, że szufladę zostawiłeś otwartą. Chwyciłeś moje ramię, zbadałeś żyły. Spojrzałam na fiolki. Już je kiedyś widziałam, ustawione przed tobą na stole.

- Wiesz, co robisz? - szepnęłam.

- Jasne. - Potarłeś czoło. - Nic ci nie będzie. Zresztą ten wąż nie jest aż tak niebezpieczny...

- A jak jest niebezpieczny?

- Wyleczę cię. - Owinąłeś mi gumę wokół ramienia, zaciągając ją mocno nad miejscem, gdzie przyciskałeś moje żyły.

- Nie patrz - rozkazałeś.

Zerknęłam na wysuniętą szufladę. Usłyszałam trzaśnięcie, kiedy otworzyłeś jakieś opakowanie. Poczułam ukłucie igły, wstrząs, kiedy przyczepiłeś plastikową torebkę... ulgę, kiedy rozwiązałeś zacisk na moim ramieniu. I płyn spływający prosto do żył.

- Co to jest? - spytałam, nadal patrząc na szuflady.

- Sól fizjologiczna, też z laboratorium. Dodałem do niej antidotum na jad zdradniczej śmiercionośnej. Gdy tylko dopłynie ci do żył, poczujesz się lepiej.

Odwróciłam głowę do ciebie, kiedy dotarły do mnie twoje słowa.

- Śmiercionośnej...?

Pogłaskałeś mnie po policzku.

- Nazywa się groźniej, niż jest naprawdę.

Spojrzałam na torebkę płynu powoli spływającego do mojego ciała; na metalową igłę wbitą w ramię.

- Skąd wiesz, jak to się robi?

Uciekłeś w bok spojrzeniem.

- Ćwiczyłem na sobie. - Popukałeś w torebkę, sprawdzając, jak szybko spływa płyn.

- Co teraz?

- Teraz czekamy.

- Jak długo?

- Jakies dwadzieścia minut, nie wiem. Aż się skończy torebka.

- A potem?

- Potem zobaczymy.

Wyciągnąłeś spod stołu krzesło i usiadłeś przy mnie. Lekko musnąłeś palcem igłę w moim ramieniu.

- Po tym będzie mi lepiej? - spytałam, ruchem głowy wskazując na kroplówkę.

- Mniej więcej. - Znowu dostrzegłam pot na twoim czole. Zobaczyłam, jak pulsuje ci skroń.

- Martwisz się - szepnęłam. - Prawda?

Pokręciłeś głową.

- Nie. - Oddychałeś ciężiej, ale usta ułożyły ci się w uśmiech. - Nic ci nie będzie. Mam jeszcze jedną fiolkę, jeśli będzie trzeba. Ale nie będzie. Odpręż się i spokojnie poczekaj. Tylko o to cię proszę.

Ale twoje spojrzenie pozostało wciąż niespokojne, kąciaki oczu drżały ci lekko. Specjalnie wypuściłeś powoli powietrze i przycisnąłeś palce do drgających miejsc.

- Co się ze mną stanie? - szepnęłam. - Co przede mną ukrywasz? - Czułam, jak oddech mi przyspiesza, a moje gardło się zaciska.

- Nic - odparłeś szybko. - Tylko nie panikuj, tego nam naprawdę nie trzeba. Kiedy wpadasz w panikę, krew krąży szybciej, a jad wraz z nią. - Położyłeś ręce na moich ramionach, masując mi mięśnie karku. - Odpręż się - wymruczałeś.

Ale ja nie mogłam się uspokoić, nie do końca. Wciąż myślałam o tym, że mogę tu umrzeć, na kuchennym stole, w samym środku miliardów ziarenek piasku. Mój oddech przyspieszył jeszcze bardziej, a ty położyłeś mi rękę na ustach, żeby mnie uciszyć. Pogłaskałeś mnie po włosach.

- Nie martw się, jest okej - powtarzałeś. - Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Zamknęłam oczy. Zobaczyłam ciemność pod powiekami. Może niedługo będzie koniec wszystkiego. Koniec. Może to odrętwienie, które rozchodziło się po mojej nodze, wkrótce obejmie całe moje ciało, a potem myśli. Serce przestanie bić, zamiast tego nastanie wieczny bezruch. Znajdę się pod piaskiem, ziarenka będą pode mną, nade mną i wszędzie dookoła. Chwyciłam się stołu, wbijając paznokcie w miękkie drewno.

- Uspokój się - mruknąłeś.

Myślałam przedtem o śmierci, tyle razy. Ale śmierć, którą sobie wyobrażałam, miała być brutalna i bolesna, i spowodowana przez ciebie, nie drętwa i kliniczna.

- Nie umrzesz - szeptałeś. - Musisz to tylko przeczekać. Jestem tutaj i wiem, jak ci pomóc. Tylko nie panikuj. - Pogłaskałeś mnie po twarzy. - Gem, nie pozwolę, żeby cokolwiek się stało, na pewno nie tobie.

Odgarnąłeś mi z czoła kosmyki mokre od potu.

- Jesteś rozpalona - mruknąłeś. - Za bardzo.

Było już we mnie pół torebki płynu, ale nadal czułam tępy ból w dole nogi. To od ugryzienia węża czy od zbyt ciasnego bandaża? Znowu sprawdziłeś mi puls.

- Niedobrze ci?

- Właściwie to nie.

- Bóle brzucha?

- Nie.

Położyłeś palce na ustach, zastanawiałeś się. Przyjrzałeś się mojej obandażowanej nodze.

- Ciągłe boli?

- Tak.

Wydawało mi się, że czuję tępy ból już przy kolanie, przesuwał się powoli w górę uda. Sięgnęłam i dotknęłam się tam, gdzie go czułam.

- Tutaj - powiedziałam. - Boli mnie tutaj.

Na sekundę zamknąłeś oczy. Znowu zadrgały w kącikach. Też przyłożyłeś rękę do tej części mojej nogi, a potem przesunąłeś palcami po kostce.

- Jad szybko się rozprzestrzenia - szepnąłeś, chyba do siebie. - Wszystko puchnie. - Zerknąłeś na torebkę z płynem, przechyliłeś ją, żeby sprawdzić, ile jeszcze zostało. - Dodam drugą fiolkę. - Patrzyłam, jak wciągasz antidotum do strzykawki. Potem wstrzyknąłeś je do torebki i zamieszałeś. - To ci da kopa - oznajmiłeś. Próbowałeś się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego tylko grymas.

- To ostatnia, prawda? - spytałam.

Pokiwaneś głową, całą twarz miałeś napiętą.

- Powinno wystarczyć.

Znowu zacząłeś ocierać mi czoło, ale ja sięgnęłam po twoją dłoń. Chyba nie chciałam być w tej chwili sama. I nie chciałam, żebyś ty był sam. Twoje oczy otworzyły się szeroko, kiedy poczułam dotyk moich palców. Spojrzenie przesunęło się po mojej twarzy, policzkach i ustach, a potem w dół, po szyi. Byłam napiętniejszym, co kiedykolwiek widziałeś. Właśnie to dało mi kopa - to, jak na mnie patrzyłeś w tamtej chwili.

- Kręci ci się w głowie? - spytałeś.

- Trochę. Mam wrażenie, jakbym płynęła.

Mocno ścisnęłam cię za rękę, pragnęłam, żeby przeniknęło do mnie trochę twojej siły. Patrzyłeś mi w oczy. W twoim wzroku były pytania, za nimi szły myśli.

- Antidotum powinno już działać - powiedziałeś. - Nie wiem, dlaczego tak nie jest.

- Może to trochę trwa.

- Może.

Czułam napięcie w twoich palcach. Zerknąłeś na torebkę. Potem wstałeś szybko i stanąłeś przy otwartych drzwiach. Poczułam na palcach chłód, kiedy je puściłeś. Zamrugalam. Szafki kuchenne rozmywały się na brzegach. Wszystko trochę się rozmazywało. Unosiłam się we mgle. A ty chodziłeś dookoła niej.

Wziąłeś do ręki puste fiolki, mrużąc oczy, aby przeczytać etykiety.

- Co jest?

Westchnąłeś, zgniatając naczynka w dłoni.

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, dlaczego nie działa tak, jak powinno... Miejsce, gdzie je przechowywałem... boję się, że tam mogło być za ciepło.

- Co to znaczy?

Podszedłeś do mnie, ciężko opadłeś na stołek. Wilgotną dłoń położyłeś mi na ramieniu, wzrokiem szukałeś moich oczu.

- To znaczy, że musimy wybrać.

- Co wybrać?

- Albo zostajemy tutaj i spróbujemy to jakoś opanować - mam inne, naturalne środki, które chyba mogą ci pomóc - albo...

- Co?

Otarłeś czoło wierzchem dłoni.

- Albo wracamy.

- Dokąd? O co ci chodzi?

Odetchnąłeś z trudem. Mówiłeś powoli, patrząc prosto przed siebie na kuchenne szafki, nie chcąc myśleć o słowach, które właśnie wypowiedziałeś.

- Jest ta kopalnia, niezbyt daleko stąd. Mówiłem ci o niej kiedyś. Mają gabinet, mogą ci pomóc. Mogę cię tam odwiedzić, zanim...

- Dlaczego miałbyś to robić? - przerwałam. - Myślałam, że nie chcesz mnie wypuścić.

- Nie chcę. - Głos ci się trochę załamał.

Obserwowałam, jak patrzysz na mnie. Dostrzegłam własną twarz w twoich oczach, widziałam ją podwójnie.

- Powiedziałeś: cztery miesiące...

Musiałeś opanować emocje, zanim się odezwałeś.

- To zależy od ciebie. Teraz zrobię wszystko, co zechcesz.

- Powiedziałeś, że do następnego miasta są setki kilometrów.

- Tak... do miasta tak.

- No to...?

- Mogę cię zabrać do kopalni, tam są ludzie i wielka dziura. Ale mają gabinet i lotnisko. Mogą ci pomóc.

- Jak daleko?

- Dosyć daleko. - Uśmiechnąłeś się do mnie smutno. - Ale znam skrót.

Potem twoja twarz znów się wykrzywiła w wyrazie udręki.

- Naprawdę mnie tam zabierzesz? - szepnęłam. Jęknęłam, czując ostre ukłucie bólu w brzuchu.

Pokiwałeś głową, głaszcząc mnie po policzku.

- Przygotuję wielbłąda.

Położyłam dłonie na gładkim, chłodnym stole i czekałam na twój powrót. Spojrzałam na torebkę z płynem, teraz pustą, oklapłą i odczepioną od mojego ramienia. Wcześniej szłam po piasku, szukając cię. Teraz patrzyłam na kuchenny sufit, a w moim ciele krążył jad. Moje oczy chciały się zamknąć, niemal im na to pozwoliłam. Byłoby tak łatwo opaść w tę mgłę, która usiłowała mnie zagarnąć. Skupiłam się na bólu w brzuchu i przysłuchiwałam się tobie na dworze; słyszałam, jak wołasz wielbłąda. Nie wiedziałam, w jaki sposób zamierzasz mnie stąd zabrać ani czy naprawdę to zrobisz.

Pokój zaczął się trochę kołysać, a do gardła podeszły mi wymiociny. Odwróciłam się na bok i splunęłam. Przycisnęłam rękę do piersi. Czułam swoje serce. Bum, babum, babum. Usiłowało przebić mi się przez zębra, połamać je wszystkie. Spróbowałam oddychać wolniej. I wyczuć, gdzie dokładnie mam serce. Po lewej czy po prawej? Kiedyś uczyliśmy się tego w szkole. Przykładałam dłoń w różnych miejscach, usiłując je wymacać, ale to było tak, jakby cała moja klatka piersiowa składała się z serca. Całe moje ciało biło i pulsowało. I to coraz szybciej i szybciej. Miałam wrażenie, że jeszcze chwila i eksploduję.

Popatrzyłam na szafki, byle skupić się na czymś innym... na czymkolwiek poza śmiercią. Moje spojrzenie zahaczyło o otwartą szufladę. Wysypywały się z niej kartki papieru, rozrzucone po twoich poszukiwaniach. Zamrugałam, usiłując skupić wzrok. I było tam to zdjęcie. To, które już widziałam, dziewczyny z dzieckiem. Wystawało spomiędzy kartek.

- Gem?

Twój głos przywołał mnie z powrotem. Wchodziłeś przez drzwi, niosąc w ramionach masę rzeczy. Pozwoliłeś im upaść na podłogę, hałas odbił się echem wokół mnie. Podeszedłeś do mnie, zrozumiałeś, na co patrzę, i wyciągnąłeś zdjęcie spomiędzy papierów. Zerknęłam na



nią ostatni raz, zanim wsunąłeś fotografię do tylnej kieszeni szortów, ujrzałam długie włosy twojej matki i ciebie, kiedy byłeś mały.

Zawahałeś się, nim zamknąłeś szufladę, po czym wyjąłeś z niej coś jeszcze.

- Zrobiłem to - powiedziałaś szorstko. - Dla ciebie.

Wcisnąłeś mi go na palec. Był surowo wyrzeźbiony, z kawałka czegoś kolorowego i chłodnego... pierścionek w całości wyrzeźbiony z kamienia. Był piękny. Lśnił na mojej skórze szmaragdową zielenią i krwawą czerwienią, maleńkie kropeczki złota odbijały światło. Nie mogłam przestać na niego patrzeć.

- Dlaczego? - spytałam.

Nie odpowiedziałaś. Zamiast tego dotknąłeś pierścionka delikatnie i popatrzyłeś na mnie tak przenikliwie; twój wzrok przepelniały niewypowiedziane pytania. Obróciłeś moją dłoń i sprawdziłeś puls, przytrzymując palce na mojej skórze. Twoja ręka była wilgotna od potu, a ja czułam się dwa razy bardziej rozpalona.

- Teraz słuchaj - powiedziałaś bardziej stanowczo, ponownie odzyskując panowanie nad głosem. - Mam taki plan.

Usiłowałam skupić się na tobie, ale twoja twarz zaczynała rozmywać się na brzegach. Podniosłeś coś z podłogi. Zamrugałam, kiedy zobaczyłam, co to jest - długa, metalowa piła. Jej zęby były dość zardzewiałe i wyglądały na ostre.

- Co chcesz z tym zrobić? - spytałam. Dotknęłam swojej obandażowanej nogi. Zauważyłaś.

- Nie martw się, twoja noga jest bezpieczna. - Ruchem głowy wskazałeś na stół. Kąciki twoich ust uniosły się w półuśmiechu. - Ale te nie są.

Sięgnąłeś do metalowej skrzynki i wyciągnąłeś z niej kolejne bandaże, rozwijając je po kolei. Jeden położyłeś mi na brzuchu. Potem się odsunąłeś, patrząc na mnie tak, jakbyś usiłował mnie zmierzyć.

- Co teraz? - spytałam.

- Przywiążę cię do stołu - powiedziałaś. - Potem przywiążę to wszystko do wielbłąda. A potem pójdziemy tam, gdzie zostawiłaś samochód, i wyciągniemy go.

Zbyt wiele z tego, co wymyśliłeś, skłaniało mnie do protestu, skupiłam się więc na samochodzie.

- Nigdy go nie znajdziesz.

- Znajdę.

Przypomniałam sobie ostatni widok auta, zagrzebanego głęboko w piasku.

- Nie wyciągniesz go - stwierdziłam. - Ugrzązł.

Wzruszyłeś ramionami.

- Tak myślałem.

- Nie chcę tam umrzeć - szepnęłam.

Ale ty mnie chyba nie usłyszałeś. Zacząłeś od razu krzątać się po pokoju, wyciągnąłeś jakieś pudło i wypełniłeś je różnymi szklanymi fiolkami, butelkami wody i jedzeniem. Potem jednym szybkim ruchem chwyciłeś mnie na ręce i delikatnie położyłeś na podłodze.

- To tylko na chwilę, dopóki nie odetnę nóg - wyjaśniłeś, uśmiechając się przepraszająco.

Ze szpary między deskami podłogi powiało, kurz zawirował i poleciał mi w nos. Wzięłaś piłę i zacząłeś odcinać pierwszą nogę. Czułam w podłodze wibracje, kiedy pracowałeś. Piła rozmyła się w miedzianą smugę. Jedna noga odpadła. Zabrałeś się za drugą. Działąłeś szybko. Ale ja chciałam, żebyś pracował jeszcze szybciej.

Wkrótce potem na podłodze obok mnie leżał stół bez nóg. Podniosłeś mnie i położyłeś na blacie. Mocno mnie do niego przywiązałeś znalezionymi bandażami.

- Za gorąco, za ciasno - poskarżyłam się.

Otarłeś mi twarz ręcznikiem, a potem narzuciłeś go na mnie. Przyniosłeś z kuchni szklankę wody i zmusiłeś mnie do jej wypicia.

- Będzie jeszcze goręcej - powiedziałaś.

Krzyknęłam, gdy na improwizowanych noszach wyniosłeś mnie na dwór, w brzuchu dostałam skurczy od szarpania. Zamknęłam powieki przed blaskiem słonecznym i naciągnęłam ręcznik na twarz. Pod materiałem mój oddech wydawał się ciężki i gorący, policzki były rozpalone.

Spięłam się, kiedy opuściłeś stół na piasek. Wielbłądzica klęczała tuż przy mnie. Słyszałam jej przeżuwanie, czułam jej ciepło. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam czubkami palców sierści na jej brzuchu. Ty byłeś po drugiej stronie, sądząc po odgłosach. Przyczepiałeś coś - domyśliłam się, że to pudło, które wcześniej zapakowałeś. Potem przez garb zwierzęcia przerzuciłeś linę w moją stronę. Owinąłeś ją wokół prowizorycznych noszy i przywiązałeś mnie do boku wielbłąda. Mocno zacisnąłeś linę i nosze przesunęły się po piasku, bliżej jego brzucha; leżałam teraz tuż obok niego. Byłam tak blisko, że czułam zakurzony zapach sierści wielbłądzicy i słyszałam burczenie w jej brzuchu. Przycisnęłam ramię do jej boku, małe owad przeskoczył z jej skóry na moją.

Potem kazałeś zwierzęciu wstać. Usłyszałam, jak głęboko w jego wnętrzu rodzi się jęk, hucząc wszędzie wokół mnie. Gdzieś z bardzo daleka słyszałam twoje słowa zachęty, które kierowałeś w stronę wielbłądzicy. Kiedy wyprostowała tylne nogi, rzuciło mną.

Krzyknęłam, chwytając się jej sierści. Zabolało jeszcze bardziej, gdy wyprostowała przednie. Ale w jakiś sposób nasze wciąż pozostawały poziomo, podobnie jak ja, leżąc na wznak, przywiązana mocno do wielbłąda niczym bardzo ciężkie juki.

- Trzymaj się, Gem - powiedziałeś, kładąc mi rękę na ramieniu. - To wszystko może trochę boleć.

Wielbłądzica z wahaniem zrobiła parę kroków. Chwycałam się mocno brzegów stołu. Moje ciało kołysało się do przodu i do tyłu, a to powodowało fale bólu. Kiedy już zaczęła iść, chyba zapomniała o niesionym ciężarze, bo bez trudu parła do przodu. Wyjrzałam spod ręcznika. W jednej ręce miałeś linę, przymocowaną do wielbłąda, a w drugiej długi kij. Szedłeś szybko obok nas, niemal biegnąc, żeby dotrzymać zwierzęciu kroku. Po twojej nagiej piersi lał się pot, zmywając z niej resztki farby.

- Dalej, mała, dalej! - wołałeś. - Szybciej...

Wypowiadane przez ciebie słowa były trochę jak piosenka, a tępy odgłos kopyt wielbłądzicy wyznaczał rytm. Wszystkie te dźwięki zlewały się w mojej głowie, coraz cichsze i cichsze...

Próbowałam oddychać powoli, koncentrując się na tym zamiast na skurczach w brzuchu. Promienie raziły moje oczy. Naciągnęłam na nie ręcznik. Po obu stronach mojej głowy położyłeś butelki z wodą, oparłam policzek o jedną z nich, odrobinę chłodząc skórę. Ale butelki szybko stały się równie ciepłe jak ja; woda bulgotała głośno koło moich uszu. Całe moje ciało podskakiwało, bolało mnie z każdym krokiem. W głowie też mi pulsowało.

W pewnej chwili przyhamowałeś wielbłąda na tyle, żeby włożyć mi coś do ust.

- Żuj to - powiedziałeś. - Pomoże na ból.

Substancja była miękka jak guma, smakowała gorzko jak liście. W nozdrzach poczułam ziemisty smak. Wargi mi zdrętwiały. Słuchałam bulgotania wody, kroków wielbłąda i twojego dyszenia obok. Gdzieś była też mucha, bzyczała po drugiej stronie ręcznika. Gorąco mnie przygniatało, sprawiało, że oddychałam coraz płycej. Chyba nawet przysnęłam.

Byłam z powrotem w domu, szłam swoją ulicą. Był ciepły wiosenny dzień. Na trawniku przed domem sąsiadów jakieś dzieci chlapały się w baseniku. Przeszłam do bocznej ściany domu, przeskakując przez płot i kierując się do okna mojego pokoju. Otwierało się, jeśli się nim odpowiednio poruszyło. Ale nie otworzyło się. Tym razem nie. Pchałam okno i pchałam, usiłując otworzyć je na siłę. Walnęłam w nie pięścią. W szybie pojawiło się cienkie pęknięcie. Uniosłam rękę do ust i ssałam, sprawdziłam, czy w skałczeniu nie ma odłamków szkła. Potem zajrzałam przez okno do środka.

W moim łóżku leżała dziewczynka. Miała z dziesięć lat, miedzianobrazowe włosy i zielone oczy. Obok niej był nawet mój różowy króliczek. Jej palce mocno zaciskały się na kołdrze, oczy miała szeroko otwarte. Wpatrywała się we mnie. Kiedy ja tak patrzyłam na nią, zerknęła w stronę drzwi pokoju, oceniając, czy uda jej się pokonać tę odległość i uciec. Mogła próbować. Do drzwi było tylko pięć kroków, do kuchni kolejne dziesięć. Sięgnęła w stronę interkomu, ale ja już wiedziałam, co się stanie. Ręka dziewczynki dotknęła szklanki wody stojącej obok łóżka i strąciła ją na podłogę. Kiedy jej usta otworzyły się do krzyku, przycisnęłam palec do warg. Pokręciłam głową.

- Nie - ledwie szepnęłam. - Jest okej. To tylko ja.

Dziewczynka znieruchomiała, wpatrując się we mnie z otwartymi ustami.

Byłam kimś obcym. Uśmiechnęłam się do niej słabo. Potem wyjęłam coś z kieszeni - ptasie gniazdo - i położyłam je na parapecie.

I wtedy zrozumiałam. Byłam tobą, jak kładziesz na moim parapecie ptasie gniazdo. Ale byłam też sobą, jak na to patrzę. Byłam nami obojgiem.

Na czole miałam krople wody; sprawiały, że ręcznik lepił się do mojej skóry. Zmusiłam się do otwarcia powiek. Wysunęłam rękę spod ręcznika i poczułam, jak spada na nią kropla. Pomyślałam, że nadal śnię. Chwyciłam ręcznik i ściągnęłam go z twarzy. Woda opadała na moje policzki i usta, była chłodna i świeża. Niemal parowała, gdy mnie dotykała. Wysunęłam język i polizalam trochę. Niebo nade mną było szare i nie było już tak gorąco. Mogłam swobodnie oddychać.

Moje ciało trzęsło się gwałtowniej niż przedtem. Wielbłąd przyśpieszył. Odwróciłam głowę i krzyknęłam, ból przeszył mi kark. Biegłeś klusem tuż obok nas, wyciągając nogi, żeby dotrzymać kroku zwierzęciu, zerkając co chwila na mnie. Zauważyłeś, że na ciebie patrzę. Chciałam zapytać, jak długo jesteśmy w drodze, ale moje gardło było sztywne i bezużyteczne.

- Już niedaleko - powiedziałeś, dysząc od biegu.

Spojrzałam w górę na krople wody, spadające teraz gęściej. Uśmiechnąłeś się, rokładając ramiona na boki i obracając się w biegu.

- Deszcz! - zawołałeś. - Niebo płacze nad tobą.

Comknąłeś i szturchnąłeś kijem tylne nogi wielbłądzicy, a ona ruszyła jeszcze szybciej. Przesuwałam się z boku na bok na noszach, w końcu powrócił do mnie ból, pierwszy ból, jaki poczułam, odkąd dałeś mi do żucia te miękkie liście. Skrzywiłam się. Zauważyłeś to i kazałeś wielbłądowi zwolnić. Przechyliłam głowę i spojrzałam, dokąd się kierujemy. Znajdowaliśmy się w pobliżu skupiska skał i drzew. Deszcz był coraz większy.

Ręcznik przykleił się do mojego ciała. Woda spływała po tobie strumieniami, włosy ci pociemniały. Odgarnąłeś je z twarzy, aż chlapnęło na mnie.

- Będziemy musieli przeczekać - wysapałeś.

Dźwięk deszczu na piasku brzmiał jak cichutkie klaskanie albo jak lekkie bębnienie. Staralam się skupić na nim, a nie na coraz mocniejszym bólu w nodze. W brzuchu znowu czułam silne skurcze. Ale dotarliśmy już do drzew. Szybko kazałeś wielbładowi uklęknąć i rozładowałeś zapasy. Zrobiłeś prowizoryczny szałas z brezentu, lin i gałęzi. Potem ostrożnie mnie do niego zaniósłeś i położyłeś na miękkim kocu. Zdjąłeś ze mnie mokry ręcznik i zastąpiłeś go czymś suchym i ciepłym, a sam kucnąłeś obok mnie.

- Masz gorączkę - powiedziałaś.

Pociągnąłeś za brezent przywiązany między drzewami, usiłując osłonić nas przed siekącym deszczem. Poczułam ciężar kolejnego koca, którym mnie przykryłeś. Moje powieki były suche i ciężkie. Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę grzmot, głęboki warkot z nieba. Przesunąłeś moją głowę tak, że leżała ci na kolanach.

- Otwórz oczy - szepnąłeś. - Zostań ze mną.

Próbowałam. Wydawało mi się, że muszę użyć wszystkich mięśni twarzy tylko po to, by choć do połowy unieść powieki. Ale udało mi się. Zobaczyłam ciebie do góry nogami, twoje wargi nad moimi oczami, a oczy nad wargami.

- Mów do mnie - poprosiłeś.

Miałam wrażenie, że gardło mi się zaciska, jakby skóra spuchła i zamieniła je w grudę zgnieczonego mięsa. Ścisnęłam cię za rękę.

- No to patrz na mnie. - Zrozumiałeś. - Słuchaj. - Sprawdziłeś pogodę, zerkając na niebo. - To właściwie nie jest burza, tylko efekty uboczne czegoś, co dzieje się nad morzem. Nie powinna potrwać długo, mam nadzieję.

Zmarszczyłam brwi; myślałam, że na pustyni nigdy nie pada. Właściwie zinterpretowałeś moją minę.

- Normalnie nie pada - mruknąłeś. - Tylko wtedy, kiedy musi.

Mówienie sprawiło, że twoja twarz się rozmazała. Twoje oczy unosiły się na okrągłym, brązowym jezioru skóry. Znowu z trudem łapałam powietrze, do ust wpadła mi kropla deszczu.

Odgarnąłeś mi z twarzy mokre kosmyki.

- Opowiem ci historię. Opowiem ci o deszczu.

Wlałeś mi do ust trochę wody. Omal jej nie wykaszlałam. Sam też się napiłeś, zanim zacząłeś mówić dalej.

- Tutaj deszcz jest święty - zacząłeś. - Cenniejszy od pieniędzy i klejnotów. Deszcz to życie.

Przycisnąłeś palce do moich skroni. Ten niewielki nacisk sprawił, że łatwiej było mi na ciebie patrzeć, łatwiej było utrzymać oczy otwarte.

- Kiedy w tym kraju pada deszcz, miesza się z piaskiem i sprawia, że woda w rzekach robi się czerwona. Koryta, które od wielu miesięcy były suche, ożywają i wypełniają się krwawoczerwoną wodą, tworzą w piasku żyły... tworzą życie. To jakby kraj znowu ożywał, życie płynie po wszystkim jak krew.

Wysunąłeś rękę spod brezentu na deszcz, a potem przycisnąłeś ją do ziemi. Kiedy znów mi ją pokazałeś, była umazana czerwoną gliną. Pogłaskałeś mnie po czole, po policzkach i wargach. Czułam, jak ziarenka piasku rozmazują mi się po twarzy, czułam zapach żelazistej ziemi i świeżość deszczu. Jakoś pomogło mi to nie zasnąć.

- Gdy pada tu deszcz - zacząłeś znowu - zwierzęta, których nikt nie widział od miesięcy, czasem nawet od lat, wyłazą z ziemi. Rośliny wyłaniają się z piasku. Korzenie kwitną.

Twoje palce poruszały się po moich policzkach. Czułam krótkie paznokcie na skórze, stukały w nią jak krople deszczu, nie dawały mi zasnąć. Kiedy się znów odezwałeś, mówiłeś szeptem. Musiałam się wysilać, żeby dosłyszeć twoje słowa, zanim zaginęły w szumie ulewy.

- Jest taka tradycja, że kiedy pada deszcz, kobiety tańczą, chlapiąc się na brzegach czerwonych rzek. A gdy tańczą, krew im spływa po nogach... krew deszczowa i ich własna. Tu nie tylko ziemia krwawi... my też.

Twoje palce przesunęły się w dół, musnęły moje wargi. Czułam na nich smak soli. Ziarenko piasku wpadło mi do ust. Rozmazałeś czerwoną glinę po mojej szyi aż do obojczyków, wmasowując ją w skórę. Kropla deszczu spadła mi na czoło, poczułam, jak spływa na policzek, zabierając ze sobą czerwoną glinę. Czułam się jak te drzewa, które krwawiły; kiedy zgubiłam się między wydrami, też miałam na sobie strużki rubinowego soku.

Znowu rozległ się odległy grzmot, jakby gdzieś daleko otwierała się ziemia, jakby coś połykała. Szybko odwróciłeś ode mnie głowę w tamtą stronę. Zerknąłeś na brezent, żeby sprawdzić, czy konstrukcja się trzyma.

- Czyli widzisz - mruknąłeś. - Deszcz sprawia, że pustynia się zmienia. Wszędzie dookoła nas rośliny się rozpościerają, owady się parzą... wszystko żyje.

Twoja twarz wirowała. Mówiłeś dalej, ale ja już nie słyszałam słów. Twoje wargi były teraz tylko gąsienicami wijącymi się na twojej twarzy. A ja się osuwałam, moja skóra stała się

ciężka i opuchnięta jak u larwy, po mięśniach rozchodził się tępy ból. Ja także potrzebowałam deszczu, żeby żyć.

Potem znowu położyłeś mnie na nosze, zaciskając wokół bandaża i linę. Ból przeszywał mi wnętrzności, jakby ktoś wsadził mi do brzucha rękę i zaciskał.

- Otwórz oczy - prosiłeś. - No otwórz.

Twoje włosy zwisały w moją stronę. Spadały z nich krople wody prosto na mój nos. Kazałeś wielbłądźcy wstać. Zamruczała w proteście niczym grzmot. Szturchnąłeś ją kijem, a ja poczułam, jak się rusza, prostując kolejno tylne i przednie nogi.

- No, kochana, dawaj! - krzyknąłeś.

Nadal padało, ale już tylko trochę - kropelki jak letnia mżawka. Otworzyłam usta i poczułam wodę na języku i zębach. Chyba to mi wtedy dało siłę, ten deszcz. Każda kropla była jak lekarstwo, uzdrawiała mnie... pozwalając zachować przytomność. Deszcz padał, wielbłąd biegł.

Po jakimś czasie - nie wiem, ile to trwało - dotarliśmy do samochodu. Kazałeś wielbłądźcy uklęknąć w pobliżu pod niewielką grupką drzewek i odwiązałeś mnie. Potem odciągnąłeś ją ode mnie. Słyszałam warczenie i piski silnika, kiedy usiłowałeś ruszyć samochód, słyszałam jęki wielbłąda. Desperacko usiłowałam utrzymać otwarte oczy. Spojrzałam na niebo - znów było szaroniebieskie. I na drzewa - krwawe żyły nadal były na korze, tak jak przedtem. Żywiły się nimi owady, piły sok. Na mojej skórze siedziały muchy, bzycały i łąziły. Czułam wilgoć świeżo zmoczonej deszczem ziemi. Samochód ryczał i warczał, obracając kołami w piasku. Krzyczałeś do wielbłąda. Gdzieś trzasnęła gałąź.

Wróciłeś do mnie z kocami i wodą. Zmusiłeś mnie do picia. Wciąż mówiłeś, ale twoje słowa były tylko dźwiękiem, jak wiatr na piasku albo szum radiowy. Potem chwyciłeś moje ramię i wbiłeś w nie coś ostrego. Poczułam, jak coś wlewa mi się w żyły. Potem trochę się rozbudziłam.

- Musimy się pośpieszyć - mówiłeś.

Wzięłeś mnie na ręce i zaniósłeś do samochodu. Olej, piasek i pot rozmazały się na twojej skórze. Śmierdziałeś benzyną. Samochód warkotał oczekująco. Zatrzymałeś się, zanim wsadziłeś mnie do środka.

- Chcesz się pożegnać? - spytałeś.

Kłasnąłeś językiem i wielbłądzica podeszła do nas. Jej wielki pysk pojawił się tuż przy mnie, powąchała mój policzek. Jej obroża zniknęła. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam aksamitnego nosa, lecz dopóki jej nie odsunęłam, wrażenie miękkości tak naprawdę nie dotarło do moich palców.

- Koniec - mruknąłeś.

- Jak ją odnajdziesz? - spróbowałam zapytać. - Jak ona znajdzie ciebie?

Nie odpowiedziałeś. Chyba nie zrozumiałeś, o czym mówię. Po prostu wpatrywałeś się w wielbłąda lekko zaszklonymi oczyma.

- Zegnaj, mała - wyszeptaleś.

Znowu kłasnąłeś językiem, a wielbłądzica zamruczała w odpowiedzi. Odeszła parę kroków od samochodu. Tymczasem zapakowałeś mnie na tylne siedzenie, oparłeś plecami o drzwi, żeby noga pozostała wyprostowana. Potem zobaczyłam, jak ostatni raz klepiesz zwierzę po szyi. Pożegnanie.

Wcisnąłeś gaz, żeby rozpędzić auto. Opony zawirowały w piasku. Ja patrzyłam na wielbłądzicę. Gdy samochód zaczął się oddalać, ruszyła klusem. Przyspieszyłeś, ona też. Biegła obok nas. Oparłam policzek o szybę i wysyłałam do niej myśli. Nie chciałam, by została całkiem sama. Jak znajdzie swoje stado? Jak znajdzie ciebie?

W końcu zaczęłeś zwiększać dystans. Potknęła się w piasku, usiłując nas dogonić, potem zwolniła do klusa, zostając coraz bardziej w tyle. Odchyliła głowę i jęczała za nami. Też chciało mi się wtedy jęczeć. I zrobiłabym to, gdybym tylko miała nieco więcej energii. Patrzyłam za nią, aż zmieniła się w maleńką kropkę w oddali. Chyba stała i obserwowała nas.

- Zegnaj - szepnęłam.

Wóz podskakiwał i ślizgał się na piasku. Kamienie spod kół uderzały w okno. Cała napięta, ściskałam mocno siedzenie. Każdy skręt i wstrząs posyłały przez moje mięśnie fale bólu.

- Trzymaj się - powiedziałeś.

Ale to nie było łatwe. Po jakimś czasie oczy znowu mi się zamknęły. Czulałam, jak się zapadam w siedzenie. Jad rozprzestrzeniał się w górę mojego ciała, zatruwając mnie w ciszy. Sprawiał, że kończyny stały się sztywne i twarde. Sprawiał, że przyśniło mi się, jak moje stopy wyrastają przez drzwiczki samochodu i zapadają się w piasek. Moja skóra zamieniła się w suchą korę, a ramiona w gałęzie. Palce stały się cicho szepczącymi liśćmi.

Miałam niejasną świadomość, że coś się trzęsie. Moje ciało poruszało się bokiem, ale nie wiedziałam, w jaki sposób. Ruch nie ustawał. Coś do mnie mówiło. Wiatr albo piasek - coś wołało moje imię.

- Gemma... Gem - mówiło. - Już prawie jesteśmy. Ale moje ciało nie chciało odpowiedzieć. Usiłowałam otworzyć oczy. Ale nie mogłam. Byłam taka sztywna. Moje palce dygotały i chwiały się na wietrze. Wtedy poczułam na policzku twoją rękę, chłodną i suchą.



- Obudź się, Gem. Proszę, obudź się. Spróbowałam napiąć twarz, naprężyć mięśnie. I tym razem się udało. Moje powieki się rozchyliły. Co prawda tylko odrobinę. Ale to wystarczyło. Zobaczyłam ciebie. Odwróciłeś się na przednim siedzeniu, z jedną ręką na kierownicy, a drugą na moim ciele. Za tobą przez szybę widać było ogromną górę ziemi.

- Kopalnia - oznajmiłeś.

Ponownie wcisnąłeś mi do ust pastylkę z miękkich liści, dużo bardziej gorzką niż poprzednia.

- Żuj - powiedziałaś. - Nie zasypiaj.

Znowu odwróciłeś się do przodu. Niespodziewanie autem przestało tak rzucać. Wjechaliśmy na ubitą drogę. Była twarda i mocno zużyta. Kiedy wciskałeś gaz, głowa waliła mi o szybę, a wokół nas wzbijał się kurz. W porównaniu z jazdą po nierównym terenie, do której zdążyłam już się przyzwyczać, teraz wydawało się, że samochód leci. Kiedy podjechaliśmy bliżej, dostrzegłam ciężarówki jeżdżące po szczycie góry, wieże, słupy, a także wielkie metalowe zbiorniki u jej stóp. U podnóża stało więcej budynków. Na niebie wisiał biały kurz. Poza tym pełno było czerwonej ziemi oraz innych kolorów... brązy i biele, pomarańcze i czerń. Stosy kamieni. Żadnych drzew.

Żułam, czując w ustach antyseptyczną gorycz liści. Zamrugałam i zmusiłam oczy, by pozostały otwarte. Od tygodni śniłam o tej chwili, o pierwszym spojrzeniu na świat poza naszym pustynnym domem. Ale wtedy to nie wydawało się realne. Budynki, słupy telegraficzne, ciężarówki i kamień, wszystko zlewało mi się w jedno, w czerwoną smugę za oknem. Wszystko wyglądało na gorące i wypalone.

Skręciłeś z poślizgiem w stronę budynków. Jęknęłam, gdy ostry manewr sprawił, że ból rozlał mi się aż na ramiona. Jakbym miała pod skórą drut kolczasty. Z rykiem gnałeś ulicą przystrojoną sześcianikami budynków po obu stronach. Domy? Coraz trudniej było mi oddychać. Tutaj było goręcej, powietrze było chyba gęstsze, ciężkie od pyłu z kopalni. Oczy zaczęły mi się zamykać.

Skręciłeś na podjazd. Stał tam kolejny kwadratowy prowizoryczny budynek. Jęknęłam, kiedy znów przeszył mnie ból. Zamknęłam oczy i przycisnęłam policzek do szyby w drzwiach. Każdy kolejny oddech był trudniejszy od poprzedniego. Wskoczyłeś z samochodu, nawet nie wyłączając silnika. Wrzeszczałeś coś w stronę budynku, sama nie wiem co. Słuch mi już zanikał. Wszystko wokół było wolniejsze i cichsze. Moje ciało wyłączało się, zwijało interes. Wszystko było rozmyte, jak we śnie. Nic nie było prawdziwe.

Usłyszałam czyjś krzyk. Potem drzwi auta, o które się opierałam, otworzyły się i poleciałam do tyłu. Były tam twoje ramiona, gotowe, żeby mnie złapać. Coś przycisnęło się

do mojego nosa i ust. Poczułam zapach czegoś klinicznego. A potem, nagle, zaczęłam oddychać nieco łatwiej. Podnosiłeś mnie, pochylony. Ale tak naprawdę to cię nie czułam. Tylko twoje ramię ocierające się o czubki moich palców. Jedynie to.

Zabrałeś mnie do pokoju. Położyłeś na stole. Nade mną stanął jakiś człowiek. Zobaczyłam go, kiedy otworzył mi powieki. Powiedział coś do mnie. Potem wsadził mi coś w ramię. Z bardzo, bardzo daleka poczułam słabe ukłucie bólu. Później na moją twarz opadła maska. I znowu mogłam swobodnie oddychać.

Potem jechaliśmy bardzo szybko. Widziałam przez okna niebo, wciąż błękitne, ale właśnie zaczynały się pojawiać pomarańczowe plamy zachodu słońca.

Zahamowałeś gwałtownie. Drzwi się otworzyły. Znowu mnie brałeś na ręce. Biegłeś, moje ciało kołysało się w twoich ramionach. Lecz nie czułam bólu. Z bardzo daleka słyszałam odgłos twoich stóp uderzających o pas startowy. I jeszcze inny dźwięk. Rytmiczny pomruk. Mechaniczny grzmot. Ktoś w bieli czekał.

- Nazwisko? Wiek? - usłyszałam kobiecy głos, znowu z bardzo dużej odległości, jakby mówiła z innego świata.

Wniosłeś mnie do samolotu i położyłeś na czymś miękkim.

Potem zacząłeś się odsuwać. Sięgnęłam i chwyciłam cię za rękę, zamknęłam palce wokół twoich. Nie puszczałam. Nie chciałam zostać sama z tymi obcymi ludźmi. Spojrzałam na ciebie, odnalazłam twój wzrok. Zawahałeś się, zerknąłeś do tyłu, na zewnątrz, na pas startowy i płaską czerwoną ziemię za nim... i znowu na mnie. Lekko skinąłeś głową i usiadłeś. Zacząłeś do mnie mówić. Nie wiem, co powiedziałeś. Ale w oczach miałeś łzy.

Moje uszy wydawały się zatkane, dochodziły mnie odgłosy maszyny. Wrócił człowiek w bieli. Na mojej twarzy znalazła się kolejna maska. Powietrze. Kolejne ukłucia w ramię. A ja tylko patrzyłam na ciebie. Tylko ty mogłeś mi pomóc utrzymać otwarte oczy. Ale moja klatka piersiowa zapadała się, w dół, przez miękki materac, przez podłogę samolotu... Byłam przykryta lawiną. Niebo wokół nas stało się pomarańczowe, ziemia pod nami - czerwona. Lecieliśmy w słońce.

Potem samolot zanurkował, zaczął podskakiwać, później mnie z niego wypchnięto. Szybko powiesziono na noszach na kółkach po pasie startowym. Było ciemno, ale w oddali migały światła. Z twarzy zdjęto mi maskę. Ty biegłeś obok, tak jak przedtem obok wielbłąda. Tym razem trzymałeś mnie za rękę, mocno zaciskając palce. Ani na chwilę nie przestałeś patrzeć mi w oczy. Stał tam budynek. Przejechałam przez rozsuwające się drzwi.

Potem się zatrzymaliśmy. Mężczyzna w garniturze zadawał ci pytania, odpychając cię do tyłu. Ty krzyczałeś coś, pokazywałeś. Potem spojrzełeś na mnie... naprawdę na mnie

spojrzałeś. W twoich oczach była desperacja, pragnienie czegoś, odnalezienie czegoś. Chyba tak. Twoje oczy zwilgotniały, kiedy patrzyłeś na mnie, zatrzymywałeś wzrok na twarzy, oczach, nogach. Próbowałam się odezwać, niestety, nie mogłam. Odwróciłeś się z powrotem do gościa w garniturze i wrzasnąłeś coś do niego. Potem podszedłeś do moich noszy. Pochyliłeś się nade mną. Dotknąłeś mojej twarzy.

- Zegnaj, Gem - szepnąłeś. - Wszystko będzie okej.

Dotknąłeś pierścionka na moim palcu i zacząłeś się odsuwać.

Nie. Pokręciłam głową. Nie!

Złapałam cię. Udało mi się chwycić twój łokieć. Moje palce zaciskały się na twojej ręce. Ciągnęłam z całą siłą, jaką udało mi się wykrzesać. Ciągnęłam cię do siebie. A ty mi pozwoliłeś. Pochyliłeś się bez oporu. A potem, nagle, znalazłeś się tuż obok. Przesunęłam palcami w górę twojego ramienia na nagą pierś, czułam twoje ciepło. Chwyciłam cię za kark.

Resztkami sił przyciągnęłam twój twarz do mojej. Moja głowa uniosła się odrobinę z poduszki, do ciebie.

Twoja skóra była o centymetry od mojej. Twoje usta były tak blisko. Moje wargi odnalazły twój policzek. Poczułam kurz, sól i pot. Poczułam szorstkość twojej brody. Czułam twój ciepły oddech, zapach kwaśnego eukaliptusa. Twoje wargi były miękkie.

I wtedy odciągnięto cię ode mnie. Ktoś cię trzymał. A ja opadłam z powrotem. Szukałam cię wzrokiem, odnalazłam twoje spojrzenie, kiedy mnie odwozili. Nadal czułam twój słony smak na wargach.

Nie płakałeś. Nie poruszyłeś się. Tylko stałeś jak skała, patrząc na mnie, podczas gdy dookoła ciebie zbierali się pracownicy szpitala. Teraz to na ciebie polowano. Chciałam podnieść rękę, pragnęłam ci podziękować. Ale mogłam tylko patrzeć, kiedy ciągnęli mnie tyłem przez otwierające się drzwi. Plastikowe skrzydła musnęły moje ramiona, gdy mnie przez nie przewieźli. Podciągnęłam się, nie chcąc tracić cię z oczu. Uniosłeś rękę do ust. Rozprostowałeś palce i dmuchnąłeś w moją stronę. Wyglądało to jak przesłany pocałunek. A ja zobaczyłam piasek, który przez chwilę wisiał w powietrzu, zanim opadł na podłogę.

Później drzwi się zamknęły, a na twarzy poczułam inne, zimniejsze palce. Na moich ustach znalazła się kolejna maska. Plastikowe paski kłuły mnie w policzki. I oddychanie znów stało się niezwykle łatwe. Ale to nie miało znaczenia. Cały świat i tak poczerniał.

Odpłynęłam. Wszystko było zimne, ciemne i bardzo, bardzo odległe. Otaczały mnie szum aparatury i cichnące szmery głosów...

- Co to w ogóle za dziewczyna?

- Tracimy ją...

- Dawajcie ją na intensywną.. A potem już nic.

Ostry, chemiczny zapach. Sztywne prześcieradła przy mojej skórze, ciężko leżące na piersi. Kabelki podłączone do rąk. Coś piszczało. Kiedy próbowałam to znaleźć, zaczęło piszczeć szybciej. Było mi zimno. Moje ciało nie było tak bardzo odrętwiałe, raczej obolałe. Jakby puste. Dookoła mnie cztery ściany jak cienie. Żadnych okien. Kiedy spojrzałam na jedną ścianę, miałam wrażenie, że pozostałe zamykają się wokół mnie.

To był taki malutki pokoik. Ciebie w nim nie było. Tylko ja.

Innym razem poczułam na ramieniu czyjeś chłodne palce, owijające mnie czymś.

- Gdzie jest Tyler? - spytałam.

- Kto? - To był głos kobiety, raczej starszej.

- Gdzie jest Tyler?

Palce przestały się poruszać. Westchnienie.

- Już nie musisz się nim martwić - powiedział łagodnie głos. - Nie ma go.

- A gdzie jest?

Palce zsunęły się na mój nadgarstek i przycisnęły go, ich czubki były chłodne.

- Twoi rodzice są w drodze.

Zasnąłam.

Między nogami miałam krew... okres w końcu przyszedł. Tylko parę tygodni spóźnienia. Podobno strach go czasem wysusza. Leżałam tam, zbyt otępiała, by czuć wstyd, patrzyłam, jak pielęgniarka zmienia pościel.

Znowu zasnąłam, pragnąc, żeby coś mi się przyśniło.

Najpierw usłyszałam głos mamy, wysoki i przenikliwy, odbijający się echem po korytarzu w moją stronę.

- Wyjechaliśmy najwcześniej, jak to było możliwe - powiedziała. - Gdzie ona jest?

Jej obcasy stukały szybko, zbliżała się. Były coraz głośniejsze. Cichy głos taty w tle, rozmawiał z jakimś trzecim głosem.

- Była w sypialce wywołanej jadem węża - mówił ten głos. - Przez jakiś czas będzie się czuła dziwnie.

I nagle wszyscy znaleźli się w moim pokoju. Mama i tata, i lekarz w białym fartuchu. Przy drzwiach stał policjant. Mama chwyciła mnie, przygniotła swoim swetrem z miękkiej wełny i drogimi perfumami. Szlochała w moje włosy. Tata stał za nią, mówiąc coś. Uśmiechał się, cała jego twarz od tego się marszczyła - na chwilę zamieszało mi to w głowie, bo tata nigdy się tak nie uśmiechał. A w każdym razie nie do mnie, o ile pamiętam. Potem wszyscy coś mówili, zadawali pytania, patrzyli... Ja wodziłam wzrokiem od mamy do

taty, do lekarza... Za dużo hałasu. Patrzyłam na ich usta, jak się otwierają i zamykają, ale nie mogłam zrozumieć ich słów. Pokręciłam głową.

Wtedy, niemal jednocześnie, wszyscy ucichli. Gapili się na mnie wyczekująco, ciekawi mojej reakcji.

Mama cofnęła się, obserwując moją twarz. A ja otworzyłam usta. Chciałam się do nich odezwać. Pragnęłam mówić. Naprawdę. Część mnie, duża część mnie, była tak szczęśliwa na ich widok, że chciałam się rozplakać. Ale nie mogłam płakać, nie mogłam wydobyć głosu. Nic mi nie wychodziło. Nie potrafiłam nawet unieść rąk, żeby ich objąć. W tamtej chwili nie. Nie od razu.

Mama zrobiła to za mnie, zalała się łzami, od których moja szyja natychmiast stała się mokra.

- Och, Gemmo, to musiało być dla ciebie straszne - szlochała. - Ale już jesteśmy przy tobie, obiecuję, że odtąd wszystko będzie dobrze. Nie musisz się martwić. Nie musisz się bać... Jesteś bezpieczna.

W tym, co mówiła, było coś dziwnego, jakby usiłowała przekonać samą siebie. Próbowałam odwzajemnić jej uśmiech. Naprawdę. Ale każdy mięsień w mojej twarzy bolał. Ból zbierał się w moim czole. Światła w tym pokoju były takie jasne.

Musiałam zamknąć oczy.

Potem mama wróciła sama. Jej oczy były czerwone i wyglądały na zmęczone. Zmieniła bluzkę na brzoskwińową, świeżo wyprasowaną i słodko pachnącą.

- Nie powinniśmy tu byli przychodzić wszyscy - powiedziała. - To musi być dla ciebie trudne... tak długo nie miałaś nikogo oprócz...

Nie była w stanie wypowiedzieć twojego imienia, jej twarz skurczyła się z bólu na samą myśl o tobie. Skinęłam głową, że rozumiem, a ona ciągnęła.

- Lekarze mówili mi, jak trudno jest czasem ludziom zaadaptować się z powrotem do prawdziwego życia. Wiem, że nie mogę oczekiwać... - Na jej twarzy widać było, że walczy z jakimiś emocjami, których nie umiałam odczytać. Zmarszczyłam brwi. - Nawet nie wiem, co ci zrobił - szepnęła. - Wydajesz się jakaś inna. - Musiała odwrócić wzrok, zagryzając wargi. Oddychała głęboko, aż odzyskała panowanie nad sobą. - Tak okropnie się martwiliśmy, Gemmo - szepnęła. - Myśleliśmy, że już nigdy... że ty nigdy...

Po jej twarzy znowu spływały łzy, tusz do rzęs się rozmazywał. W poprzednim życiu byłaby z tego okropnie niezadowolona. Patrzyłam, jak czarne strużki płyną po jej policzkach. Sięgnęła po moją rękę, pozwoliłam, żeby ją wzięła. Jej palce były chłodne i cienkie, miała

długie paznokcie. Poczula pierścionek, który mi dałeś. Zesztywniałam, obserwując, jak okręca go na moim palcu, patrzy, jak lśnią barwy.

- Miałaś to przedtem? - spytała.

Skinęłam głową.

- Ze sklepu - skłamałam. - Jest sztuczny.

- Nie pamiętam go.

Cisza zawisła między nami. Mama zagryzła wargę. W końcu wyprostowała się, splatając palce na kolanach. Włożyłam ręce pod przykrycie. Ściągnęłam pierścionek z palca. Mama, zaniepokojona, popatrzyła na mnie uważnie, marszcząc czoło.

- Pielęgniarka mówiła, że kilka razy pytałaś o niego - przyznała.

- Zastanawiałam się...

- Wiem, to zrozumiałe. - Pochyliła się i pogłaskała mnie po twarzy. - Ale już nie musisz się zastanawiać, skarbie, nawet nie musisz o nim myśleć.

- Co to znaczy?

- Mają go, Gemmo - szepnęła. - W szpitalu poddał się policji. Niedługo będą potrzebowali twoich zeznań.

- A co, jeśli nie zechcę...?

- Musisz. Tak będzie najlepiej. - Poprawiła na mnie prześcieradła. - Kiedy złożysz zeznania, policja będzie mogła go oskarżyć. Będziemy o krok bliżej do tego, żeby zamknęli tego potwora. A przecież właśnie tego chcesz, prawda? - W jej głosie słychać było wahanie.

Pokręciłam głową.

- On nie jest potworem - powiedziałam cicho.

Ręce mamy zeszywniały na pościeli, popatrzyła na mnie ostro.

- Ten człowiek jest zły - syknęła. - Inaczej by nam ciebie nie zabrał.

- Nie wiem - szepnęłam. - Ale on... nie jest taki. - Nie mogłam znaleźć właściwych słów.

Mama zbladła, przyglądając mi się i mocno zaciskając wargi.

- Co on ci zrobił...? - spytała. - Co ci zrobił, żebyś tak myślała?

Następnego dnia przyszła dwójka policjantów: szczupły mężczyzna i dość młoda kobieta. Mieli czapki w rękach. Były to baseballowe czapeczki, dużo bardziej nieformalne niż policyjne czapki w Wielkiej Brytanii. Nosili koszule z krótkimi rękawami. Rodzice stali w głębi pokoju. Lekarz też tam był. Wszyscy na mnie patrzyli, oceniali mnie. Czułam się, jakbym grała w sztuce i jakby każdy czekał, aż wypowiem wreszcie swoją kwestię. Policjant

wyjął notes i pochylił się nade mną na tyle blisko, że mogłam dojrzeć pryszcz na jego brodzie.

- Rozumiemy, że to dla pani trudne, panno Toombs - zaczął. Jego głos był nosowy i wysoki, natychmiast przestałam go lubić. - Ofiary porwania często przechodzą przez fazę milczenia i zaprzeczania. Od pani rodziców słyszałem, że nie mówi pani dużo, nie rozmawia z nikim o tym, co pani przeszła. Nie chciałym naciskać, ale...

Milczałam. Urwał i spojrzał na mamę. Skinęła głową, zachęcając go.

- Chodzi tylko o to, panno Toombs, Gemmo... - ciągnął. - Trzymamy w areszcie człowieka. Mamy powody wierzyć, że to on jest pani porywaczem. Potrzebujemy, żeby nam to pani potwierdziła.

- Kto to jest? - spytałam. Zaczęłam kręcić się niespokojnie.

Szczupły mężczyzna sprawdził w notatkach.

- Oskarżonym jest niejaki Tyler MacFarlane, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, włosy blond, oczy niebieskie, niewielka blizna z boku...

Żołądek mi się skręcił. Dosłownie. Musiałam sięgnąć po basen i zwymiotować.

Policja naciskała. Codziennie wracali ze swoimi pytaniami, codziennie sformułowanymi troszeczkę inaczej.

- Opowiedz nam o człowieku, którego spotkałaś na lotnisku.

- Czy zabrał cię wbrew twojej woli?

- Czy użył siły?

- Narkotyków?

Mogłam to wytrzymać tylko przez chwilę. W końcu musiałam coś powiedzieć. Mama zawsze była obok, zachęcała mnie. Po jakimś czasie pokazali mi zdjęcia. Na niektórych byłeś ty. Na niektórych inni ludzie.

- Czy to on? - pytali raz za razem, przekładając zdjęcia. Nie ustępowali.

Łatwo było cię rozpoznać, tylko ty miałeś jakikolwiek ogień w oczach. Tylko na ciebie w ogóle mogłam patrzeć. Było tak, jakbyś spoglądał w obiektyw aparatu tylko dla mnie, jakbyś wiedział, że potem będę oglądać te zdjęcia, szukać ciebie. Na jednym zdjęciu byłeś dumny. Tak dumny, jak tylko mogłeś, stojąc na tle policyjnej ściany. Pod okiem miałeś ranę, której przedtem tam nie było. Chciałam zatrzymać to zdjęcie. Ale oczywiście detektyw schował je do brązowej koperty razem z innymi.

I tak to się ciągnęło. Co najmniej parę dni. Ale w końcu złożyłam zeznania. Musiałam.

Ten czas był jednym pasmem zastrzyków i przesłuchań. Stałam się własnością publiczną. Wydawało się, że każdy może mnie zapytać o wszystko. Nie mieli dość. Ta policjantka pytała mnie nawet, czy uprawialiśmy seks.

- Kazał ci się dotykać?

Pokręciłam głową.

- Nigdy.

- Jesteś pewna?

Rozmawiałam z psychologami, terapeutami, doradcami, lekarzami od tego i lekarzami od tamtego. Pielęgniarka codziennie pobierała mi krew. Lekarz sprawdzał pracę serca w poszukiwaniu nieprawidłowości. Stosowali terapię dla osób w ciężkim szoku. Nigdy nie zostawiali mnie samej. A już zwłaszcza psychologowie.

Pewnego popołudnia przyszła pani z fryzurą na pazia i w ciemnoniebieskim kostiumie. Usiadła przy moim łóżku. To było tak pod koniec dnia, czekałam na szczęk wózka z kolacją.

- Jestem doktor Donovan - oznajmiła. - Psychiatra kliniczny.

- Nie chcę kolejnego psychiatry.

- W porządku. - Ale nie wyszła. Pochyliła się tylko po tabliczkę z kartą wiszącą w nogach łóżka i zaczęła ją przeglądać. - Wiesz, co to jest syndrom sztokholmski? - spytała miękko.

Nie odpowiedziałam. Spojrzała na mnie, zanim dopisała do karty własne notatki.

- Występuje wtedy, kiedy ofiara zaczyna odczuwać więź emocjonalną z porywaczem - wyjaśniła, dalej pisząc. - Może to być sposób na przeżycie. Na przykład czujesz się bezpieczniej z porywaczem, jeżeli macie jakieś porozumienie, albo może ci zacząć być go żal... może ktoś kiedyś wyrządził mu krzywdę i chcesz mu to wynagrodzić... zaczynasz go rozumieć. Są też inne powody: jesteś tylko z nim, odizolowana, musicie się jakoś dogadywać lub bardzo się nudzisz... a może on sprawia, że czujesz się wyjątkowa, kochana...

- Wiem, o co pani chodzi - przerwałam. - Ale ja się tak nie czuję.

- Wcale nie mówię, że tak jest. Zastanawiałam się tylko, czy wiesz, że jest coś takiego.

- Popatrzyła na mnie uważnie, unosząc brew. Lekko zainteresowana, czekałam, aż pociągnie ten wątek. - Cokolwiek zrobił - kontynuowała cicho - cokolwiek pan MacFarlane zrobił lub powiedział, wiesz, że nie postąpił dobrze, prawda, Gemmo?

- Mówi pani jak moja mama.

- To tak źle?

Kiedy na to nie odpowiedziałam, westchnęła głęboko i wyjęła z teczki cienką książkę.



- Niedługo cię wypiszą - oznajmiła. - Ale lekarze wciąż będą cię wypytywać, aż zrozumiesz, aż zdasz sobie sprawę z tego, co pan MacFarlane uczynił.

- Ja wiem, że Tyler postąpił źle - przerwałam cicho.

Bo i wiedziałam, prawda? Ale to było tak, że tylko jedna część mnie chciała jej wierzyć. Druga część rozumiała też, dlaczego to zrobiłeś. A ciężko jest kogoś nienawidzić, kiedy się go rozumie. Czułam się taka zakręcona.

Doktor Donovan urwała, spojrzała na mnie, nie bez sympatii.

- Może trzeba ci pomóc w zrozumieniu własnych myśli?

Milczałam, patrzyłam prosto na jasnoszarą ścianę. Położyła książkę na stoliku przy łóżku. Na okładce było coś o syndromie sztokholmskim. Nie przyglądałam się bliżej.

- Gemmo, w pewnej chwili będziesz musiała z kimś porozmawiać - zachęcała. - Niedługo sama zapragniesz uporządkować swoje uczucia. Zrozumieć, co jest prawdziwe.

Położyła na stole wizytówkę. Wzięłam ją i schowałam do szuflady, obok twojego pierścionka. Potem wyszła, a ja wpatrywałam się w sufit. Owinęłam się kocami, nagle zrobiło mi się zimno. Czułam się naga... jakbym zrzuciła na pustyni skórę jak wąż. Jakbym zostawiła część siebie gdzieś daleko stąd.

Zastanawiałam się, czy ciebie też przesłuchują. Zadrżałam i naciągnęłam sobie koce na głowę, ciesząc się ciemnością, którą tworzyły.

Mama i tata zajęli się reporterami. Wystąpili w dziennikach i rozmawiali z gazetami. Byłam im za to wdzięczna. Wtedy sama myśl o stanięciu przed obiektywem wystarczała, żebym nie mogła złapać tchu.

Kiedy oboje byli na konferencji prasowej, wstałam z łóżka. Chodziłam po pokoju, w którym czułam się jak w pułapce, aż powoli zmuszałam kończyny, by znowu zaczęły funkcjonować. Noga, w którą ukąsił mnie wąż, nadal była sztywna i obolała. Ale dobrze było nią trochę poruszać.

Spróbowałam przejść się korytarzem, sprawdzić, jak daleko noga mnie zaniesie, nim ból stanie się nie do zniesienia. Czy dałabym radę wyjść ze szpitala? Dwoje starszych pacjentów gapiło się na mnie, kiedy przechodziłam.

Wiedzieli, kim byłam. Ich spojrzenia sprawiły, że niemal uciekłam do pokoju. Wyglądało to prawie tak, jakbym była sławna. Przelknęłam ślinę i zmusiłam nogi, aby szły dalej.

Dotarłam do szerokiego holu, do tych plastikowych drzwi, gdzie cię widziałam po raz ostatni. Dotknęłam ich twardych brzegów i przeszłam przez nie. Przy recepcji czekała kobieta w ciąży. Podniosła wzrok, gdy przechodziłam, ale zignorowała ją. Podeszłam do

rozsuwanych drzwi prowadzących na zewnątrz. Stałam przed nimi, a one rozsunęły się na boki z mechanicznym pomrukiem. Na dworze było gorąco i słonecznie. Zamrugałam od tego światła. Były tam samochody, lampy i ludzie, i ptaki ćwierkające w liściach drzew. Przedemną rozciągał się parking. A za nim - czerwona ziemia.

Zrobiłam jeden mały krok. Lecz niemal natychmiast przy moim boku pojawiła się pielęgniarka. Położyła mi ręce na ramionach. Nie puszczała.

- Nie zostałam wypisana - szepnęła.

Odwróciła mnie i zaprowadziła z powrotem do tego pokoju. Tego małego, malutkiego pokoju... tak bardzo podobnego do celi, z grubymi ścianami i brakiem światła. Zapakowała mnie do łóżka i starannie przykryła.

Potem mama przyszła z plastikową torbą. Zebrała setki artykułów, wszystkie starannie powycinane z gazet.

- Nie wiem, czy masz świadomość, jaka to była wielka sprawa - powiedziała. - Prawie cały świat o tobie wie. - Położyła torbę na moim łóżku i kartkowała strony pełne słów. - Te zebrałam już po naszym wyjeździe z Anglii. W domu jest więcej. Myślałam tylko... - Urwała, żeby rozważyć dobór słów. - Myślałam, że chciałabyś wiedzieć, zobaczyć, jak bardzo ludzie się o ciebie martwili.

Pociągnęłam torbę w swoją stronę, czując ciężar papieru na nogach. Wyjęłam gruby plik. Pierwszym, co zauważyłam, było zdjęcie. Ostatnie moje szkolne zdjęcie powiększone do ogromnych rozmiarów na pierwszej stronie „The Australian”. Włosy miałam na nim związane w kucyk, a szkolna bluzka była ciasno zapięta pod szyję. Od zawsze nienawidziłam tego zdjęcia. Przerzuciłam jeszcze kilka artykułów. Było prawie we wszystkich.

- Dlaczego dałaś tę fotkę? - spytałam.

Mama zmarszczyła brwi, ściągnęła je razem.

- Wyglądasz ładnie.

- Wyglądam młodo.

- Kochanie, policja potrzebowała aktualnego zdjęcia.

- A musiało być to szkolne? - Wtedy pomyślałam o tobie, jak siedzisz w jakiejś celi.

Ty też widziałeś te artykuły? To zdjęcie?

Przeczytałam kilka fragmentów.

Szesnastoletnia Gemma Toombs, porwana z lotniska w Bangkoku, została przyjęta do szpitala w Australii Zachodniej, do którego najwyraźniej zawiózł ją porywacz...

Stęsknieni rodzice Gemmy Toombs wy czarterowali samolot z Londynu, żeby jak najszybciej znaleźć się u boku córki... Na zdjęciu przy tekście twarz mamy była mokra od łez, tata obejmował ją ramieniem. Anna była w tłumie za nimi, patrząc z niepokojem w obiektyw.

Artykuły ciągnęły się i ciągnęły, głównie powtarzając to samo. Patrzyłam już tylko na nagłówki.

Gemma znaleziona!

Gemma Toombs uwolniona przez pustynnego włóczęgę!

Czy to jest twarz potwora?

Przy tym się zatrzymałam. Wczorajsza gazeta. Pośrodku strony narysowany był twój portret. Miałeś pochyloną głowę i siedziałeś w sali sądowej, z rękami w kajdankach... Twoich niebieskich oczu nie narysowali. Przeleciałam tekst wzrokiem. Napisali, że to była rozprawa wstępna i że potrwała tylko kilka minut. Cały czas trzymałeś głowę pochyloną. Powiedziałeś tylko jedno słowo: „Niewinny”.

Wtedy spojrzałam na mamę.

- Wiem. - Mama pokręciła głową. - Musi być szalony. Nie ma mowy, żeby się wybronił. Policja ma świadków, wideo z lotniska i oczywiście ciebie. Jak w ogóle mogło mu przyjść do głowy, że uwierzą w jego niewinność? - Znowu pokręciła głową, zdenerwowana. - To tylko dowodzi tego, że naprawdę jest szalony.

- Co jeszcze powiedział?

- Na razie nic. Musimy poczekać na rozprawę. Ale policja twierdzi, że powie, iż poszłaś z nim z własnej woli, że tego chciałaś. - Urwała gwałtownie, zastanawiając się, czy nie powiedziała za dużo. Nie wiedziała, jak zareaguję. Czytałam w jej oczach, że wciąż nie była pewna, jaki miałeś na mnie wpływ.

Uśmiechnęłam się, dziękując jej, usiłując ją uspokoić.

- Masz rację, to szaleństwo - zgodziłam się cicho.

Mama zaczęła się wtedy krzątać, układając wokół mnie wycinki, nie nadążałam ich czytać.

- Chciałabyś wrócić do Londynu? - spytała. - Zanim zacznie się rozprawa? Wtedy będziemy mogli porządnie się przygotować. Potrzebujesz pewnie trochę czasu na uporządkowanie myśli, na pobycie z przyjaciółmi.

W roztargnieniu skinęłam głową.

- Chcę tylko, żeby to się już skończyło - powiedziałam. - Wszystko.

Wracaliśmy do Londynu z przesiadką w Perth. Mieliśmy czekać na rozprawę w domu. Do tego czasu policja miała zbierać dowody przeciwko tobie, a ja - pracować nad moim

oświadczeniem. Miałam wrócić do szkoły, o ile uznam, że mam na to dość siły, i nadal chodzić do psychologa. Gdy mama mi to zakomunikowała, brzmiało to dość prosto.

- Za kilka miesięcy życie stanie się łatwiejsze - powiedziała. - Zobaczysz. Wszystko się ułoży.

Niewiele dowiedziałam się o tobie. Usłyszałam, że trzymają cię pod zaostrzonym nadzorem w więzieniu, gdzieś w Perth. Miałeś pojedynczą celę.

Nie zwolnili cię za kaucją, a ty z nikim nie chciałeś rozmawiać. Tylko tyle policja mi powiedziała. Ani słowa więcej.

Podczas lotu do Perth usiadłam przy oknie. Samolot był mały, wycarterowany specjalnie dla nas, trząśł się i terkotał, odrywając się od ziemi. Dziwne to było, sami na pokładzie. Zdaje się, że płacił za to brytyjski rząd. Zawołałam stewardessę i poprosiłam ją o szklankę wody. Natychmiast się tym zajęła.

Przycisnęłam dłoń do plastikowej szyby, kiedy zaczęliśmy się wznosić coraz wyżej. Tata wziął mnie za drugą i mocno ją trzymał. Jego złota obrączka była zimna w dotyku. Opowiadał mi o życiu w Londynie, o kolegach, którzy przekazywali dla mnie wiadomości i nie mogli się mnie doczekać... o Annie i o Benie.

- Moglibyśmy ich wszystkich zaprosić - powiedział. - Urządzić jakieś... przyjęcie...?

Mówił pytająco, więc pokiwałam głową - właściwie to zupełnie nie słuchałam. Chciałam tylko powstrzymać jego pytania, wszystko jedno, jak dobre miał intencje. Zamknęłam oczy, bo nagle coś do mnie dotarło. Wydawało się, że nikt nie miał pojęcia, co się ze mną działo, nikt nie wiedział, o czym tak naprawdę myślę. Jakbym istniała w jakimś równoległym wszechświecie, przez co nikt nie rozumiał moich myśli ani uczuć. Może poza tobą. Ale nawet tego nie wiedziałam na pewno.

Oparłam głowę o okno, drżało pod moją skronią. Patrzyłam, jak ziemia przesuwa się pod nami. Stąd pustynia miała tyle kolorów... tyle odcieni brązu, czerwieni i oranżu. Białe wyschnięte koryta rzek i jeziorka. Ciemna rzeka, wijąca się jak wąż. Wypalona czerń. Wiry i koła, linie i faktury. Maleńkie kropki drzew. Ciemne smugi skał. Wszystko rozciągające się w nieskończony wzór.

Pokonanie tych setek kilometrów, tych miliardów ziarenek piasku, całego tego życia zajęło nam dwie godziny. Stąd, z tak wysoka, ziemia wyglądała jak obraz - jak jedno z twoich dzieł. Wyglądała jak twoje ciało, kiedy je pomalowałeś. Mrużąc oczy, mogłam sobie niemal wyobrazić, że ziemia to ty... powiększony do ogromnych rozmiarów, tuż pode mną.

I wtedy coś do mnie dotarło. Zrozumiałam, co robiłeś przez cały ten czas, w tej swojej szopie na pustyni. Malowałeś ziemię taką, jak wyglądała z góry, jak widziałby ją ptak albo duch, albo ja... te twoje wiry i kropki, i plamy wyznaczały wzory ziemi.

Reporterzy czekali. Skądś się dowiedzieli, że musimy przejść z krajowego terminalu na międzynarodowy, wiedzieli również, że na lot do domu musimy czekać trzy godziny. Cisnęli się dookoła nas, byli coraz bliżej, ich flesze błyskały.

- Gemmo! Gem! - krzyтели. - Możemy zamienić parę słów?! - mówili do mnie, jakby mnie znali, jakbym była córką ich sąsiadów.

Tata próbował mnie zasłonić, odepchnąć ich, jednak oni nie ustępowali. Nawet zwykli ludzie na lotnisku, inni pasażerowie, taksówkarze i obsługa kawiarni - nawet oni mnie znali. I widziałam, że niektórzy z nich też robią mi zdjęcia. To było idiotyczne. W końcu mama zdjęła zakiet i zarzuciła mi go na głowę. Tata bardzo się rozzłościł, no, w każdym razie bardzo jak na niego... chyba nawet kazał komuś się odpieprzyć. To mnie zaskoczyło, zatrzymałam się na chwilę, żeby popatrzeć mu w twarz. Czyli naprawdę mu na mnie zależało, naprawdę chciał, żebym była bezpieczna. Przycisnął mnie mocno do siebie, kiedy mijaliśmy ekipę telewizyjną.

Ale jedno było jasne, nie byłam już zwykłą dziewczyną. Stałam się celebrytką. Moja twarz sprzedawała gazety. Miliony gazet. Sprawiała, że ludzie oglądali dzienniki. Ale w tamtej chwili, z zakietem na głowie, kiedy ci wszyscy faceci w skórzanych kurtkach na mnie wrzeszczeli, czułam się raczej jak przestępca. Byli jak pijawki, chcieli wysać każdy drobiazg, jaki zaistniał między nami dwojgiem na pustyni... chcieli wiedzieć wszystko. Uczyniłeś mnie sławną, Tyler. Sprawileś, że cały świat się we mnie zakochał. A ja to znieawidziałam.

Dotarliśmy do drugiego terminalu. Tam też byli dziennikarze i gapie, i policja, i hałas, i hałas, i światła, i hałas. Mój oddech przyśpieszył. Wciąż myślałam o tym wielkim samolocie stojącym na pasie, jak czeka, żeby zabrać mnie z powrotem do Anglii, do zimna, do miasta i do szarości... czeka, by odciągnąć mnie daleko od ciebie. Czułam pot na swojej skórze, ubranie kleiło mi się do ciała.

Nie mogłam tego zrobić. Oderwałam się od rodziców. I pobiegłam. Mama próbowała złapać mnie za sweter, lecz ja się z niego wyślizgnęłam i została z pustymi rękawami w dłoniach. Przebiegłam tuż obok dziennikarzy z ich błyskającymi światłami i hałasem. Przebiegłam obok sklepów i innych pasażerów, prosto do toalet. Znalazłam pustąabinę. Zamknęłam za sobą drzwi. Kopnęłam je, żeby się upewnić, czy są zamknięte. A potem usiadłam na sedesie i oparłam głowę o papier toaletowy. Przycisnęłam do niego usta, żeby się

nie rozplakać, nie zacząć wrzeszczeć i nie roznieść tego miejsca na strzępy. Wdychałam jego kredowy, sztucznie kwiatowy zapach. I po prostu tam siedziałam. Nie miałam na nich siły, na nikogo. Wszyscy chcieli ode mnie odpowiedzi, na które nie byłam gotowa.

Mama mnie znalazła. Stała po drugiej stronie drzwi kabiny, w czerwonych butach, skierowanych czubkami do mnie.

- Gemma? - powiedziała. Jej głos był drżący i cichy. - Chodź, kochanie, otwórz. Nikt inny tu nie wejdzie. Kazałam tacie zablokować drzwi. Jesteśmy tu same.

Stała tam całe wieki, nim otworzyłam. Weszła i objęła mnie, niezręcznie, bo ja siedziałam na zamkniętym sedesie, a ona tak jakoś pochylała się nade mną, klęcząc między kawałkami papieru toaletowego a starymi plamami sików. Pociągnęła mnie na swoje kolana; ja też ją objęłam, po raz pierwszy, odkąd się pojawiła. Oparła się o sedes, przykrywając mnie zakietem, a ja o czymś pomyślałam. Ta mama, która mnie tuliła, nie przypominała tej mamy, o której ty mi opowiadałeś. Po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy to wszystko, co mówiłeś mi na pustyni, było prawdą. Wszystkie te rozmowy, które podobno słyszałeś, o tym, jak rodzice chcą się wyprowadzić albo że są mną rozczarowani. Kłamałeś przez cały ten czas?

Mama delikatnie głaskała mnie po włosach.

- Nie mogę wrócić - szepnęłam jej w ramię. - Jeszcze nie. Nie mogę stąd wyjechać.

A ona przycisnęła moją głowę mocno do piersi i otuliła mnie ramionami.

- Nie musisz - powiedziała, kołysząc mnie. - Nie musisz robić niczego, czego nie chcesz, już nie.

A ja płakałam.

Podczas jazdy taksówką do miasta żadne z nas się nie odzywało. Ja wciąż byłam zwinięta w ramionach mamy. W głowie mi szumiało, przypominałam sobie, co mi opowiadałeś o moim własnym życiu. Mówiłeś, że zupełnie nie obchodzę rodziców, że przejmują się tylko sobą i pieniędzmi, że chcieli się wyprowadzić. Byłeś taki przekonujący.

Musiałam zmusić swój umysł, żeby się oczyścić. Nie wiedziałam, co bym zrobiła, gdybym znowu zaczęła rozmyślać. Pewnie wyturlałabym się z taksówki i dała się zabić. Tata zajął się bagażem i organizowaniem noclegu. Ja zająłam się betonem migającym za oknem... chodnik, budynki, chodnik, czasem drzewo. Skupiłam się na słabym, słodkawym zapachu bluzki mamy. Kierowca podjechał pod grupkę ciemnoszarych bloków.

- Apartamenty z obsługą - mruknął. - Nowe. Nikt nie wie, że już są otwarte. - Czekał na napiwek.

Weszliśmy. Moja obojętna mina maskowała to, co działo się w środku. Mama wzięła klucz i poprowadziła mnie przez hol, tata zajął się wyjaśnieniami. Nogi mi się trzęsły, gdy szliśmy po schodach.

Wewnątrz nie wytrzymałam. Trzasnęłam drzwiami i sięgnęłam po pierwsze, co mi wpadło pod rękę - lampę - i rzuciłam nią o świeżo pomalowaną beżową ścianę. Porcelanowa podstawa roztrzaskała się na kawałki, które poleciały wszędzie. Potem złapałam coś innego - wazon - i nim też rzuciłam.

Mama odskoczyła. Z szeroko otwartymi z przerażenia oczyma ruszyła w moją stronę, ale ja chwyciłam kolejny najbliższy przedmiot i wyciągnęłam go ostrzegawczo w jej stronę, zanim do mnie dotarła. Był to elektryczny wentylator, nadal włączony do prądu, z wirującymi ramionami. Trzymałam urządzenie wysoko, aż sznur napiął się nad moją głową. Byłam gotowa rzucić także nim.

- Co się stało? - Wciąż patrzyła mi w oczy.

Pokręciłam głowę, łzy lały mi się po twarzy.

- Powiedz mi coś - szepnęłam. - Czy w przyszłym roku chcieliście się przenieść gdzieś beze mnie? Rozmawialiście o tym z tatą?

- Co? - Brwi mamy uniosły się w górę. - Nie, oczywiście, że nie! Kto ci tego naopowiadał?!

Ruszyła się w moją stronę, ale ja trzymałam między nami wentylator, gotowa rzucić jej go w twarz. Wtyczka ledwo trzymała się w kontakcie. Mama zobaczyła w moich oczach ostrzeżenie, żeby bliżej nie podchodzić. Każda część mnie dygotała, każda część mnie oddzielnie dostawała szału.

- Nienawidzę tego wszystkiego! - wrzasnęłam łamiącym się głosem. - Nienawidzę nawet jego, nawet jego! - Z piersi wydarło mi się głośnie łkanie.

I wtedy tak było. Nienawidziłam cię za wszystko, za to, że czułam się taka bezradna, gdziekolwiek bym poszła, za to, że zupełnie straciłam nad sobą kontrolę. Nienawidziłam cię za te rozedrgane myśli w mojej głowie, za całe to pomieszanie... za to, jak nagle we wszystko zwątpiłam. Nienawidziłam cię za to, że postawiłeś moje życie na głowie, a potem rozbiłeś je na kawałki. Nienawidziłam cię za to, że przez ciebie stałam z włączonym wentylatorem w rękę i wrzeszczałam na swoją mamę.

Ale nienawidziłam cię jeszcze za coś. W tamtej chwili i w każdej następnej, odkąd mnie opuściłeś, byłam w stanie myśleć tylko o tobie. Chciałam, żebyś był w tym mieszkaniu. Chciałam, żebyś mnie obejmował, żeby twoja twarz była obok mojej. Pragnęłam czuć twój zapach. I wiedziałam, że nie mogę, nie powinnam tego mieć. I tego nienawidziłam

najbardziej. Tej niepewności z tobą związanej. Porwałeś mnie, przez ciebie moje życie było w niebezpieczeństwie, ale... kochałam cię też. Albo tak myślałam. Nic z tego nie miało sensu.

Warknęłam gardłowo, sfrustrowana. Mama zrobiła ostrożny krok w moją stronę.

- To nic złego, że nie wiesz, co czujesz - szepnęła. - Ludzie, których... na których nam zależy... to nie zawsze ci, na których powinno... - Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy trafiła.

Spomiędzy moich zębów wydobył się dźwięk, wychodzący gdzieś głęboko z piersi.

- Nic do mnie nie mów! - warknęłam. - Koniec ze słowami!

Wyrwałam wentylator z kontaktu, wciąż unosząc go między nami, z jego pomocą trzymając się z dala od mamy. Machnęłam nim w jej stronę, a ona odskoczyła w tył, potykając się o stolik do kawy.

- Ależ, Gemmo! - szepnęła. - Kocham cię.

A ja rzuciłam wentylator w tym samym kierunku co lampę. Jego ramiona wciąż się kręciły, kiedy uderzył w ścianę.

Zostaliśmy w Perth. Nawet pozwolili nam zatrzymać się w apartamencie, mimo że wytłukłam tam tyle rzeczy.

Do rozprawy ciągle było ponad miesiąc, chociaż sąd zgodził się nadać sprawie wysoki priorytet. A zarząd kompleksu apartamentów wprost nie mógł odmówić przyjęcia pieniędzy, które tata im dał w zamian za zachowanie całej sprawy w sekrecie.

Moje uczucia są jak huśtawka. Czasami czuję się lepiej, bo wiem, że jesteś tutaj, w tym samym mieście, że jesteś blisko. Kiedy indziej ta sama myśl przepelnia mnie strachem. Ale tak czy inaczej, co wieczór myślę o tobie, że siedzisz gdzieś w celi. Wciąż skręca mi się żołądek, kiedy mama otwiera okna i wpuszcza z zewnątrz zapach eukaliptusa.

Nasz apartament z obsługą jest troszeczkę jak więzienie, z tymi szarymi kolorami i tą swoją czystością. I przez to, że nie mogę stąd wyjść, żeby ktoś nie zaczął robić mi zdjęć. Z okien patrzę na miasto... na beton i budynki, na samochody i garnitury. W niektóre dni wyobrażam sobie ziemię żyjącą pod tym wszystkim, czerwoną i uśpioną - tę ziemię, którą kochasz. Wyobrażam sobie, jak pewnego dnia znowu ożywa. Potem moje myśli wracają do pustyni, do otwartych przestrzeni pełnych kolorów i wzorów. Brakuje mi tego, tej nieskończoności.

Policjant zajmujący się śledztwem odwiedził mnie już dwa razy. Po tej sprawie z wentylatorem mama zadzwoniła też do doktor Donovan. Przychodzi prawie codziennie, a ja nie mam nic przeciwko temu, żeby z nią rozmawiać. Nie naciska za mocno, tylko pozwala mi mówić, kiedy chcę... kiedy mogę.



Właściwie to doktor Donovan zasugerowała, żebym to napisała. Oczywiście nie mówiła, żebym pisała do ciebie. Jasne, że nie. Tylko dała mi laptop. I powiedziała, żeby pisać.

- Jeśli nie możesz mówić o swoich przeżyciach, opisz je - podpowiedziała. - Zbierz wszystkie swoje myśli, jak tylko możesz, na przykład zacznij pisać pamiętnik... cokolwiek, co będzie dla ciebie najłatwiejsze. Musisz spróbować zrozumieć to wszystko, co cię spotkało.

I staram się, uwierz mi. Bardzo bym chciała wszystko zrozumieć. Ale jedyny sposób, w jaki mogę to zrobić, to napisać ten pamiętnik - a właściwie ten list - do ciebie. W końcu tylko ty tam ze mną byłeś... Tylko ty wiesz, co się stało. A coś się stało, prawda? Coś potężnego i dziwnego. Coś między nami. Coś, czego nigdy nie zapomnę, jakkolwiek bym się starała.

Doktor Donovan myśli, że mam syndrom sztokholmski. Wszyscy tak myślą. Wiem, że mama zawsze wpada w panikę, ile razy powiem o tobie coś dobrego, kiedy mówię, że nie jesteś taki zły, jak ludzie myślą, albo że jest w tobie coś więcej, niż piszą w gazetach. A jeżeli powiem coś takiego przed doktor Donovan, to ona robi tylko mnóstwo notatek i kiwa głową.

Dlatego przestałam mówić takie rzeczy. Zamiast tego mówię im to, co chcą usłyszeć. Powtarzam im, że naprawdę jesteś potworem, że masz pomieszane w głowie. Mówię im, że nie czuję do ciebie nic oprócz nienawiści. Zgadzam się ze wszystkim, co zdaniem policji powinnam powiedzieć. I napisałam oświadczenie, tak jak chcieli. Staram się w to wszystko uwierzyć.

Chciałabym mieć amnezję, żebym mogła zapomnieć, jak wyglądasz. Chciałabym być zadowolona z tego, że pomogę im cię wsadzić na dziesięć czy piętnaście lat. Chciałabym uwierzyć we wszystko, co piszą w gazetach. Albo w to, co mówią mi rodzice. Albo doktor Donovan. To nie jest tak, że nie rozumiem, o co im chodzi. Ja też pragnęłam, żebyś umarł.

No i spójrzmy prawdzie w oczy, ukradłeś mnie. Ale równocześnie uratowałeś mi życie. I gdzieś pomiędzy tym pokazałeś mi miejsce tak odmienne i piękne, że nigdy o nim nie zapomnę. I o tobie też nie. Tkwisz w moim mózgu niczym moje własne naczynia krwionośne.

Właśnie zrobiłam sobie małą przerwę, żeby się przejść po ogrodzie na tyłach kompleksu. Nie jest to wielki ogród - wybrukowane ścieżki z paroma roślinami w doniczkach, z krzaczkiem tu i tam. Siedziałam na kafelkach i patrzyłam na otaczające mnie wieżowce. Niemal cię czułam, wiesz, gdzieś w tym mieście, niedaleko. Niemal słyszałam twój cichy kaszel. Ty również o mnie myślałeś. Zamknęłam oczy i próbowałam sobie wyobrazić, jak to będzie. Przestraszę się na twój widok czy poczuję coś zupełnie innego?

Ty będziesz skuty, twoje silne ramiona będą nieruchome. Nie będziesz mógł mnie skrzywdzić ani choćby dotknąć. Czy twoje oczy będą błagać, czy wbiją się w moje z wściekłością? Jak oni się tam z tobą obchodzą? Czy wróciły ci koszmary? Jedno jest pewne - kiedy się spotkamy następnym razem, będę patrzeć na ciebie przez cały dzielący nas wymiar sprawiedliwości.

Myślałam, że kiedy dotrę do tego punktu listu, coś zrozumiem. Będę wiedziała, dlaczego to wszystko się stało, dlaczego pojawiłeś się w moim życiu... dlaczego wybrałeś mnie. Czasami myślę, że nadal jesteś tak pokręcony jak tego pierwszego dnia, kiedy spotkałam cię w parku. A czasami myślę o twoim planie, żeby żyć tam daleko, w upale i nieskończoności, pięknie, i czy to by zadziało. Najczęściej sama nie wiem, co myśleć.

Ale zapisywanie tego wszystkiego naprawdę coś mi dało. Kiedy piszę w łóżku, niemal słyszę echo wiatru na piasku albo jęki drewnianych płyt wokół mnie. Niemal czuję zakurzony zapach wielbłąda, czuję gorycz liści łobody. A kiedy śnię, twoje ciepłe ręce przykrywają moje ramiona. Twoje szepty przynoszą opowieści i brzmią jak szelest spinifeksu. Wiesz, nadal noszę twój pierścionek... w nocy, kiedy nikt nie widzi. Teraz też mam go w kieszeni. Schowam go, zanim wieczorem przyjdą policjanci. Chcą porozmawiać o tym, co powiem, gdy będę zeznawać jako świadek w sądzie. Chyba rzeczywiście powinnam o tym pomyśleć. Tylko że... nie jestem jeszcze pewna, choć najprawdopodobniej zacznę tak samo.

To będzie w poniedziałek rano, przed samą dziewiątą. Media będą już czekać. Ja, z nisko opuszczoną głową, wciśnięta między mamę i tatę. Będziemy musieli przeciskać się przez dziennikarzy, ludzi dojeżdżających do pracy i gapiów. Niektórzy będą usiłovali mnie złapać, wepchnąć mi mikrofon prosto w twarz. Mama będzie trzymać mnie za rękę tak mocno, że jej paznokcie wbiją mi się w skórę. Tata włoży garnitur. Mama wybierze dla mnie coś czarnego i rozsądnego.

Wejdziemy do budynku sądu, a tam od razu robi się ciszej. Wielki hol wejściowy i wszystkie te kostiumy i garnitury jakoś nas wyciszą. Znajdziemy pana Samuela, oskarżyciela. On zapyta, czy miałam okazję raz jeszcze przeczytać swoje oświadczenie. Potem wprowadzi rodziców na salę, tę główną, a ja usłyszę rozmowy i ruch, zanim drzwi zamkną się za nimi ze stuknięciem. Potem zostanę na zewnątrz, na zimnym skórzanym krześle, wyłącznie z własnymi myślami.

Po jakimś czasie - czasie, który będzie się wydawał dłuższy niż w rzeczywistości, drzwi otworzą się znowu. Wtedy przyjdzie moja kolej. Moje zeznania. W powietrzu będzie napięcie - jak trampolina, czekająca, żebym się odbiła. Wszyscy spojrzą. Będą się gapić,

nawet jeżeli uznają, że to niegrzecznie. Rysownik sądowy zacznie rysować moją twarz. Ale ja będę patrzeć na jednego człowieka.

Będziesz siedział na ławie oskarżonych, z rękoma skutymi razem. Twoje oczy też będą poszukiwały moich, niezglębione jak ocean. Będziesz mnie potrzebował. A ja podejmę decyzję. A potem się od ciebie odwrócę.

I wszystko zacznie się tak, jak powinno. Zapytają mnie o nazwisko, wiek, adres. Potem zrobi się ciekawie. Zapytają mnie, skąd cię znam.

Od razu powiem im to, co będą chcieli usłyszeć. Powiem im, jak mnie obserwowałeś, jak mnie... śledziłeś... od lat. Powiem im, jak przyjechałeś do Wielkiej Brytanii w poszukiwaniu matki i zamiast tego znalazłeś alkohol i prochy... a potem mnie. Powiem im, jak nie potrafiłeś się dopasować, o twoich szalonych myślach, że pustynia i ja to twoja jedyna droga ucieczki.

Potem prawnik zapyta mnie o lotnisko, a ja im powiem, jak podałeś mi narkotyki i jak mnie ukradłeś. Powiem im, jak mnie wepchnąłeś do bagażnika samochodu i trzymałeś mnie tam wbrew mojej woli. Powiem im o długich, samotnych nocach w tym małym baraku i o tym, jak mnie zamknąłeś w łazience... jak czekałam na to, żebyś mnie zabił. Powiem im o twoich wybuchach wściekłości i niezrównoważeniu, o twoich kłamstwach, i o tym, jak czasami chwytąłeś mnie tak mocno, że z oczu płynęły mi łzy, a skóra czerwieniała.

I nie będę na ciebie patrzeć podczas tych zeznań. Powiem tylko to, czego będą się spodziewać.

- To potwór - powiem. - Tak, porwał mnie.

A sędzia walnie tym swoim młoteczkim i skaze cię na piętnaście lat czy coś koło tego i wszystko - wszystko - nareszcie się skończy.

Ale jest też inna możliwość.

Mogłabym opowiedzieć na sali sądowej o tym, jak kiedyś spotkaliśmy się w parku, dawno temu, kiedy ja miałam dziesięć, a ty prawie dziewiętnaście lat. Jak znalazłam cię pod rododendronem, ciasno otulonego liśćmi i z różowymi pączkami, otwierającymi się nad twoją głową. Mogłabym im opowiedzieć, jak się zaprzyjaźniliśmy, jak do mnie mówiłeś i jak się mną opiekowałeś. Mogłabym im opowiedzieć, jak pewnej nocy mnie uratowałeś przed Joshem Holmesem.

Pan Samuels będzie oczywiście próbował mi przerwać. Jego twarz będzie czerwona, a oczy - wytrzeszczone z zaskoczenia. Może nawet powiedzieć sędziemu, że moje zeznania są niewiarygodne, że nadal cierpię na syndrom sztokholmski. Ale ja będę bardzo opanowana,

spokojna i będę umiała jasno wyjaśnić, że tak nie jest. Przeczytałam, co trzeba. Dokładnie wiem, co muszę powiedzieć, żeby ich przekonać.

No i sędzia jeszcze trochę pozwoli mi mówić. A wtedy naprawdę ich zaskoczę. Powiem sali sądowej, jak się pokochaliśmy. Nie na pustyni, oczywiście, że nie, lecz dwa lata temu wśród ulic i parków Londynu, kiedy miałam czternaście lat i byłam tak bardzo podobna do twojej mamy.

Na sali sądowej rozlegną się szepty i szumy. Mama pewnie krzyknie. Ciężko będzie na nią spojrzeć, więc nie zrobię tego. Będę patrzeć na ciebie. Powiem, że chciałam uciec.

Ty skiniesz mi lekko głową, twoje oczy znowu ożyją. A ja im opowiem o twoim planie.

Powiedziałeś, że znasz idealne miejsce na ucieczkę. Miejsce, gdzie nie ma ludzi ani budynków, miejsce, które jest bardzo, bardzo daleko. Które pokrywa ziemia czerwona jak krew, gdzie życie jest uśpione. Miejsce, które pragnie znowu ożyć. To dobre miejsce na to, by zniknąć, jak powiedziałeś, by się zagubić... i odnaleźć.

Zabiorę cię tam, powiedziałaś.

I mogłabym wyznać, że się zgodziłam.

Ręce mi drżą, kiedy to piszę. Łzy spływają mi po policzkach, ekran rozmazuje mi się przed oczyma. Boli mnie w piersi od powstrzymywania szlochu. Bo coś mnie ciągnie, coś, o czym ciężko jest myśleć.

Tyler, nie mogę cię w ten sposób uratować.

To, co mi zrobiłeś, to nie była żadna cudowna rzecz, jak tobie się wydaje. Zabrałeś mnie od wszystkiego - od moich rodziców, przyjaciół, mojego życia. Zabrałeś mnie do piasku i gorąca, do kurzu i odosobnienia. I spodziewałeś się, że będę cię kochała. I to jest najtrudniejsze. Bo cię kochałam, a przynajmniej kochałam to coś.

Ale też cię nienawidziłam. O tym przecież nie mogę zapomnieć.

Na dworze jest tak ciemno, gałęzie drzew stukają w okno... jak palce. Owijam się prześcieradłem, chociaż wcale nie jest mi zimno, wpatruję się w czerń za oknem. Wiesz, może gdybyśmy się spotkali jako zwykli ludzie, pewnego dnia, może... może wszystko byłoby inaczej. Może mogłabym cię pokochać. Byłeś taki inny i dziki. Kiedy światło sprawiało, że twoja naga skóra lśniła w te wczesne poranki, byłeś tym najpiękniejszym, co w życiu widziałam. Zamknąć cię w celi, to jak rozjechać ptaka czołgiem.

Ale co innego mogę zrobić, niż wstawić się za tobą w ten właśnie sposób? Co innego, niż spisać tę moją całą historię, naszą historię, pokazać, co zrobiłeś... sprawić, żebyś zrozumiał, że to, co uczyniłeś, nie było w porządku, nie było dobre.

Kiedy znajdę się w sądzie, powiem prawdę. Moją prawdę.

Powiem, że mnie porwał, oczywiście. Bo porwał. I powiem, jak mi dałeś narkotyki, i o twojej huśtawce nastrojów. Nie będę ukrywać, jak zły umiałeś być.

Ale powiem im też o twojej drugiej stronie. O stronie, którą czasami dostrzegałam, kiedy przemawiałeś łagodnie do wielbłąda, kiedy delikatnie dotykałeś liści łobody, biorąc tylko to, czego potrzebowałeś. I o tym, jak mnie ratowałeś. Powiem im, jak zdecydowałeś się wybrać więzienie, żeby nie pozwolić mi umrzeć.

Bo tak było, prawda? Od chwili, kiedy ukąsił mnie ten wąż, wiedziałeś że to już koniec. Gdy poprosiłam, żebyś został ze mną w samolocie, zrobiłeś to, wiedząc, że tym samym oddajesz się w ręce policji.

I jestem ci wdzięczna, Tyler, ale... nie zrozum mnie źle. Ja też oddałam za ciebie swoje życie, raz... wtedy na lotnisku w Bangkoku.

I też nie miałam wyboru.

Sędzia cię skaze. Temu nie mogę zapobiec. Ale może moje zeznania będą miały jakiś wpływ na to, dokąd cię wyślą... gdzieś blisko twojej ziemi, tym razem w pomieszczeniu z oknem. Może. I może ten list też ci pomoże. Chcę, żebyś zobaczył, jakiego człowieka dostrzegłam, gdy biegł obok wielbłąda, biegł, żeby uratować mi życie, żebyś zrozumiał, że to jest człowiek, którym możesz zostać, jeśli tylko zechcesz.

Nie mogę cię uratować w taki sposób, w jaki byś chciał. Ale mogę ci powiedzieć, co czuję. To niewiele. Ale może to da ci szansę.

Opowiedziałeś mi kiedyś o roślinach, które leżą uśpione w czasie suszy - jak oczekują, na pół martwe, w głębi ziemi. O roślinach, które czekają na deszcz. Powiedziałeś, że będą czekać latami, jeśli będzie trzeba, że prawie umrą, zanim znowu wyrosną. Ale jak tylko spadną pierwsze krople wody, te rośliny zaczną sięgać w górę i rozpościerać korzenie. Przebiją się przez ziemię i piasek, by dotrzeć na powierzchnię. Znowu będą miały szansę.

Pewnego dnia wypuszczą cię z celi. Wrócisz do Samotnych, beze mnie, i znowu poczujesz deszcz. I tym razem wyrośniesz prosto do słońca. Wiem, że tak się stanie.

Moje powieki są ciężkie jak kamień. Ale kiedy zasnę, znów będę miała ten sen. Nie chciałam ci o nim opowiadać, aż do teraz.

Znajdę się w Samotnych i będę kopała ziemię gołymi rękami. Kiedy zrobię dziurę na tyle głęboką, by zasadzić drzewo, włożę do środka palce. Zsunę pierścioneł, który mi podarowałeś. Padnie na niego promień światła i tęcza kolorów odbije się na mojej skórze, ale ja cofnę dłonie, zostawiając go tam. Zacznę sypać na niego ziemię i zakopię go. Z powrotem, tam gdzie jest jego miejsce.

Oprę się o szorstki pień drzewa. Słońce będzie zachodziło, rozpościerając na niebie swoje niesamowite barwy, ogrzewając mi policzki.

Potem się obudzę.

Teraz jest 4.07 rano. Niedługo będzie świt. W pokoju mocno pachną eukaliptusy, woń wciska się przez otwarte okno prosto do moich płuc. Za chwilę, kiedy będę gotowa, wyłączę komputer i to będzie koniec. Ten list będzie skończony. Jakaś część mnie nie chce przestać do ciebie pisać, ale muszę to zrobić. Dla nas obojga.

Żegnaj, Tyler.

Gemma